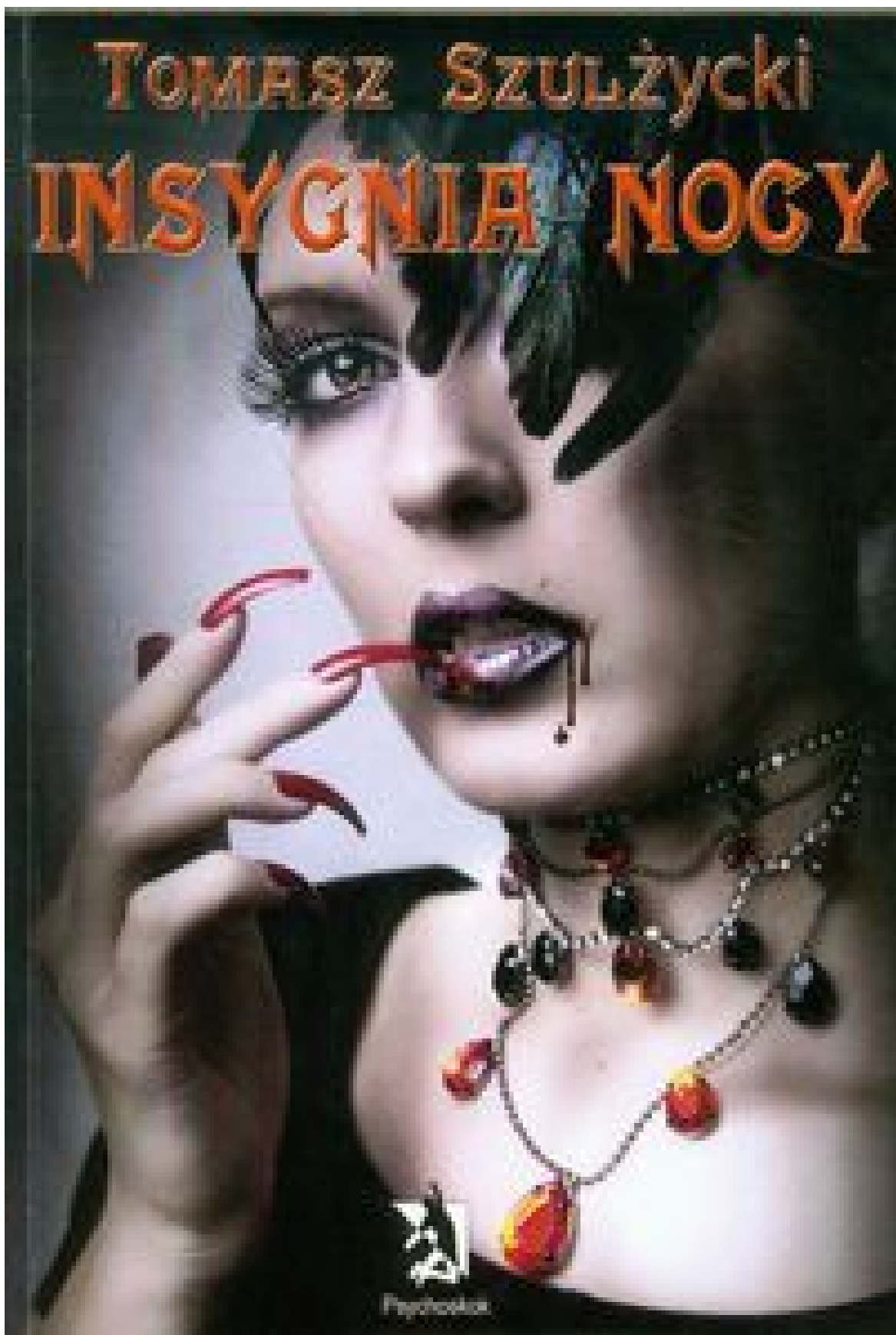


TOMASZ SZULŻYCKI
INSYGNIA NOCY



Psychosix

Tomasz Szulżycki

Insignia nocy

"Insignia nocy" to seria zbrodni wstrząsająca opinią publiczną. Nikt nie wie, kto morduje i jakie są motywy tych makabrycznych zdarzeń. Gdzieś w cieniu tych mrocznych wydarzeń, rodzi się uczucie między samotnym, bezdomnym mężczyzną, a miłą dziewczyną, pracującą w sklepie. Quincy nie wie, że pozornie bezwartościowy prezent, który kupuje dla ukochanej na bazarze, wpłacie ich oboje w niebezpieczne wydarzenia, a na niego samego rzuci podejrzenia, jakoby był mordercą. Czy uczucie, które zaczyna łączyć go z nowo poznaną dziewczyną wytrzyma tak ciężką próbę? Czy ukochana mu zaufa? Czy uwierzy w jego niewinność, gdy wszystkie fakty dotyczące zbrodni zdają się świadczyć przeciwko niemu?



Książkę dedykuję Joannie, bez której całe przedsięwzięcie jej napisania, nie miałoby szans powodzenia. Serdecznie dziękuję Ci za wszystkie rodzaje wsparcia, których udzieliłaś: bez słów Twojej konstruktywnej krytyki, celnych uwag, słów pokrzepienia w gorszych chwilach oraz nieustannego motywowania i niezachwianej wiary w sukces projektu, nie poradził bym sobie z tak trudnym zadaniem. Twoje wsparcie było tak silne, jak to tylko było możliwe. Myślę, że bez najmniejszych wątpliwości możesz czuć się i nazywać współautorką tej książki.

ROZDZIAŁ I

„QUINCY”

Quincy również i dzisiejszego popołudnia usiadł na przylegającej do parku ławeczce, po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko budynku przy St. John's Street 17. Gdy sięgnąć okiem przed siebie, widziało się maleńki sklep z zabawkami, który od lat sygnowany był tym samym szyldem: "Zabawki u Morgana". Na zegarach widniała już godzina piąta po południu i to z dużym okładem, toteż o tej porze roku, na trzy dni przed Wigilią Bożego Narodzenia, było niezwykle mroźno. Ulice rozświetlały latarnie, promieniujące ciepłym światłem i bożonarodzeniowe ozdoby. Quincy nerwowo rozcierał ręce, ubrane w rękawiczki bez palców. Mróz nie przeszkadzał mu aż tak bardzo. Zresztą, zdążył już się do tego przyzwyczać. Nie była to jego pierwsza zima spędzona na ulicach miasta. Był bezdomny od dobrych kilku lat. Wszystko to było nieważne. Przychodził tutaj tylko po to, żeby na nią popatrzeć. 'Jane' – powtarzał sobie w myślach jej imię. Zawsze się wtedy uśmiechał. Nigdy nie odważyłby się spytać jej o imię. Wypatrzył je na plakietce przyklepionej do służbowego stroju. 'Jane'. Pracowała tu od prawie dwóch lat. A on przychodził tu niemal codziennie. Wystarczyło, że na nią patrzył. Na bok

odchodziły czarne myśli o tym, że nie ma się gdzie podziąć, że jest mróz, że śniadanie jest rzeczą bardziej niż niepewną. Siadał przed sklepem, jak przed kominkiem.

Z jasno oświetlonej sklepowej wystawy biła ciepła łuna, cały budynek otoczony był niezwykłą poświatą. Wyciągał wtedy ręce przed siebie, jak gdyby faktycznie chciał się ogrzać. Może i naprawdę tak było, skoro wytrzymywał siarczysty, zapierający mroźnym powietrzem dech w piersiach, chłód.

Któryś z przechodniów potrącił jego wyciągnięte ręce, kiedy tak siedział zakłęty, niczym w transie.

– Uważaj, włóczęgo! – rozłożył w barkach mężczyzna, nie przestając przeć na oślep przed siebie, obrzucił go potępiającym spojrzeniem.

– Hej! Mam na imię Quincy! – krzyknął za przechodniem, po czym uśmiechnął się serdecznie.

– Świr – skwitował przechodzień, po czym zniknął w tłumie.

Quincy siedział dalej uśmiechnięty, jak gdyby nigdy nic. Zbliżała się osiemnasta, zatem sklepowe elektryczne rolety "Zabawek u Morgana" zaczęły powoli osuwać się w dół, niczym kurtyna kończąca spektakl jednej aktorki i jednoosobowej publiczności.

– Do zobaczenia jutro, Jane – powiedział szeptem Quincy, uśmiechnął się, jak najserdeczniej potrafił, zamknął na chwilę oczy, po czym wstał i zaczął iść w kierunku napierającego tłumu, pod prąd. Na jego widok ludzie rozsuwali się, obchodząc go łukiem. Przyzwyczał

się do tego. Przywykł nawet do obelg rzucanych w jego stronę.

– Tak to jest, kiedy jesteś włóczęgą – tłumaczył sobie.

Z kieszeni poszarpanego, starego szarego płaszcza, wyjął czekoladowy cukierek z nadzieniem z alkoholu. Zabrał go z recepcji jakiegoś bardzo ekskluzywnego hotelu, którego obcojęzycznej nazwy nawet nie próbował zapamiętać. Łakocie przygotowane tam były jako darmowy poczęstunek, dla klientów. Zabrał i wyszedł w tym samym momencie, kiedy ochrona obiektu zainteresowała się jego osobą. Nigdy nie szukał kłopotów.

– Po co dobrowolnie pakować się w kłopoty, prędzej, czy później same cię znajdą, prawda Q?

Teraz wyjął cukierek, odpakował niecierpliwie, tak jak robią to małe dzieci i szybko pogryzł. Chwilę później poczuł, jak alkoholowy wkład rozgrzewa gardło, a później rozchodzi się przyjemnie po całej klatce piersiowej.

W swoim planie dnia, oprócz podziwiania sklepowej witryny, miał jeszcze jeden stały punkt. Codziennie, o godzinie siódmej wieczorem, udawał się do przytułku dla biednych i bezdomnych, gdzie rada miejska Caladonu ufundowała dla potrzebujących ciepłe posiłki i nocleg. Zapisał się tam trzy lata temu, za namową starego przyjaciela z ulicy – Billa, z którym dzielił tam niewielki pokój.

Spojrzał na zegar, znajdujący się na fasadzie jakiegoś urzędu. Miał jeszcze 45 minut. Z St. John's Street do

przytułku położonego przy Dragons Square można było pójść dwiema drogami. Wybrał dłuższą, przez park, żeby wypełnić czas spacerem. Quincy zawsze starał się być punktualnie, o ile tylko obowiązywały go jakieś wyznaczone czy umówione terminy.

– Może i jestem włóczęgą, ale włóczęgą dżentelmenem, a dżentelmen nigdy się nie spóźnia. Tym razem również był na czas. Barbara, główna kucharka i dyżurna przytułku przywitała go promiennym uśmiechem.

– Siemasz, Quincy.

– Nie najgorzej – uśmiechnął się, po czym z uszanowaniem skinął głową do całej załogi kuchni.

Zwyczajowo zajął stolik w rogu sali, przy grzejniku, zdjął rękawiczki i czapkę, położył na żeberkowanym, niewielkim grzejniku, celem ich osuszenia. Odkaszlnął ochryple.

– Wszystko w porządku? – spytała Barbara.

– Tak, dam sobie radę – uśmiechnął się i niczym stary szelma puścił oko.

– Twoja kolacja, proszę – rzekła, stawiając przed nim talerz gorącej zupy jarzynowej.

Podziękował grzecznie. Odprowadził do kuchni jej zgrabne, kołyszące się biodra, a potem, zły na siebie, odpędził wszelkie myśli i zabrał się do jedzenia.

Sala powoli zaczynała się zapełniać. Po kilku minutach zjawił się Bill, który zajął puste miejsce przy jego stoliku. Quincy skończył już jeść i teraz sączył z kubka gorącą kawę.

– Witaj Quincy. Jak minął dzień? – zagaił Bill.

– Znośnie.

– A co u Twojej gołąbeczki?

Ktoś, kto nie znał Billa, mógłby nie wytrzymać jego ironicznego poczucia humoru. Ktoś inny, ale nie Quincy, który ze swoim starym przyjacielem niejedno zobaczył i przeżył. Było oczywiste więc, że w tym zdaniu zawarta była duża dawka ironii, ale z drugiej strony także i zawołowanej, przyjacielskiej ciekawości i troski.

– Nie powinienes się nią tak zadręczać. Nie służy Ci to – zawyrokował Bill.

A było w tym zdaniu więcej prawdy, niż im obu się zdawało. Quincy często nie dosypiał, miewał koszmary, po całodniowym pobycie w mieście – nocą nie czuł się najlepiej. Bill, jako jego współlokator wiedział o tym dobrze.

– Potrafię o siebie zadbać. I jeżeli pozwolisz, sam będę decydował, co dla mnie dobre, a co nie – stanowczo odrzekł.

– Posłuchaj rad starego Billa, a dobrze na tym wyjdiesz – podsumował jego towarzysz, osuszając talerz po zupie kawałkiem bułki.

Było coś w głosie starego przyjaciela, co kazało Quincy'emu posłuchać rady, jak rozkazu. Uwolnić się od brzemienia i zrezygnować z marzeń.

– Pożyjemy, zobaczymy – wstał i odnosząc talerz do kuchni, poklepał kumpla po ramieniu.

Quincy odniósł talerz do zmywalni, po czym

zwyczajowo udał się do Barbary po termos gorącej herbaty, który zabierał ze sobą do pokoju, w którym spędzał noc. Udał się do maleńkiej izdebki na pierwszym piętrze. Skrzypiące schody głośno trzeszczały pod naporem jego stóp. Wszedł do pokoju numer sto sześć na końcu krótkiego korytarza. Otworzywszy drzwi, zapalił górne światło, które stanowiła mała, dająca ledwie wątłą poświatę żarówka. Postawił termos na małym nocnym stoliku, który obok dwóch prostych łóżek, dębowej szafy, biurka i krzesła, stanowił skromne umeblowanie pokoju. Spokojnie zdjął płaszcz, powiesił go w szafie na jednym z dwóch wieszaków. Usiadł na brzegu łóżka, odkorkował termos i nalał do kubka dymiącej ciepłym herbaty. Rozluźnił guziki koszuli, wypił łyk gorącego napoju, po czym położył się na łóżku na wznak.

– Boże – szepnął – kocham ją, po czym jak gdyby przestraszył się własnych słów, ukrył twarz w poduszce i gorzko zapłakał.

Wkrótce potem zasnął snem mocnym i spokojnym. Nie słyszał nawet, kiedy wrócił Bill i tak samo, kiedy jego przyjaciel wyszedł.

Kiedy się obudził, usiadł na łóżku i spojrzał w okno. Za szybą padał gęsty śnieg. Padał wielkimi płatami, przykrywając całe miasto śnieżną pierzyną. Herbata w termosie była jeszcze ciepła. Wysączył jej łyk, który rozbudził go do reszty. Łóżko Billa było starannie zasłane, a na stoliku przy jego łóżku stała maleńka kartka pomiętego papieru. Widniał na niej tylko krótki wyraz,

napisany niezgrabnymi drukowanymi literami, jakby w pośpiechu: QUINCY.

Mężczyzna zbliżył się do stoliczka, podniósł karteczkę i na jej odwrocie przeczytał:

"Przyjacielu, stary druhu! Wybacz, że nie mogę przekazać Ci tej wiadomości osobiście, ale niestety musiałem wyjść, pilnie. Spotkaj się ze mną dziś o godzinie szesnastej trzydzieści przy ulicy Santa Maria numer 5. Twój zawsze wierny przyjaciel, Bill".

Co ciekawe, na odwrocie liściku pismo było staranne i równe, jak gdyby zostało przygotowane wcześniej. Wszystko wyglądało tak, jak gdyby kartka podpisana została w wielkim pośpiechu, jakby Bill wahał się do ostatniej chwili, żeby ją tu zostawić.

Quincy był nieco zmieszany. Zastanawiał się, dlaczego przyjaciel nie przekazał mu tej informacji wczoraj. To pytanie musiało pozostać bez odpowiedzi, przynajmniej do godziny 16.30. Do tego czasu pozostało jeszcze siedem godzin. Quincy zaścielił starannie łóżko, wypił resztki herbaty i zszedł na dół. Przywitał się z personelem kuchni, najserdeczniej zaś z Barbarą.

– Dzięki, Twoja herbata ratuje życie.

Barbara uśmiechnęła się nieśmiało, spuszczając wzrok.

– Czy spotkałaś może Billa, kiedy wychodził dziś rano?

– Kiedy przyszłam do pracy już go tutaj nie było. Ale jedna z dziewczyn mówiła, że zachowywał się jakoś

dziwnie.

Quincy podniósł brwi zdziwiony, po czym zmienił wyraz twarzy na wyraźnie pytający. Barbara odczytała jego twarz, jakby domyślając się, że Quincy czeka na wyjaśnienia.

– Carmen! Pozwól do nas – krzyknęła w głąb kuchni.

Po chwili zjawiała się Carmen, która okazała się młodziutką, śliczną kobietą o ciemnych, kręconych, hebanowych włosach i anielskim spojrzeniu. Quincy przyznał w duchu, że to spojrzenie jest w stanie stopić wszystkie śniegi, które spadły na Caladon w ciągu nocy.

– Carmen opowie Ci wszystko, a ja tymczasem zmykam do pracy – rzuciła szybko Barbara, uśmiechnęła się i zniknęła w kuchni.

'No tak, zostałem sam na sam z tą anielicą', powiedział w myślach, ale nie musiał długo czekać, aż eteryczna istota zaczęła mówić słodkim, dziewczęcym głosem.

– No więc pan Bill wyszedł tuż około siódmej. Przedtem jednak wszedł do kuchni i jak nigdy dotąd zaczął się uśmiechać, ścisnąć wszystkim ręce i składać życzenia świąteczne. A przecież do Wigilii jeszcze całe dwa dni.

– Czy pan Bill mówił coś o tym, dokąd wychodzi?

– Niestety nie, panie Quincy. Pytał tylko, czy byłabym tak łaskawa i przekazała panu serdeczne pozdrowienia i przypomniała o spotkaniu. Tyle wiem, przepraszam, że nie mogę bardziej pomóc, panie Quincy –

powiedziała, wbijając swoje anielskie oczy w podłogę.

– W porządku, byłaś bardzo pomocna – rzekł w jej stronę i uśmiechnął się promiennie. Zaczął iść w stronę wyjścia, a Carmen w swoją stronę – do kuchni. W ostatniej chwili odwrócił się i powiedział głośno:

– Hej, Carmen! Mów mi po prostu Quincy.

Dziewczyna uśmiechnęła się, obróciła na pięcie i popędziła do kuchni.

Quincy zapiął płaszcz pod szyję, udał się w stronę grzejnika i wziął czapkę i rękawiczki, które zostawił poprzedniego dnia. Nagrzane rękawiczki na pewno przydadzą się na zewnątrz. Kiedy otworzył drzwi, mroźne powietrze wdarło się do środka, niczym bezpański pies, czekający tylko na uchylenie dzielącej go od ciepłego wnętrza bariery. Lodowate powietrze kłuło w płuca. Quincy ruszył pewnym krokiem, w stronę zabudowań przy ulicy Dervish.

Piękne kamienice pięły się wysoko w górę. Ulice nie były jeszcze zatłoczone, być może to za sprawą niskich temperatur i padającego śniegu, być może zaś dlatego, że większość mieszkańców miasta albo zmierzała do pracy, albo wędrowała od sklepu do sklepu, koczując w długich kolejkach. Mężczyzna powtarzał sobie zawsze, że Boże Narodzenie to sprawdzian stanu ducha, a nie portfela. Z kosza przy chodniku wyjął wczorajsze wydanie "Caladon News" i zaczął przeglądać je pobieżnie. Masa świątecznych reklam, kilka drobnych ogłoszeń, dział nekrologów, a na głównej stronie szpalta zaczynała się

dumnie brzmiącym nagłówkiem: "Caladon – świąteczne miasto marzeń". Artykuł napisany przez burmistrzowskich propagandzistów wychwalał miasto, a przede wszystkim jego urzędników pod niebiosa. 'Bełkot'. Nim Quincy skończył wypowiadać to słowo, gazeta wylądowała w koszu zaledwie dwie przecznice dalej. Nie wiedząc co zrobić z czasem, zaczął krążyć po wąskich uliczkach i alejkach.

'I tak prędzej czy później trafię do niej' – zaśmiał się w duchu. Jak zwykle w tej kwestii nie mógł się mylić i po blisko dwóch kwadransach bezcelowej tułaczki trafił w znajome miejsce przy St. John's Street. Oszronione szklane drzwi nie chciały mu zdradzić, co dzieje się w środku. Postanowił zrobić coś, czego wcześniej nie próbował. Wszedł do środka. Krótkie spojrzenie w stronę kasy wystarczyło, żeby ją dojrzeć. Była piękna. W krótkie, ciemne blond włosy wsunięta była ozdobna spinka. Uczesana była starannie, a kosmyki włosów zachodziły jej za uszy. Quincy wpatrywał się przez dłuższą chwilę w ten widok jak w obraz, po czym udał się między regały, niby to szukając czegoś. Zaśmiał się krótko pod nosem. Nie mógł nikogo oszukać: nie był w stanie kupić niczego, co znajdowało się w sklepie, a już tym bardziej przychylnego spojrzenia Jane. Jego strój zdradzał wszystko. Jedynymi powodami, dla których mógł wejść do takiego miejsca jak to była albo chęć ogrzania się, albo pokusa kradzieży. Nikt z tych wszystkich rzucających piorunujące spojrzenia klientów

nie starał się znaleźć choć cienia dobrych intencji w osobie Quincy'ego. Żebrak – to wszystko, co widzieli.

Kiedy tak krążył w labiryncie sklepowych półek i kontuarów, pogrążając się w rozważaniach na temat sprawiedliwości (a raczej jej braku) u członków kaladońskiej socjety, nie zauważył, że ktoś podszedł do niego z tyłu.

– Dzień dobry – rozbrzmiał za nim kobiecy głos.

Quincy zeszywniał nagle, jakby nadepnął bosymi stopami na potłuczone szkło. Powoli odwrócił się w stronę, z której dobiegał głos. To była ona. Stała tuż przed nim, uśmiechając się szczerze. Oczy błyszczały jej niesamowicie. Ręce miała założone pod biustem, ale Quincy szybko przerzucił wzrok z powrotem na jej twarz.

– Ja.... ehm... dzień dobry – wykrztusił.

– Wygląda na to, że nie zauważył pan informacji – wskazała na kartkę przyklejoną tuż przy wejściu, której treść głosiła o zaczynającej się właśnie przerwie, w związku z czym, w sklepie nie powinno być ani jednego klienta. – Wygląda również na to, że był pan bardzo zajęty szukaniem czegoś. Może mogę w czymś pomóc?

– Ja... ummm... ja tylko szukałem prezentu dla kogoś – z jego ust wyszło kłamstwo, którego oboje byli świadomi. Jego niezbyt szczególna prezencja zdradzała i tłumaczyła wszystko.

– W takim razie musi to być ktoś bardzo szczególny, skoro oddaje się pan poszukiwaniom z takim pietyzmem.

Quincy był zbyt zszokowany, żeby cokolwiek

odpowiedzieć.

– Tymczasem został pan tutaj uwięziony sam na sam ze mną. Nie pozostaje mi nic innego jak... – 'wezwać policję', dokończył w duchu mężczyzna – ...zaprosić pana na filiżankę gorącej kawy.

Quincy zbaraniał do reszty, a Jane uśmiechając się jeszcze piękniej, wskazała mu ręką drogę do pokoiku na zapleczu. Powłóczył za nią nogami, wchodząc do małej kwaterki z tyłu sklepu.

– Niech mi pan poda płaszcz, panie... ? – jej pytanie zawisło na chwilę w próżni, po czym wreszcie dotarło do niego.

– Quincy – wycedził szybko.

– Panie Quincy, byłabym zaszczycona, gdyby zechciał mi pan towarzyszyć przy drugim śniadaniu.

"Miasto i czas cudów" – przypomniał sobie zdanie z gazety.

– Niezaprzeczalnie będzie to dla mnie wielka przyjemność – odrzekł.

Usiedli przy okrągłym stoliczku, wymienili spojrzenia, po czym Jane wstała i zaczęła krzątać się przy szafkach i blacie, przygotowując kawę. Aromat świeżo zmielonych ziaren wypełnił pokój. Jane postawiła przed nim gorącą filiżankę, a na środku stolika talerzyk z maślanymi bułeczkami posypanymi płatkami migdałów. Patrzył na słodkości nie mniej łakomie niż na jej cudowną twarz. Głośno przełknął ślinę, co nie umknęło uwadze dziewczyny.

– Proszę się poczęstować – powiedziała patrząc na niego i podsuwając talerz ze smakołykami. Quincy chciał sięgnąć po pachnące pieczywo, ale w ostatniej chwili cofnął dłoń. Brudne paznokcie i niezadbane dłonie przyprawiły go o rumieniec wstydu. 'No pięknie. trafiła mi się jedyna szansa na milion, a ja wyglądam jak śmierć na chorągwi'. Z zamyślenia wytrąciła go wyciągnięta dłoń Jane, a w niej talerzyk z poczęstunkiem.

– Smacznego – uśmiech nie zniknął z jej wydatnych, pełnych ust.

– Dziękuję, Jane.

– Skąd znasz moje... Ach, to – spojrzała na plaketkę, po czym roześmiała się głośno. – W takim razie część oficjalną mamy już za sobą.

Podczas śniadania atmosfera nieco rozluźniła się. Quincy ośmielony jej czarującym uśmiechem i przyjaznym nastawieniem zaczął wypytywać o sklep, o jej pracę, ona zaś odpowiadała chętnie. Kiedy przyszła kolej na jej pytania, nieśmiało zaczął opowiadać jej o sobie, o życiu, które wiódł.

– Po tym wszystkim, co tu usłyszałaś, zapewne wolisz, żebym już sobie poszedł.

– Chyba powinieneś już iść Quincy – odrzekła.

– Wiedziałem – powiedział z zażenowaniem – dzięki za śniadanie.

'Jałmużnę' – pomyślał.

– To nie tak – zaprotestowała, odczytując ton głosu i to, co dopowiadał sobie w głowie – po prostu kończy mi

się przerwa.

Zdumiony Quincy po raz kolejny nie wiedział, co rzec. W końcu wydukał jedną ze swych poetycko i banalnie brzmiących mądrości.

– Czasami przypadek stanowi o chwilowym szczęściu. Los czasami jest naprawdę ślepy, zderzając dwoje ludzi, takich jak ja i ty. Żegnaj, Jane.

– Żegnaj? Brzmi, jak byśmy mieli się już nigdy nie spotkać. Jutro mam przerwę o tej samej porze. Żegnaj Quincy, lub jeśli wolisz – 'do zobaczenia'.

Choć mężczyzna nie wierzył własnym uszom, wyraźnie brzmiało to jak zaproszenie. Z "Zabawek u Morgana" udał się przed siebie, w dół St. John's Street. Kiedy dotarł do skrzyżowania, skręcił i poszedł wzdłuż Kensington Church Road i wszedł do małego kościółka położonego w zadrzewionym zaciszu. Usiadł w ostatniej ławce i zaczął modlić się w duchu, choć tak naprawdę nigdy nie był szczególnie gorliwym chrześcijaninem. Dziękował w ciszy za to niezwykle spotkanie i prosił w nadziei o pomyślność dnia jutrzejszego. Trwał w modlitwie dłuższy czas. Ze stanu mistycznych uniesień wyrwał go rytmicznie wybijający godzinę szesnastą, donośny dźwięk dzwonu. Przypomniał sobie o spotkaniu z Billem, a nie chcąc się spóźnić, ruszył czym prędzej ulicą Kensington. Do Santa Maria pieszo można było dotrzeć w 40 minut.

– Jestem spóźniony – rzucił przed siebie, w pustkę.

Nie tracąc trzeźwości umysłu, obrócił się na pięcie i

popędził w przeciwnym kierunku, w stronę skrzyżowania z Ten Hands Avenue. Tam, sprawdzwszy uprzednio rozkład jazdy, wszedł w tramwaj, którego trasa wiodła przez Santa Maria. Choć niedawno wyszedł z kościoła, w chwili, gdy wszedł do tramwaju, ponownie powierzył swój los Najwyższemu, błagając, aby oddalił kontrolerów komunikacji miejskiej z dala od tramwaju linii numer 45. Wsiadł bezpiecznie na przystanku przy Santa Maria, w śnieżne popołudnie, 22 grudnia, 1999 roku.

W sklepowej witrynie "Różności O' Sullivana" dojrzał godzinę szesnastą dwadzieścia. Śnieg przestał padać, ale zaczynało już zmierzchać, toteż niebo było stalowoszare. Quincy w miarę możliwości wygładził długą płachtę palta i ruszył przed siebie w dół Santa Maria. Złotą piątkę, która oznaczała cel jego podróży zauważył przy maleńkiej kawiarence opisanej prostymi, białymi literami: "Bistro". Zdziwił się, dlaczego Bill miałby umawiać się z nim w takim miejscu. Quincy nie miał w kieszeniach płaszcza złamanego grosza. Przypuszczał, że Bill tym bardziej. Mimo wszystko uprzednio sprawdzwszy dla pewności adres na pomiętej karteczce z pokoju 106, wszedł do środka.

Wnętrze kawiarenki było skromnie wyposażone, co nie przeszkadzało w stworzeniu eleganckiej, minimalistycznej atmosfery. Quincy omiół wzrokiem wnętrze lokalu. Nigdzie jednak nie mógł wypatrzeć swojego przyjaciela. W kątku sali para zakochanych, gruchających niby dwa gołąbki. Kilka młodych

dziewczyn głośno gaworzących przy długim stole, ustawionym wzdłuż wschodniej ściany. Poza nimi, w centrum sali przy małym, dwuosobowym stoliczku siedział nieco podstarzały dżentelmen w schludnym, trzyczęściowym garniturze. Dżentelmen nerwowo spoglądający na kieszonkowy zegarek na łańcuszku, który co chwila wyciągał z wewnętrznej kieszeni marynarki. Dżentelmen o dziwnie znajomej twarzy... Jednym słowem... Bill!

Quincy nie wierzył własnym oczom, jednakże był pewny, że to jego stary przyjaciel. Podszedł nieśmiało do mężczyzny.

– Bill? – rzekł cicho.

Mężczyzna teraz odwrócił się i w pełnym oświetleniu, oczom Quincy'ego ukazała się znajoma twarz współlokatora z małego pokoju przy Dragon's Square.

– Bill! To naprawdę Ty? – nie dowierzał własnym oczom młody mężczyzna. Poczciwa twarz znajomego i elegancki garnitur, który podług oceny niewprawnego oka Quincy'ego musiał kosztować fortunę, nigdy dotąd nie chodziły ze sobą w parze.

– Nie kto inny przyjacielu, nie kto inny.

– Ale... – zawiesił głos.

– Zanim zaczniesz pytać o cokolwiek, zdejmij płaszcz i siadaj. Właśnie zamówiłem dla nas dwie pyszne porcje pieczonej kaczki w pomarańczach.

Ledwie zdębiały Quincy zdążył osunąć się na krzesło, zjawił się kelner, który na ozdobnych talerzach przyniósł

dwie przepyszne porcje pieczonej kaczki, której aromat chwycił obu mężczyzn za gardło z siłą kaladońskich zbirów. W ciszy zjedli posiłek, choć Quincy co chwilę rzucał Billowi pytające spojrzenia. Ten jednak ze stoickim spokojem przyjął lustrujący wzrok swojego towarzysza. Kiedy skończyli jeść i kelner przybył zabrać naczynia, Bill zamówił dwa kieliszki zapewne drogiego koniaku, po czym poklepał się po brzuchu i jak gdyby nigdy nic, powiedział:

– Dawno tak dobrze nie zjadłem – uśmiechnął się błogo.

– Bill, możesz mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? Myślałem, że ty... Że nie... Po prostu powiedz mi, co się tu dzieje. Proszę Cię Bill – spojrzał tym razem błagalnie na przyjaciela.

– No dobrze. Sądzę, że jestem Ci winien wyjaśnienia, Joaquin – powiedział. Użył jego pełnego imienia, a i poważny ton jego wypowiedzi nie wróżył nic dobrego.

Quincy wsłuchał się w szczerą do bólu opowieść przyjaciela. Słuchał prawie ze łzami w oczach historii o jego chorobie, o tym, że jego stan jest bardzo poważny, że być może niewiele czasu mu zostało.

– To rak, Joaquin. Pieprzony rak – Bill również nie był w stanie powstrzymać łez i ostrych słów. – Za młodu, kiedy jeszcze miałem pracę, pobierałem pensję za harówkę w zakładach chemicznych. To stamtąd mam ten cudowny nabytek, przynajmniej tak powiedział lekarz. Dowiedziałem się o tym miesiąc temu, Quin. Żałuję teraz,

że nie powiedziałem Ci wcześniej. Niemniej, zasłużyłeś na prawdę przyjacielu. Nikt tak bardzo, jak Ty – zakończył Bill.

Quincy nie mógł wykrztusić słowa. Nie przypuszczał, że dzień, który zaczął się tak pięknie – od spotkania z Jane, mógł mieć tak parszywy finał. Przez godzinę rozmawiali jak prawdziwi bracia. O wszystkim. Chociaż znali się, jak łyse konie, nie chcieli, żeby pozostały między nimi jakieś niedopowiedziane historie. Bill powiedział mu o tym, że czas, który mu pozostał, chce wykorzystać na podróż na południe kraju – do żony, której pomimo rozwodu nigdy nie przestał kochać i do córki, której nigdy nie miał okazji poznać. Opowiedział, jak awansem wziął z pomocy socjalnej zasiłek pogrzebowy, które z racji braku jakiejkolwiek rodziny (z żoną rozwiódł się przed laty, córki nigdy nie widział i zapewne utracił do niej prawa rodzicielskie już dawno temu) i okazaniu odpowiedniego zaświadczenia lekarskiego, wypłacono mu bez problemu. Okrągłe pięć tysięcy dolarów. Opowiedział również o tym, że przed laty zgromadził na koncie pokaźną sumkę, którą trzymał w depozycie na stare lata. Przyznał, że wybrał życie ascety i wyrzutka, mimo, że udało mu się zgromadzić małą fortunę. 'Cierpienie przypomina o błędach i uszlachetnia' – powtarzał co kilka zdań. Quincy usłyszał o tym wszystkim, co go dręczy, czego tak naprawdę pragnie, jakim był człowiekiem. I tak oto, przy stoliku w Bistro przy ulicy Santa Maria numer 5 siedział człowiek

ogołocoony z wszelkich, jak mu się wtedy zdawało, tajemnic, rozgrzeszony z wszelkich czynów, których dokonał oraz pozbawiony złudzeń, które towarzyszyły mu przez całe życie. Bill Andrews i jego duchowy syn Joaquin Collins – złączeni komunią wspólnych cierpień, marzeń, a w tamtej chwili – także łez.

– Bill, tak mi przykro. Bill, jest coś, co mogę dla Ciebie zrobić?

– Miałem nadzieję, że o to zapytasz Joaquin. Weź to – przesunął w jego stronę małeńki kartonik. Q. wziął go do ręki przeczytał nadruk:

Caladon Bank

17-20 Grimson Street

8CXJ23 Caladon

Z dopisanym ręcznie niezgrabnie, imieniem i nazwiskiem:

Sebastian Willoughsby

– Bill, co to jest?

– Musisz odnaleźć tego człowieka. On udzieli Ci dalszych wskazówek. Wiem, że nie zmarnujesz tych pieniędzy.

– Bill, ale ja nie mogę przecież...

– Posłuchaj Joaquin. Mój czas dobiega końca, mnie te pieniądze już się nie przydadzą. Pobrałem z depozytu jedynie część pieniędzy, na podróż i dla mojej córki, aby i jej niczego nie zabrakło. Przyjacielu, pragnę, żebyś wziął te pieniądze i żył swoim życiem. Nie zapominaj nigdy o tym, kim byłeś, co przeżyłeś, i że za swojego druha miałeś

nie kogo innego, jak starego Andrews.

– Bill...

Kiedy opuścili kawiarenkę, na zewnątrz było już ciemno i znowu sypał gęsty, biały puch. Bill jeszcze tej nocy miał opuścić miasto statkiem. A to oznaczało, że już nigdy mieli się nie zobaczyć. Kiedy dotarli do doków, do odcumowania statku było jeszcze dość czasu, by mogli usiąść w portowym kambuzie i opróżnić solidną butelkę importowanej whisky. Wyszli z kambuza mając już nieźle w czubie. Wreszcie dotarli do drewnianej kładki prowadzącej na statek. Ucichły gromkie śpiewy i ustały braterskie uściski. Quincy zrozumiał, że kocha tego człowieka. Poczciwego staruszka, dobrego Billa. To on pokazał mu, jak przeżyć na ulicy, jak odnaleźć się w wielkim mieście. Wreszcie to dzięki niemu po raz pierwszy zobaczył Jane, kiedy pewnej zimy rozdawali ulotki na ulicach. Teraz pozostały tylko wspomnienia. Ze łzami w oczach wymienili ostatni, dżentelmeński uścisk dłoni, spojrzeli sobie w oczy. Będą pamiętać. o sobie, cokolwiek by się stało. Trwali tak w ciszy, dopóki doker nie dał znaku, że już pora. Bill Andrews, najlepszy przyjaciel Joaquina, wspiął się po trapie na pokład, oparł się o burtę i patrzył na młodzieńca. Kiedy statek odpływał, Andrews uchylił kapelusz na znak pożegnania, ruszając w ostatnią podróż swojego życia.

– Kocham Cię Andrews, stary przyku! – nie zawahał się wykrzyknąć Quincy. Statek był już daleko, a on usiał na skrzyniach z portowym ładunkiem. Teraz został sam,

mając w pamięci najwspanialszego człowieka, jakiego znał i mały kartonik w kieszeni płaszcza. Teraz został on sam, zasypany śniegiem Caladon i uśmiech Jane.

Była pierwsza w nocy, kiedy usłyszał kroki nadchodzącego stróża i szybki oddech psa. Wstał, zawinął się czym prędzej na pięcie i parł przed siebie, w ciemną, ziejącą pustką po stracie przyjaciela noc. O tej porze nikt nie otworzyłby mu już przytułku, aby móc spędzić noc w pokoju 106.

Bez protestu za to przywitały go podwoje parkowej ławki, na której się położył. Modlił się trzeci raz tego długiego wieczora. Najpierw, żeby bezpiecznie przetrwać noc i wszystko się jakoś ułożyło, a w chwilę potem, żeby znaleziono go rano skostniałego na śmierć, a parszywy towarzysz – życie – wreszcie dał mu spokój. W końcu zamknął powieki i zasnął ciężkim snem umęczonego życia człowieka.

Obudziło go dwóch policjantów. Posłusznie spełnił ich służbowo brzmiące sugestie i odprowadzany czujnym wzrokiem udał się na St. John's Street. Dochodziła godzina przerwy śniadaniowej Jane. Na kilka minut przed zamknięciem sklepu Quincy, który dreptał w miejscu przed sklepem, celem rozgrzania się, wszedł do środka. "Zabawki Morgana" zawsze przyciągały klientów atrakcyjnymi cenami i niezmienną od lat wysoką jakością produktów. Dzisiaj również nie brakowało zainteresowanych. Jane cierpliwie obsłużyła wszystkich przed rozpoczęciem przerwy. Quincy wiedział, że już

dawno go zauważyła. Kiedy podeszła, aby zamknąć drzwi i zmienić plakietkę z 'otwarte' na 'przerwa', odezwała się.

– Boże, Quincy, co się stało? – spytała ze strachem. W chwili, kiedy zobaczył swoje odbicie w przeszklonych drzwiach, zrozumiał jej pytanie. Wyglądał jak strzęp człowieka. Był nieogolony, oczy i nos miał czerwone, a ręce sine i żylaste.

– Przepraszam, jeżeli pozwolisz, wszystko Ci opowiem. Przede wszystkim dzień dobry Jane – powiedział jednym ciągiem.

Zaprowadziła go na zaplecze. Nastawiła wodę, aby zaparzyć świeżej kawy. Zdjęła postrzępione rękawiczki z jego skostniałych palców. Mężczyzna poddawał się wszelkim jej zabiegom bez słowa sprzeciwu. Miał odmrożone dłonie. Ledwo je czuł. Zaczęła rozcierać jego dłonie własnymi i chuchać ciepłym powietrzem. Quincy patrzył na nią, ale nie odzywał się. Po chwili, dzięki Jane, powoli zaczął odzyskiwać czucie w palcach, które zaczęły też przybierać bardziej naturalny kolor. Jane wstała, otworzyła górną szafkę i wyjęła z niej apteczkę. Odnalazła małe pudełeczko, odkręciła i zaczęła smarować mu dłonie żółtawą maścią.

– Specjalna maść na odmrożenie – powiedziała krótko.

Po kilku minutach takiego nacierania, mężczyzna poczuł wreszcie rozchodzące się w dłoniach ciepło. Poczuł się nieswojo i w pierwszej chwili chciał cofnąć swoje brudne ręce. Ale wtedy poczuł jej dotyk...

Najdelikatniejszy dotyk, jaki kiedykolwiek dane mu było odczuwać. Jane miała piękne, zadbane dłonie, smukłe palce i niezwykle delikatną skórę. Subtelny dotyk jej rąk sprawiał mu niekłamaną przyjemność. Wreszcie odeszła od niego i usiadła po drugiej stronie małego stolika.

– Kawa! – niemalże wykrzyknęła kobieta. Po chwili na stoliku pojawiły się dwa wysokie kubki wypełnione po brzegi świeżo parzoną, aromatyczną kawą.

– Dziękuję – były to pierwsze słowa, które wypowiedział od dobrych kilkunastu minut.

– Musisz o sobie dbać, inaczej kto będzie mnie odwiedzał w porze śniadania? – odpowiedziała Jane z humorem i błyskiem w oku. Słowa te były jak balsam dla jego duszy. Quincy wrzucił do kubka kilka kostek cukru, stanowczo za dużo. Ręce trzęsły mu się okropnie, bynajmniej nie tylko na skutek zimna, lecz także na wspomnienie wczorajszego wieczoru i nocy.

– Jane, muszę Ci coś powiedzieć. Coś bardzo ważnego – rzekł krótko i stanowczo.

Kobieta wyszła z pokoiku. Quincy powiódł za nią wzrokiem, wychyliwszy głowę przez framugę drzwi zaplecza. Podeszła do wejściowych szklanych drzwi i tym razem wywiesiła tabliczkę 'Zamknięte'.

– 'Poświęci czas tylko dla mnie' – z egoistyczną radością powiedział w duchu Q.

Rozmawiał z nią długo, wdając się we wszelkie szczegóły, które pamiętał z wczorajszego dnia. Jane nie przerywała mu ani słowem, słuchając niczym kapłan

udzielający spowiedzi. Kiedy skończył, podeszła do niego, objęła za szyję i przytuliła do siebie. Przeszło na niego ciepło jej ciała. Zapach perfum drażnił jego nozdrza. Ona zaś ścisnęła go tak mocno, że poczuł krągłość jej piersi na swoim torsie. Zrobiło mu się gorąco. Pocałowała go w policzek, a on zapłakał rzewnie.

– Biedaku.

Quincy przylgnął do niej, niczym dziecko do matki i płakał długo. W końcu, w jej ramionach znalazł spokój, którego nie spodziewał się znaleźć nigdzie indziej. Jeszcze w tej samej chwili zaprosiła go do siebie, oferując kolację, schronienie i rozmowę, jeżeli tylko znajdzie na to chęć i siły. Długo oponował, zanim się zgodził. Tym razem był pewien, że kobieta robi to z dobrego serca, nie zaś z litości. Późnym popołudniem zgasili sklepowe światła, przekręcili z chrzęstem zamek w szklanych drzwiach i poszli pod rękę wzdłuż St. John's Street. Potem Jane kupiła dwa bilety na tramwaj i pojechali do jej mieszkania na Devonshire, na obrzeżach miasta. Kiedy dotarli na miejsce, był już wieczór.

Mieszkanie Jane mieściło się w długiej kamienicy, na drugim piętrze. Dotarwszy pod drzwi, Jane wyjęła z niewielkiej torebki pęk kluczy, zważając, by zbytnio nie hałasować. Po chwili dębowe drzwi otworzyły się i Jane weszła pierwsza do mieszkania. Przystąpiwszy próg sięgnęła do włącznika. Po chwili mieszkanie rozświetlił miękkim, ciepłym światłem żyrandol. Quincy ciągle stał przed otwartymi drzwiami.

– Posłuchaj Jane, zrobiłaś już dla mnie wystarczająco dużo, Nie chciał bym się narzucać, nie chcę sprawiać niepotrzebnego kłopotu. Zawsze mogę spędzić noc w przytułku – powiedział lekko przytłumionym głosem.

– Wejdź Quincy, nie sprawiasz żadnego kłopotu. Jak widzisz, mieszkam sama, dawno nie miałam z kim porozmawiać. Będzie mi bardzo miło, jeżeli zgodzisz się być moim gościem.

Quincy nie kazał długo się przekonywać. Wszedł do środka, po czym delikatnie zamknął za sobą drzwi. Salon był skromnie, ale starannie umeblowany. Prowadził do niego krótki korytarzyk, który wyłożony był drewnianymi panelami. Panował tu ciepły, domowy klimat. Na komodzie stały rozmaite kwiatki i roślinki, na ścianach wisiały kolorowe obrazy w ramach ozdobnych.

– Rozgość się. I podaj mi swój płaszcz, chyba, że zamierzasz w nim spędzić resztę wieczoru – powiedziała Jane, po czym zaśmiała się cichutko.

Mężczyzna zdjął płaszcz, czapkę i postrzępione rękawiczki. Jane odwiesiła wszystko na wieszak. Usiedli na niewielkiej sofie. Quincy westchnął cicho. Było mu wygodnie i ciepło.

– Posłuchaj Quincy. Nie zrozum mnie źle, ale może masz ochotę skorzystać z kąpieli? Przygotuję dla Ciebie czysty ręcznik i gorącą wannę. Znajdą się też jakieś ubrania na zmianę, poprzedni lokator zostawił dwa kartony swoich rzeczy, po które nigdy się nie zgłosił.

Q. zawstydział się. Spojrzał po sobie. Fakt, jego

odzienie nie było w najlepszym stanie. Jane zaprowadziła go do pomieszczenia, w którym znajdowała się wanna pełna już gorącej wody.

– Oto Twój ręcznik, przybory do golenia i ubrania na zmianę. Mam nadzieję, że będą pasować. Nie musisz się spieszyć. Zajmij się sobą, a ja w tym czasie przygotuję nam coś do jedzenia – powiedziała swoim miękkim, kobiecym głosem, po czym udała się do drzwi. Quincy w ostatniej chwili złapał ją za rękę. Ścisnął ją lekko, w przyjacielskim uścisku.

– Jesteś doprawdy wspaniałomyślna Jane. Dziękuję Ci z całego serca.

– To nic takiego, naprawdę. Gdybyś czegoś potrzebował, wołaj, będę w kuchni – uśmiechnęli się od siebie, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym Jane wyszła z pomieszczenia, a Quincy zamknął drzwi na zasuwkę. Odłożył przybory do golenia na umywalkę, a ubrania na brzegu półki naściennej. Powoli zaczął rozpinać flanelową koszulę. Zdjął ją, złożył starannie i odłożył na podłogę, w kąt. Powoli zdjął starą, przetartą koszulkę i ciemny podkoszulek. Je również odłożył na bok. Stał przed lustrem. Musiał powstrzymać się, żeby nie krzyknąć. Nogi się pod nim ugięły. Oparł się o umywalkę. Odbicie w lustrze przedstawiało przeraźliwie wychudzonego człowieka. Quincy przysunął się bliżej, żeby dobrze się sobie przyjrzeć. Mógł dosłownie policzyć swoje zębra. Brzuch miał zapadnięty, ramiona chude i żylaste. Z dawnych mięśni, którymi mógł się

pochwalić jako młodzieniec, nie pozostało już prawie nic. Twarz była zarośnięta, ogorzała, czupryna gęsta, cienie pod oczami przydawały mu upiornego wyglądu. Sięgnął po zestaw do golenia. Po kilkunastu minutach gęsta broda zniknęła, odsłaniając nieco tylko bardziej ludzką twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi. Następnie zanurzył się w ciepłej, ale już nie gorącej wodzie w wannie. Tyle mu wystarczyło. Leżał w bezruchu kilka dobrych minut. Czuł się dobrze, ciepło otaczało całe jego ciało. W następnej chwili wstał, wyszorował dokładnie całe ciało szorstką gąbką i mydłem, wymył dokładnie włosy szamponem.

Kiedy wyszedł z wanny, zostawił w niej mętną i ciemną ciecz, z którą do spływu odpłynęły brud, złe myśli i problemy. Ponownie stanął przed lustrem. Przeczesał czyste już włosy dłońmi. Sięgnął po ubranie przygotowane przez Jane. Ubrał nowe skarpetki, nieco luźne jeansy oraz czarną koszulkę polo z niewielkim kołnierzykiem. Przygładził nieco włosy, zaczesując je w lewą stronę. Sięgnął po pastę do zębów, przepłukał nią usta. 'Oto nowy, lepszy Quincy' – pomyślał. Na niewielkiej półeczce tuż obok lustra, zauważył pośród innych kosmetyków o nieznanym mu nazwach i zastosowaniach, mały flakonik z perfumami. "Fleur de Roquai" – przeczytał obcojęzyczną nazwę. Nieco niżej znajdowała się przetłumaczona nazwa: "Kwiaty z potoku". Odciągnął koreczek, aby powąchać. Wziął głęboki pełny wdech. Tak, był to ten sam zapach, który

uderzył mu do głowy kilka godzin wcześniej, w sklepowym zapleczu. Stał tak dłuższą chwilę z zamkniętymi oczami, po czym pomyślał, że najwyższy czas wracać do Jane, która zapewne zaczęła się już niecierpliwić. Zatknął korek, odstawił pojemniczek na swoje miejsce. Pozbierał wszelkie rzeczy, które należały do niego w jedno miejsce, po czym zgasił światło i wyszedł do salonu.

W pokoju pachniało już domowo przygotowanym jedzeniem. Aromat pieczonego kurczaka szybko dotarł do jego nozdrzy. Jane zapraszała go do stołu. Usiadł na jednym z wysokich, obijanych jasną tapicerką krzeseł. Stół wyglądał, jak gdyby został przygotowany na jakieś wielkie przyjęcie. Znajdowało się na nim wszystko, o czym uczyła szkoła *savoir – vivre*'u. Podczas jedzenia niemiłe uczucie zakłopotania powoli ustępowało niekłamanemu zadowoleniu. Quincy czuł się dobrze i uśmiech prawie nie schodził z jego ust. Jane okazała się świetną kucharką i jeszcze lepszą towarzyszką rozmów. Po udanej kolacji, zasiedli w dwóch głębokich fotelach, które czule obejmowały ich ciało szerokim wezgłowiem i ramionami. Pili herbatę i rozmawiali.

– Myślałeś już, co zrobisz z pieniędzmi, które zostawił Ci Bill? – poruszyła temat Jane.

– Naprawdę nie wiem. Szczerze? Jeszcze to do mnie nie dociera. W jednej chwili jestem bezdomnym, który cały swój majątek nosi w kieszeniach płaszcza, a dobie później mam okazałą sumę na koncie, siedzę tutaj z Tobą

i rozmawiam w najlepsze. Wszystko wygląda jak jakiś sen. Jak marzenie, którego nic nie może zepsuć. Ale tak poważnie to nie wiem, co z tym wszystkim zrobię. Waham się nawet, czy powinienem był przyjąć ten prezent wtedy od Billa – na wspomnienie przyjaciela zawiesił na chwilę głos i zamyślił się. Zastanawiał się w duchu, gdzie podziewa się teraz stary Andrews i co się z nim dzieje.

– Bill chciałby żebyś z tego korzystał, pamiętasz, jak opowiadałeś mi, co Tobie powiedział, wtedy, w kawiarni? Pragnął, żebyś żył własnym życiem, był szczęśliwy, korzystał z każdego dnia.

– Widzisz, Jane... – Spojrzał głęboko w jej prześliczne, błyszczące oczy. – Kiedy żyjesz tak jak ja, niewiele jest Ci potrzebne do szczęścia. Żyjesz z dnia na dzień, jedyne, czego tak naprawdę potrzebujesz, to talerz ciepłej zupy i dach nad głową, żeby bezpiecznie przetrwać zimę. Dni mijają jednakowo, a Ty żyjesz marzeniami na temat tego, co by było, gdybyś miał kupę pieniędzy. Myślisz o normalnym domu, podróżach, kupnie auta. Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy to, o czym marzyłem, naprawdę się stało. Teraz mam pieniądze i nie wiem, jak żyć. Nie wiem, co z nimi zrobię. Moje życie przez kilka lat było tą właśnie rutyną, o której Ci mówię. Może i nie był to cudowny czas, ale nie było w nim żadnych nieprzewidzianych zdarzeń – każdy następny dzień powielał schemat poprzedniego. A teraz... Teraz właściwie boję się życia, tego, co przyniesie jutro.

Pomimo całego bezsensu mojego dotychczasowego życia, było mi dobrze. Nie użalałem się nad sobą, nie pragnąłem więcej. A znalazłem się w strasznej sytuacji. Przeraza mnie wizja sytuacji, w której raz zasmakowawszy tak zwanego prawdziwego szczęścia, dobrobytu, stabilizacji, musiałbym wrócić do życia na ulicy. Nie wiem sam, Jane, muszę jeszcze nad tym wszystkim pomyśleć, potrzebuję więcej czasu, to wszystko dzieje się stanowczo za szybko.

Młoda kobieta chwyciła go po przyjacielsku za dłoń i uściśnęła czule. Quincy opuścił wzrok, wbijając go w dno filiżanki.

– Posłuchaj mnie. Dopóki nie postanowisz, co dalej zrobisz, możesz zostać tutaj – powiedziała powoli Jane.

– Nie wiem, czy powinienem. Nie chciałbym sprawiać Ci problemów, nie chcę być ciężarem.

– Quincy, hej, spójrz na mnie. Nie myślisz chyba, że robię to wszystko z litości? Fakt, znamy się krótko, ale... Zdażyłam Cię już bardzo polubić. Nie będę Cię zatrzymywać, ale jeśli tylko masz ochotę, zostań, przynajmniej na dzisiejszą noc. Jest już prawie dziesiąta, a za oknem szaleje zamieć. Nie ma mowy, żebyś błąkał się po mieście w taką pogodę. A potem zrobisz, co będziesz uważał za słuszne, dobrze?

Mężczyzna długo się wahał, zanim odpowiedział. Nie rozumiał sam siebie. Przecież szalał za tą kobietą, kochał ją całym sercem. Z drugiej strony jednak, czuł się nie najlepiej, z tym, co robi. Miał wrażenie, jak gdyby wkraczał do zakazanego mu świata, jakby nie tu było jego

miejsce. Mimo wszystko, nie mógł sobie odmówić spędzenia choćby i tych kilku jeszcze godzin z nią.

– Dobrze Jane. Zostanę dzisiaj. Co będzie jutro, pomyślimy. Jutro z samego rana powędruję do banku, aby zobaczyć, jak cała sprawa wygląda.

– Jeśli chcesz, mogę Ci towarzyszyć. Co roku na dzień przed Wigilią sprzedają w sklepie zajmuje się właściciel, pan Morgan. Przy okazji wypełnia różne dokumenty, faktury i podobne sprawy. Ja mam wolne.

– Dobrze. Może jeśli pójdziesz ze mną, będzie dobrze. – Tak naprawdę Quincy pomyślał o tym, że jeżeli pójdzie sam, ochrona banku wyrzuci go stamtąd szybciej, niż zdąży przestąpić progi budynku. Towarzystwo Jane może więc okazać się przepustką bezpieczeństwa przez wiele nieprzyjemności – poza tym na pewno jesteś zorientowana bardziej niż ja, w świecie finansjery i bankowości.

– W porządku. Myślę, że skoro planujesz wyjść z samego rana, powinniśmy iść już spać. To był długi dzień pełen różnych wrażeń.

– 'Co to, to na pewno' – pomyślał mężczyzna.

– A Ty musisz wypocząć. Chodź za mną, pokażę Ci Twoją sypialnię.

Quincy odstawił niewielką filiżankę na stół. Podniósł się z fotela i posłusznie poszedł za Jane. Kobieta zaprowadziła go do pokoju, który znajdował się pomiędzy salonem a kuchnią. Kiedy weszli do środka i Jane zapaliła światło, jego oczom ukazało się wnętrze o ścianach w

ciepłych, pastelowych kolorach. Pod sufitem wisiał okazały, ozdobny żyrandol. Wzdłuż jednej ściany komoda, naprzeciw zaś, szerokie, starannie zasłane łóżko.

– No więc tu będziesz spał. W szufladzie komody znajdziesz dodatkowy koc, gdybyś potrzebował. W razie, gdybyś miał z czymkolwiek problem, śpię w pokoju obok. Możesz po prostu zapukać w ścianę, albo do drzwi. To chyba wszystko.

Na moment oboje poczuli się niezręcznie. Zapadła dłuższa chwila ciszy. Jane przez moment wpatrywała się w mężczyznę. Quincy zaś wpatrywał się w nią. Chciał coś zrobić, jakoś ją pożegnać, podziękować za ten wspaniały wieczór. Pocałunek w policzek wydał mu się zbyt odważny. Na przyjacielski uścisk też nie był w stanie się zdobyć. Zawiedziony i zły na siebie, że nie potrafi ofiarować nic ponadto, powiedział:

– Dziękuję. Dobranoc Jane – po czym uśmiechnął się najserdeczniej, jak umiał.

– Dobranoc Quincy. Śpij dobrze – powiedziała cichutko kobieta, obróciła się i wyszła. W pokoju pozostał po niej tylko zmysłowy zapach perfum. Quincy rozebrał się, zostając tylko w podkoszulku i bokserkach, po czym nakrył się pościelą pod samą szyję. Przysunął się do ściany tak blisko, jak to tylko było możliwe, przyłożył do niej jedną dłoń i zasnął twardym snem.

Tuż za ścianą, po jej drugiej stronie, Jane nie mogła zasnąć. Po jej głowie błądziły rozmaite myśli. Zastanawiała się, co tak naprawdę zrobiła. Wpuściła

prawie obcego mężczyznę do domu. Z drugiej zaś strony, było w nim coś nieokreślonego, nieuchwytnego, co sprawiało, że mu ufała. Poza tym, był niezwykle sympatyczny. Zastanawiała się nad tym człowiekiem. Co z nim teraz będzie, co zrobi z pieniędzmi, które zostały mu ofiarowane. Ciekawiło ją, jak rozwinie i potoczy się ich znajomość. Cokolwiek by nie było, życzyła mu dobrze.

Kiedy wreszcie zasnęła, nie był to spokojny sen. Jakiś koszmar odwiedził ją tej nocy. Czuła się niezbyt pewnie, podświadomie wykrywała jakieś zagrożenie, które ma nadejść niewiadomo skąd. Śniło jej się, że siedziała na jednym z ulicznych chodników, boso, pod ścianą. Naprzeciw niej, w świetle latarni stał jakiś wysoki mężczyzna, ubrany w ciemny prochowiec, długi do samej ziemi. Spod niego wystawały tylko spiczaste, błyszczące buty. Na głowie miał czarny kapelusz z niewielką, czerwoną obwódką. Rondo kapelusza rzucało cień na twarz, której nie mogła dostrzec. Jednakże to, co wzbudzało w niej strach, było dobrze widoczne. Były to czerwone, jakby płonące żywym ogniem oczy, wpatrzone prosto w nią. Strach był tak paraliżujący, że nie mogła odwrócić głowy od tego petryfikującego spojrzenia. Przyparta do muru, skuliła się w sobie. Na całej długości ulicy nie było nikogo, prócz nich. Mężczyzna powolnym krokiem ruszył przed siebie w jej stronę. Jego płonące źrenice rozjarzyły się jeszcze bardziej. Jane zaczęła krzyczeć, zdawała sobie jednak sprawę z tego, że jest

sama i nikt jej nie usłyszy. Mężczyzna zaśmiał się demonicznie, a odgłos jego śmiechu odbijał się od ścian budynków zwielokrotnionym echem. Oddech Jane przyspieszył, serce wyrywało się z piersi. Jej prześladowca wyciągnął ku niej chude, kościste dłonie. Krzyczała coraz głośniej...

– Jane! Obudź się, Jane, słyszysz! – powoli dochodził do niej jakiś głos, jakby z oddali – co się stało, Jane?

Przerażona kobieta powoli zaczęła orientować się w sytuacji. Nad nią pochylał się Quincy, trzymając ją za ramiona. Ona zaś siedziała na łóżku, rozpalona i oblana potem. Przez uchylone drzwi wdzierał się wąski snop światła zapalonego w biegu na korytarzu.

– Ja chyba... Chyba miałam zły sen. Śniło mi się coś okropnego, jakiś mężczyzna – Quincy słyszał jak oddychała ciężko i jak mocno uderza jej serce – Nie wiem, czy zasnę.

– Jeśli chcesz, mogę posiedzieć przy Tobie, dopóki nie zaśniesz – zaproponował bez wahania mężczyzna.

– Zrobiłbyś to dla mnie? – zapytała Jane poprawiając zmierzwione włosy.

– Oczywiście. Przyniosę Ci szklanekę wody. Poczekaј chwilę, zaraz wracam.

Quincy pospiesznym krokiem udał się w stronę kuchni. Po kilkunastu sekundach wrócił, stawiając szklanekę chłodnej wody na nocnym stoliku Jane.

– Spróbuj zasnąć, posiedzę tu przy Tobie.

Jane skinęła głową na znak potwierdzenia, po czym

nakryła się kołdrą. Quincy przysunął do jej łóżka krzesło stojące dotychczas w rogu pokoju. Usiadł naprzeciw łóżka. Jane wysunęła dłoń spod okrycia i złapała go mocno za rękę.

– Nie puszczaj, dopóki nie zasnę – prośba ta zabrzmiała tak niewinnie i jednocześnie tak poważnie, jak prośba dziecka, które boi się zasnąć po ciemku. Quincy nic nie powiedział. Siedział naprzeciw niej, pograżając się w myślach i walcząc ze zmęczeniem. Wreszcie, sam nie wiedział kiedy zasnął.

Następnego ranka, po obfitym śniadaniu, Quincy i Jane wyszli do banku. Było kwadrans po dziewiątej i widać było, że święta Bożego Narodzenia już wkrótce. Na ulicach było niesamowicie tłoczno. Po wąskich chodnikach długimi sznurami przesuwwały się pielgrzymki zakupowiczów, wędrujące od jednej do drugiej wyprzedaży. Jane szła z Quincym pod ramię. Rozmawiali i wyglądali niczym stare dobre małżeństwo. Do Grimson Street, na której znajdował się bank pieszo można było dojść w około 25 minut, niespecjalnie się nawet spiesząc. Z racji tego, że nie było dużego mrozu, postanowili się przejść. Młodemu mężczyźnie po głowie kołatały się różne myśli. Prawdę mówiąc, to mocno się denerwował na myśl o pieniądzach.

– Jane, może Ty masz jakiś pomysł, co zrobić z tymi pieniędzmi?

– Quincy, nie mogę Ci niczego podpowiadać, bo wiem, że natychmiast się tym zasugerujesz – zaśmiała się

pod nosem – To musi być Twoja decyzja, proszę, nie pytaj mnie więcej o to. Zrobisz, co będziesz uważał za słuszne.

– No tak. Już prawie jesteśmy. Wejdz ze mną do środka.

Gdy weszli do ogromnego budynku przy Grimson Street 17-20 ich oczom ukazała się ogromna sala. Po obu jej stronach stały rzędy biurek, do kolejkach ustawiali się interesanci. Obsługujący ich pracownicy banku zazwyczaj okazywali się mężczyznami w eleganckich garniturach i nienagannie zawiązanych, jednakowych, grafitowych krawatach. Witali klientów tą samą wystudiowaną miną i zegnali identycznym niemal, jak się Quincemu wydawało, lekceważącym spojrzeniem i kiwnięciem głowy, jak gdyby chcieli powiedzieć: 'Następny!'. Mężczyzna był lekko dezorientowany ogromem tego miejsca i ilością ludzi. Wydobył z wewnętrznej kieszeni płaszcza maleńki kartonik, który owej nocy podarował mu Bill. Odczytał raz jeszcze zapisane na nim nazwisko: Sebastian Willoughsby. Podeszedł do szerokiego, barczystego, czarnoskórego mężczyzny, stojącego niemalże na baczność przy wejściu. Zapytał ochroniarza o nazwisko, wskazując jednocześnie na kartonik. Atletyczny mężczyzna spojrzął to na kartkę, to na Quincego, po czym nic nie mówiąc, wyciągnął rękę przed siebie, palcem wskazującym wyznaczając biurko na końcu sali. Q. podziękował grzecznie, po czym wrócił do Jane. Tym samym gestem wskazał jej ich cel. Kiedy podeszli bliżej

zastali przy biurku szczupłego mężczyznę o kruczoczarnych włosach, ubranego w taki sam ciemny garnitur i służbowy krawat, jak pozostali. Mężczyzna uniósł wzrok w stronę Quincego, i pytająco uniósł brwi:

– Mogę się czymś państwu przysłużyć? – zapytał powoli.

– Wierzę, że jest pan właściwą osobą. Czy mam przyjemność z panem Sebastianem Willoughsby?

– Zgadza się.

Quincy w telegraficznym skrócie przedstawił całą sytuację. W jakim celu przyszedł i kto go do niego przysłał.

– Ach tak, pan Andrews wspominał, że pan się pojawi. Spójrzmy więc, o czym w ogóle rozmawiamy – to powiedziawszy zaczął wertować jakieś księgi rachunkowe w poszukiwaniu odpowiedniej rubryki. Trwało to dosyć długo, jednakże Quincy nie śmiał odezwać się nawet słowem. Cierpliwie czekał spoglądając raz na bankiera, raz na Jane.

– Znalazło się – wyszczerzył zęby urzędnik, w uśmiechu zadowolenia – Pan Andrews przeznaczył na poczet pańskiej lokaty okrągłe trzydzieści tysięcy dolarów. Doliczając należne odsetki będzie to razem trzydzieści sześć tysięcy czterysta pięćdziesiąt dwa dolary, osiemdziesiąt jeden centów – Willoughsby powiedział to jednym szybkim zdaniem, po czym wyprostował się na krześle, zadowolony ze swoich dokładnych co do centa obliczeń.

Usłyszawszy to, Quincy niemal natychmiast poczuł, jak robi się mu gorąco. Była to niebagatelna suma. Można było śmiało powiedzieć, że w jednym momencie stał się bardzo zamożnym człowiekiem. Zupełnie nie wiedział, co z tym wszystkim zrobić.

– Czy chciałby pan dokonać wypłaty środków z konta? – zapytał bankier.

Quincy zdecydował się na wypłacenie samej końcówki, pozostawiając na rachunku okrągłą kwotę trzydziestu sześciu tysięcy dolarów. Po kilku minutach ścisnął Sebastianowi rękę na znak podziękowania i odchodził od biurka z pieniędzmi zapakowanymi w kopertę wraz z pokwitowaniem, pieczętą i 'wszystkim co trzeba', jak to ujął obsługujący ich pracownik banku.

Razem z Jane udali się w stronę wyjścia z banku, po raz kolejny przeciskając się przez coraz większy tłok zgromadzonych w budynku ludzi. Kiedy wreszcie wydostali się na zewnątrz, Quincy spojrzał na Jane.

– Posłuchaj, mam taki pomysł. Muszę teraz jeszcze pozałatwiać kilka ważnych spraw. Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym zrobić to sam. – Ciężko przez gardło precyzyjnie się te słowa. Czuł się niezręcznie, każąc kobiecie zostawić go samego.

– Nie ma problemu, jeżeli tak wolisz – powiedziała Jane. Quincy nie wyczuł w jej głosie żalu. Zamiast tego uśmiechnęli się do siebie promiennie.

– W porządku. Jeśli chcesz, możemy później wyjść, spotkać się gdzieś. Co powiesz na kino, teatr? Widziałem

gdzieś repertuar, w Cinema Paradiso grają kilka ciekawych filmów.

– Świetnie. O siedemnastej?

– Świetnie. O siedemnastej zatem.

Uzgodniwszy plany co do późniejszej części dnia, rozeszli się, każde w swoją stronę. Tak naprawdę Quincy nie miał żadnych pilnych spraw, w których załatwieniu przeszkadzała by mu Jane. Jej obecność przyprawiała by go o ogromne zakłopotanie, bowiem niełatwo wybierać gwiazdkowy prezent w obecności osoby, która ma go dostać. Pierwszą myślą Quincy'ego było to, by zabrać Jane razem z sobą i kupić jej to, co wybierze. Jednakże był to scenariusz mało prawdopodobny. Nie znał Jane zbyt długo, ale wiedział, że jest osobą niezwykle skromną i za nic w świecie nie zgodzi się wybierać prezentu dla samej siebie. Mężczyźnie nie pozostało nic innego, jak udać się w podróż po wszelkich sklepach, wystawach i świątecznych jarmarkach w poszukiwaniu czegoś niezwykłego.

Plan planem, ale zupełnie nie miał pojęcia, gdzie powinien udać się na samym początku – tym bardziej, że nie miał sprecyzowanego celu. Nigdy nie kupował dla nikogo prezentu, a już tym bardziej wyzwaniem było znalezienie czegoś dla Jane. Postanowił więc, że po prostu przespaceruje się w co bardziej interesujące miejsca i być może znajdzie coś, co samo przyciągnie jego uwagę. Z Grimson Street udał się w kierunku ratusza, ponieważ tam w okresie świątecznym można znaleźć było wszelkiej

maści handlarzy i kupców, zachwalających swoje towary.

Było wczesne przedpołudnie, a na miejskim rynku już od dawna rozlegał się gwar rozmów, krzyk przekupek, płacz dzieci i krzyki ich matek. Kwadratowy, symetryczny plac miejskiego targowiska otoczony był jednolita fasadą niezbyt wysokich, białych budynków, z których wszystkie wyglądały podobnie. W centrum znajdowała się niewielka fontanna, do której bardziej przesądni mieszkańcy co rusz wrzucali monety o drobnych nominałach, w nadziei, że za jak najmniejszą cenę wykupią sobie należne w ich mniemaniu szczęście i spokój. Z racji panujących mrozów, na czas zimy fontanna była wyłączana. Reszta zaś placu zastawiona była wszelkiego rodzaju stołami, ladami, blatami, na których wykładano najrozmaitsze towary, wszelkiego sortu i maści. Były tu więc warzywa, stoiska mięsne i rybne, potężne stragany z perskimi dywanami, głośnie i brudne zagrody z dzikimi zwierzętami, roiło się od ulicznych grajków, żebraków, handlarzy i przechodniów.

Słońce wspięło się już dosyć wysoko na niebie i pomimo wczesnej godziny, panował mróz, a powietrze kłuło w płuca. Zgodnie z oczekiwaniami właścicieli, wszelkiego typu gospody, oberże, czy szynkwasy były wręcz zatłoczone klientelą, która poszukiwała grzanego piwa lub ciepłej strawy. W ogólnym zgiełku i chaosie ciężko było się odnaleźć przyjezdnym, jednak mieszkańcy niewielkiego miasteczka poruszali się między stoiskami zgrabnie, niczym po niewidzialnym sznurku. I choć

zdarzało się, że kobiety wpadały na siebie niespodziewanie, a dzieci zderzały się ze sobą w szaleńczym biegu, nikt nie miał do nikogo o nic pretensji.

Tego dnia Quincy tak naprawdę po raz pierwszy poczuł się jak prawdziwy klient. Z garścią srebrnych monet pobrząkujących w kieszeni płaszcza i kopertą banknotów czuł się niezwykle ważny – każdy bowiem sprzedawca tak szczególnie zachwalał mu swoje towary, że chodził uśmiechnięty od stoiska do stoiska dając się namawiać znowu a znowu na coś nowego. Sam przy tym nie wiedział, czego chce. Quincy więc wędrował po całym placu, jednocześnie udając osobę szalenie zorientowaną w handlu, zasadach i cenach jakie w nim obowiązują. Z pewną przyjętą manierą odpowiadał więc na zachęty kupców:

– Och, to stanowczo za drogie, musiałyby pan albo coś dołożyć, albo opuścić z ceny.

Lub też:

– Za taką cenę mógłbym mieć dwie sztuki na sąsiednim stoisku.

I w końcu:

– Naprawdę nie sędzę, żeby było mi to potrzebne.

Rzecz jasna sprzedawców doprowadzało to do szewskiej pasji, aczkolwiek dla mężczyzny, która odkrywał ten nowy dla niego świat, stanowiło to pewnego rodzaju zabawę. Wreszcie, nieco znudzony i tak naprawdę niezdecydowany, zakupił kubek gorącej kawy, usiadł na niskim, ceglany murku okalającym fontannę i

postanowił nieco poobserwować ludzi, a nie towary, co wydało mu się nawet ciekawsze. Cóż tu się działo! Niski, gruby wążacz ze stoiska rybnego wciąż coś krzyczał, wykonując przy tym iście teatralne ruchy, co wyglądało naprawdę komicznie. Gdzieś obok dwie kobiety przekrzykiwały jedna drugą, kłócąc się o okropną pomarańczową sukienkę w czarne kropki, jak gdyby była to kreacja warta zachodu. Histerycznie wymachiwały przy tym rękami, przy czym jedna wyglądała, jak gdyby pływała w powietrzu, druga co chwilę wyrzucała ręce w górę, jakby składając się do wyskoku. Jeszcze dalej handlarz sprzedający jakieś kobiece świece, co chwilę to przymierzał damskie kolczyki przykładając je do ucha, zachwalając je zgromadzonym wokół kobietom.

Dla mężczyzny był to istny jarmark osobliwości. Siedząc tak z kawą w ręku i obserwując, naprawdę nieźle się bawił. W końcu jednak wysączył do końca gorący napój i postanowił na poważnie wziąć się za poszukiwania. W zalewie kiczu i tandety, co prawda zdarzały się rzeczy wysokiej jakości, lecz albo kompletnie nie nadawały się na podarunek dla Jane – jak piękne importowane, zdobione fajki, czy papierośnice (co w pewnych kręgach rzeczywiście uchodziło za rzecz niemalże niezbędną i definiowało poczucie dobrego smaku), – albo przekreślał je brak wiedzy Quincy'ego na temat wymiarów, rozmiarów, długości, krojów, czy deseni i tego, czy naprawdę jest to najnowszy krzyk mody, jak wszyscy mu zgodnym chórem powtarzali, czy nie.

Wtem jego wzrok przyciągnęło małe stoisko pewnego pana z sumiastym wąsem, ubranego w ciemną, jednolitą szatę z posrebrzanymi guzikami. Był to wysoki mężczyzna o śniadej cerze, podłużnej twarzy i tajemniczych oczach. Od pozostałych sprzedających różnił się tym, że w ogóle nie zachwalał swoich towarów – nie krzyczał wniebogłosy, nie szukał specjalnej uwagi, jak gdyby wierzył, że jego towary przyciągną klientów jedynie swoją wyjątkowością. Nie inaczej było z Quincym. Kiedy podszedł bliżej, zauważył kilka gablotek złożonych ze szklanego wieka, drewnianej ramy z ozdobnie rzeźbionego materiału i wyściełanych czarnym lśniącem materiałem. Na jego powierzchni ułożone były równomiernie dziwne przedmioty, które natychmiast zaintrygowały młodego mężczyznę.

– A cóż takiego pan tutaj sprzedaje? – zapytał grzecznie.

– Witam szanownego pana – powiedział sprzedawca niskim, melodyjnym głosem, w którego brzmieniu dało się wyczuć jakiś dziwny, być może orientalny akcent.

– To, co pan tu widzi, to niezwykle i wyjątkowe przedmioty. Każdy z nich, zwę sigil.

Egzotycznie brzmiąca nazwa wydała się Quincy'emu o tyleż obca, co intrygująca.

– Mógłby pan powiedzieć coś więcej?

– Przez wiele stuleci uważano sigillum za rodzaj magicznego przedmiotu, stworzonego w konkretnym celu magicznym. Dzisiaj jest to już jedynie ciekawa, niestety

ginąca forma sztuki. Zresztą, proszę spojrzeć – to powiedziawszy uchylił przed coraz bardziej zainteresowanym Quincym wieko jednej z gablotek, odsłaniając swój niezwykły zbiór. Były to przedmioty w rozmaitych formach i wzorach. Część z nich stanowiły ozdobne pierścienie, inne zaś były w formie naszyjników, sygnetów, czy emblematów. Jeszcze ciekawsze były zaś te uformowane w kształt geometrycznych brył lub kształty, których Quincy nie potrafił nawet nazwać. Jego wzrok przykuł niewielki, ale piękny naszyjnik wykonany z ciemnego srebra, grawerowany jakimiś niezwykłymi wzorami, układającymi się w zawiłą całość.

– Chciałbym obejrzeć ten, jeśli można – wskazał palcem.

– Służę panu uprzejmie – powiedział kupiec.

Wyciągnął z kolekcji wskazany przez Quincy'ego przedmiot. Podał go mężczyźnie. Quincy oglądał go z wszystkich stron. Był to niewielki wisiołek, w kształcie rombu. Ciemniejszy wewnątrz, bardziej lśniący na krawędziach, które zostały wyszlifowane niemal do ostrości. Wokół wygrawerowane zostały z niezwykłą starannością jakieś niezrozumiałe dla niego znaki, jak gdyby napis, którego treść pozostać musiała tajemnicą.

Po krótkich oględzinach Quincy powiedział krótko:

– Biorę.

Dopełniwszy płatności, zapakował wisiołek w małe pudełeczko wyłożone atlasowym materiałem, chwilę jeszcze przyglądał się swojemu nowemu nabytkowi, po

czym zamknął szkatułkę z trzaskiem, zawrócił w stronę przystanku tramwajowego i odszedł szybkim krokiem.

Było już po południu. Quincy rozstał się z Jane nie więcej niż kilka godzin wcześniej, a już brakowało mu jej obecności. Było to dosyć oczywiste zważywszy, że był w niej szaleńczo, lecz skrycie zakochany, i że od niedawna była na dobrą sprawę jedyną znaczącą osobą w jego życiu. Myśląc o tym, jeszcze bardziej przyspieszył kroku, wszedł w tramwaj linii 68 i już po kilkunastu minutach znajdował się w odległości kilku przecznic od domu Jane. Jeszcze kiedy wchodził po schodach przekonywał sam siebie, żeby poczekać z wręczeniem prezentu dla Jane do dnia jutrzejszej Wigilii. Ciężko było mu się powstrzymać. Najchętniej jak najszybciej oddałby maleńki pakunek znajdujący się obecnie w kieszeni jego płaszcza.

Gdy stanął przed drzwiami do mieszkania Jane, wytarł dokładnie buty i zastukał cichutko trzy razy. Już po chwili usłyszał kroki kobiety. W drzwiach świecącym oczkiem mignął odkryty z przeciwnej strony judasz. Zgrzytnęły zamki i zasuwki i po chwili Quincy znalazł się w ciepłym wnętrzu.

– Hej! Jak tam sprawunki?

– Wszystko w porządku – rzucił Quincy po raz kolejny speszony, że nie mówił jej całej prawdy.

– To dobrze. Rozbierz się, siadaj, a ja przygotuję dla Ciebie coś gorącego, na pewno zmarzęś.

Mężczyzna przytaknął tylko, zdjął płaszcz, rozsznurował buty, po czym udał się do salonu. Już po

chwili w całym mieszkaniu pachniało świeżo zmieloną kawą.

* * *

Nocny ekspres relacji Ashbury – Caladon mknął w ciemności rozświetlając mroki przednimi reflektorami lokomotywy. Za oknami świszczą mroźne powietrze i sypał gęsty śnieg. Kierownik pociągu zaczynał nocny obchód, wydając dyspozycje konduktorom i obsługującym wagony sypialniane. Mimo, że było już około północy, kolejarze pracowali nie mniej pilnie niż za dnia, pilnując, aby pasażerowie zajmujący łóżka w wagonach zostali obudzeni na czas przed ich stacją docelową.

Kilka pierwszych wagonów stanowiło część pociągu zarezerwowaną dla pierwszej klasy. Następne miejsce w składzie zajmowały wagony sypialniane, później dwa wagony restauracyjne, ponownie wagony sypialniane i wagony drugiej klasy. Większość światel w przedziałach była zgaszona. Gdziekolwiek tylko było słycać ciche rozmowy, gdzieś indziej siedział ktoś, kto już dawno stracił rachubę czasu, pogrążony w lekturze. Jedyne w wagonie restauracyjnym gwar nie ustawał nigdy. Był on czynny dla pasażerów i obsługi całą dobę. Podobnie i tej nocy. Przy jednym ze stolików siedział elegancki dżentelmen topiący smutki w kolejnej szklance alkoholu. Gdzieś w rogu dwie młode kobiety rozmawiające o czymś

z przejściem. Miejsce przy centralnym stole zajmowało dwóch mężczyzn w średnim wieku, nieszczerzej prezencji. Jeden z nich, brodaty, mocno już wstawiony, niechlujnie oparł łokieć na talerzu z czymś, co kiedyś przypominało sałatkę. Widać było, że obaj byli już nieźle podpici, mimo to prowadzili dyskusję w najlepsze, jednocześnie grając w karty.

– Siergiej, braciszku. Ty mi tu nie pierdol, dobrze widziałem, jak chowasz dziewiątkę w kieszeni. Wyskakuj z pieniędzy oszuście.

– Coś ci się musiało przywidzieć. Zrobimy tak: rozdaj jeszcze raz, a ja idę się odlać.

– Fajki zostaw – wydukał nieco naburmuszony Brodacz.

Jego znajomy nawet się nie odwracając wyjął pogniecioną paczkę papierosów z wewnętrznej kieszeni niezbyt stylowej marynarki, po czym rzucił ją za siebie w kierunku stolika. Niefortunnie paczka za tytoniem wylądowała w szklance brodatego mężczyzny.

– Kurrwa, Sierożka! – huknął mężczyzna. Dwie kobiety siedzące w rogu wyglądały na mocno przestraszone.

– Dobra dobra, rozdawaj, ja zaraz wracam – powiedział, po czym zniknął we wnęce prowadzącej do toalety.

Minęło dobrych kilka minut, zanim mocno już wstawiony Siergiej wrócił do stolika, mocno się przy tym zataczając.

– Grrrrrrrrramy! – zawyrokował, próbując jednocześnie odpalić namoknięte już papierosy.

Obydwaj mieli już dosyć alkoholu, grali jednak uparcie. Emocje rosły. Brodacz wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Zerkał nerwowo co chwilę to na swoje karty, to na talię, leżącą gdzieś z boku na stole, to znów na rękę współtowarzysza, z której karty niemalże się już wysypywały.

– Siergiej, wiedziałem, znowu chciałeś pchnąć wujka pod górkę! Niech Cię diabli wezmą sukinsynu i żebym cię więcej nie oglądał!

– Spohojnie. Wszsz. Rozdaj jezszzsze razzz, zagramy.

– A idź do diabła, mówiłem Ci moczymordo!

Minęło jeszcze dobrych kilka minut. Dyskusja dwóch mężczyzn przerodziła się w niemałą kłótnię. Elegancki dżentelmen już jakiś czas temu opuścił bar w wagonie restauracyjnym. Dwie kobiety przebywające w tym samym czasie w lokalu najwyraźniej miały już dosyć przysłuchiwania się krzykom, toteż, uprzednio uiszczając opłatę kelnerowi, udały się w stronę wyjścia, w kierunku przedziałów pierwszej klasy. Drzwi nie zdążyły się jeszcze dobrze zamknąć, gdy do wagonu wszedł wysoki mężczyzna, ubrany w długi płaszcz, spod którego wystawały jedynie starannie wypolerowane lakierki. Na głowie miał elegancki kapelusz, który przesłaniał mu twarz. Stał w drzwiach, omiół wzrokiem salę, po czym podszedł do stolika kłócących się mężczyzn. Dwaj opoje zrazu nie zorientowali się, że ktoś przy nich stoi,

obrzucając się coraz to zmyślniejszymi obelgami i klnąc na czym świat stoi. Wreszcie, po dłuższej chwili, tajemniczy mężczyzna odezwał się.

– Panowie chyba niedawno o mnie rozmawiali – powiedział spokojnym, niskim, lekko zachrypłym głosem.

– A pan się chyba kurewsko pomylił – powiedział brodaty, śmiejąc się donośnie.

– Jest pan pewien, że mnie pan nie wzywał? – zapytał zupełnie poważnie tajemniczy Przybysz.

– Nie i do cholery o co panu chodzi? Jak pan chcesz, zabieraj pan tego barana ze sobą, bo i jego mam dosyć na dzisiaj i spieprzaj pan!

– Po to właśnie przyszedłem. Jest pan pewien?

– Sieriożka, przegiąłeś pałę. Ja zostawiam cię sam na sam z panem... Jak pan masz na imię?

– Ragan. Ragan Jumain – odpowiedział nieznajomy.

– Pan z naszych stron, o ile mnie słuch nie myli – hic!

– Musimy to tego, opiśś, panie Dragan – ledwo mówił Siergiej.

– Ragan – poprawił tajemniczy mężczyzna.

– Ragan, Dragan, jeden pies – To na razsssssie Stiepan, my tu jesszszsze z panem Rrragan się napijemy!

– A idź w diabły Siergiej. Rób sobie co chcesz – tęgi brodacz machnął ręką.

– Żegnam – powiedział Ragan. Skinął przy tym głową, jednocześnie dotykając dłonią runda kapelusza – Z przyjacielem też niech pan się pożegna, nigdy to nie wiadomo.

Brodacz nie odwrócił się już. W całym lokalu został jedynie mocno wstawiony Siergiej i Ragan. W wagonach pierwszej i drugiej klasy pogasły już światła. Do świtu zostało jeszcze kilka godzin. Nocny ekspres z Ashbury do Caladonu parł dalej przed siebie. Śnieg nie przestawał sypać.

* * *

Na kilka chwil przed pierwszą gwiazdką ulice Caladonu były jeszcze pełne spóźnionych zakupowiczów. W dzień Wigilii wiele sklepów notowało największy utarg w całym roku, toteż większość z nich była otwarta do godzin wieczornych. Dało się słyszeć na ulicach śmiechy, rozmowy, ostatnie składane naprędce życzenia, krzyki gwary i przekomarzanki na temat tego, kto był w pierwszy w kolejce i kto w tym roku kupi najdroższy prezent. Z dala od tego w małym mieszkaniu, Jane kończyła przygotowania wigilijnego stołu.

– Pospiesz się Quincy, zaraz zaczynamy! – powiedziała.

– Tak, wiem. Jak krawat? A marynarka, dobrze leży?
– zapytał mężczyzna poprawiając kołnierz pod szyją i zaciskając bardziej wiązanie krawata.

– Wyglądasz niezwykle wytwornie Quincy. Naprawdę.

Nie doszukiwał się w jej słowach ani krzty ironii, mimo iż strój, który miał na sobie nie był nowy. Kolejna

pamiątka po poprzednim lokatorze mieszkania.

– Zaparz świeżej kawy, a tymczasem ja pójdę się przebrać – rzuciła szybko, jednocześnie odrzucając kuchenny fartuch na jedno z krzeseł. Nie mając okazji nic odpowiedzieć, Quincy zajął się kawą. Po kilku dobrych minutach Jane wróciła z uśmiechem prezentując swój strój na dzisiejszy wieczór.

– I jak? – zapytała, przyjmując uwodzicielską pozę.

– Ja... ehm. Uważam, że... Świetnie.

Quincy'emu szczerze odebrało mowę. Kobieta była ubrana w niebyt długą, bo kończącą się przed kolanami sukienkę z czarnego, błyszczącego materiału. Włosy były starannie upięte w misterny kok ozdobną klamrą. Całości dopełniał skromny makijaż i lśniące kolczyki na uszach. Wyglądała oszałamiająco. Swoją drogą, mężczyzna zastanawiał się, jak udało jej się osiągnąć tak niesamowity efekt w tak krótkim czasie. 'Czas cudów', powiedział w myślach przeczytane gdzieś kiedyś zdanie.

– W takim razie myślę, że możemy zaczynać.

Kilka minut później zasiedli oboje przy suto zastawionym stole, który prawie uginał się pod ciężarem wszelkich smakołyków, które Jane przygotowała dla nich obojga. Były to pierwsze święta od dobrych kilku lat, które Quincy miał spędzić w prawdziwym domu. Na stole paliły się świece, a w tle, z głośnika radia sączyła się cicho muzyka.

– Jane, wiem, że nie znamy się długo – zabrał głos Quincy – chciałem powiedzieć kilka słów. Po pierwsze

chciałem Ci serdecznie podziękować, za pomoc okazaną mi w ostatnich dniach. Bez ciebie... Nie wiem, jakby to było bez Ciebie. Kolejne podziękowania i słowa pochwały należą Ci się za te wszystkie wspaniałości, które tu przygotowałaś. Proszę, przyjmij to, jako wyrazy mojej wdzięczności.

To powiedziawszy wydobyl z kieszeni małe pudełeczko z ukrytym w nim podarunkiem.

– Quincy, nie powinieneś, naprawdę. Ja... Nie zasłużyłam. Po prostu zrobiłam, co należało zrobić.

– Proszę. Dla Ciebie – nie ustępował Q.

– No dobrze. Ja też mam coś dla Ciebie. Dostaniesz, jeśli będziesz greczny przez resztę wieczoru.

– Zgoda. A teraz odpakuj.

Jane otworzyła małe pudełeczko i jej oczom ukazał się piękny wisiołek z ciemnego srebra.

– Quincy! To musiało kosztować fortunę! Ale jest śliczne – mówiła kobieta nie mogąc oderwać wzroku od biżuterii – Pomożesz mi? – zapytała.

Zrazu nie wiedząc o co chodzi mężczyzna przyjął pytający wyraz twarzy. Po chwili jednak uświadomił sobie w czym rzecz. Jane podała mu wisiołek zamocowany na błyszczącym łańcuszku, po czym stanęła przed nim. Quincy rozpiął delikatną zawleczkę, po czym zawiesił wisiołek na szyi Jane. Zapinając ją, musnął dłonią jej szyję. Przeciągnął palcami po jej karku, co trwało stanowczo za długo, jak na przypadek. Była niezwykle delikatna, aksamitna...

– Już – powiedział powoli.

– Dziękuję – odrzekła Jane. Wspinając się na czubki palców, pocałowała go w policzek – A teraz jedzmy.

Następnych kilkanaście minut upłynęło na swobodnej rozmowie na rozmaite tematy. Wtem, Jane powiedziała:

– Zaczekaj, Quincy. Mógłbyś podkreślić głośność w radiu – po jej twarzy widać było wyraźnie, że skupia uwagę na tym, co mówiono w radiu. Co ciekawe, do niego zupełnie nie docierało to, co od dłuższej chwili mówiła spikerka.

Przerywamy audycję świątecznego koncertu życzeń, żeby nadać specjalny komunikat. Dzisiaj w godzinach porannych obsługa pociągów na dworcu w Caladonie stała się świadkami makabrycznego odkrycia. W wagonach restauracyjnych nocnego ekspresu relacji Ashbury – Caladon odkryto zwłoki dwóch zamordowanych mężczyzn. Jednego z nich załoga pociągu rozpoznała jako barmana. Tożsamość drugiego mężczyzny pozostaje na razie nieznana. Lokalna policja wszczęła już śledztwo. Mieszkańców Caladonu uprasza się o zachowanie szczególnej ostrożności i nie opuszczanie mieszkań w godzinach wieczornych, ze względu wydarzenia ostatniej nocy. Z ustaleń wynika, że potencjalny sprawca możliwość opuszczenia pociągu miał dopiero w Caladonie. Pozostali pasażerowie pociągu są przesłuchiwani. Powtarzam: uprasza się o zachowanie szczególnej ostrożności, sprawca może poruszać się po ulicach miasta i jak na razie pozostaje nieznany.

Przestrzega się również osoby starsze i dzieci, aby do momentu zakończenia śledztwa nie rozmawiały z obcymi i nie wpuszczały nieznajomych do swoich domostw. Więcej informacji będziemy przekazywać państwu w kolejnych komunikatach.

– Dobry Boże... – powiedziała niemalże szeptem Jane. Nie zdążyła skończyć mówić, gdy z korytarza klatki schodowej dało się słyszeć najpierw pospieszne, ciężkie kroki, a później uderzenia do drzwi jej mieszkania. Quincy i Jane spojrzeli po sobie. Zapadła martwa cisza. Po chwili dudnienie do drzwi powtórzyło się. Ktoś za wszelką cenę próbował wejść do mieszkania nerwowo szarpiąc za klamkę...

ROZDZIAŁ II

"OBCY W SWOIM MIEŚCIE"

Zakutana w ciężką, skórzaną kurtkę postać wysiadła z policyjnego radiowozu pod Posterunkiem Policji przy Oak Street. Komisarz O'Reary wysiadł z auta w ciemną noc. Zamknąwszy drzwi od auta, udał się do wejścia. W portierni na posterunku zastał nieco zaspanego już młodszego aspiranta.

– Nie śpimy młody, nie śpimy! Mamy jedną z najciekawszych spraw od kilku miesięcy, a wy sobie tu urządzacie drzemkę? Raporty, akta sprawy, kawusia i gazetka za piętnaście minut na moim biurku!

– Ta-jest, komisarzu! – mechanicznie odpowiedział posterunkowy. – Trza by jeszcze przygotować jakiś komunikat prasowy, szefie. Rano pewnie zaroi się tu od tych, pozał się, żurnalistów.

– W takim razie raporty, akta, kawusia, gazetka i projekt obwieszczenia za piętnaście minut na moim biurku, młody.

– Ale... Ta-jest! – odpowiedział policjant napotyając srogi wzrok przełożonego.

– Nie będzie nam tu, rozumiecie kolego, byle jakiś zakapior w Wigilię rozrabiał. Raz w roku żona upiecze ciasto świąteczne, a człowiek musi się po komisariatach

włóczyć. I to w środku nocy. W cholere, pora zmienić tę robotę. Czas płynie, posterunkowy!

– Taa-jest!

* * *

Głuche walenie w drzwi rozległo się ponownie. Quincy i Jane po raz kolejny patrzyli to na siebie, to na drzwi.

– Co robimy? – szepnęła Jane najciszej jak potrafiła.

– W oknach pali się światło, więc jeżeli ktoś tutaj szedł, tak czy siak wie, że ktoś jest w mieszkaniu. Myślę, że powinniśmy otworzyć.

– Bardzo proszę, panie odważny – powiedziała kobieta, wskazując Quincy'emu drogę do drzwi.

Mężczyzna zacisnął mocniej pięści, przełknął głośno ślinę, po czym ruszył w stronę drzwi. Starał się podejść jak najciszej, tak, aby nie zdradzając swojej obecności pod drzwiami, móc zajrzeć przed judasz. Był ledwie kilka kroków od celu, gdy dudnienie rozległo się znowu. Mocno, trzykrotnie. Łup! I znowu. Wreszcie, Quincy dotarł do drzwi. Przyłożył do nich obie dłonie, oparł się całym ciężarem o drzwi, po czym powoli przyłożył oko do wziernika. Za drzwiami stał nieco już podstarzały, zgarbiony lekko mężczyzna, w ciemnym, znoszonym płaszczu.

– Jest tam kto? Pani Jane?

Quincy odwrócił się w stronę kobiety, unosząc brwi, jakby w zapytaniu. Kobieta skinęła głową kilka razy. Gdy mężczyzna wreszcie się odezwał, rozpoznała go po głosie.

– To stary pan Gerard, dozorca w naszym budynku. Otwórz.

Quincy posłusznie otworzył drzwi, uchylając je niemal na całą szerokość. W futrynie stanął mężczyzna skąpego wzrostu, o zniszczonej twarzy. W jego oddechu dało się wyczuć woń świątecznego grzanego wina z goździkami. Dozorca badawczo przyjrzał się nowemu lokatorowi w mieszkaniu Jane, po czym przeniósł wzrok na kobietę.

– Ależ pan nam napędził stracha, panie Gerardzie! Cóż to się stało właściwie?

– Pani kochana, tego, cóż to ja chciałem? Ach, tak. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku, wie pani, w radiu mówią, że straszne rzeczy się dzieją w naszym pięknym mieście. I to w Boże Narodzenie, dasz pani wiarę? To postanowiłem, że zajdę, sprawdzę, czy się co złego nie dzieje u sąsiadów. Ale widzę, że sobie pani świetnie radzi i nawet przyjaciela pani gości na wigilijnej wieczerzy. Szczęściarz z pana, jakich mało, młodzieńcze! Ale nie o tym, nie o tym... W każdym razie, gdyby pani miła czegoś potrzebowała, wystarczy zapukać do mnie, otworzę o każdej porze dnia i nocy. Da pani wiarę? Straszne rzeczy w radiu. Ach, już mówiłem...

– Och, to bardzo miłe z pana strony. Dziękuję za troskę. Przy okazji, skoro już pan jest, pozwoli pan, że

przedstawię – to jest Quincy, mój przyjaciel. Quincy – to jest pan Gerard.

– Witam, panie Gerardzie – powiedział spokojnie Quincy ściskając dłoń dozorczy.

– Uszanowanie, panie Quincy. Znałem ja kiedyś jednego takiego, Quincy'ego. Wariat był z niego niesamowity. Raz żeśmy w siedemdziesiątym szóstym... Racja, nie o tym, nie o tym – rzekł staruszek odczytując zdziwione spojrzenia Jane i Quincy'ego.

– Może usiądzie pan z nami chwilę, zaparzę świeżej herbaty?

– Pani kochana, nie będę przeszkadzał. Młodzi jesteście, musicie się wyszaleć, hehe, a ja staruszek będę tylko zawadzał. Młodość niech robi swoje, mam jeszcze kilka mieszkań do sprawdzenia. Minęła młodość i uroda, została reszta – szkoda! – powiedział Gerard, puszczając oko, niczym stary szelma – Bawcie się młodzi, bawcie. Uszanowanie moje, pani Jane. Dobranoc.

W chwilę później po staruszkę została tylko woń świątecznego grzańca. Quincy wyjrzał jeszcze na korytarz klatki schodowej. Nie zauważywszy niczego podejrzanego, zamknął drzwi, przekręcił z chrzęstem zamek. Po czym spojrzał na Jane. Oboje wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Nieźlego masz dozorcę, nieźle nas nastraszył – powiedział mężczyzna.

– Nas? A kto powiedział, że ja się bałam? – zadziornie powiedziała Jane, po czym udała się do kuchni.

– No tak – skwitował z uśmiechem Quincy – Ech, kobiety, kobiety...

* * *

Był kwadrans po pierwszej w nocy. W gabinecie na posterunku przy Oak Street wciąż paliły się światła. Komisarz O'Reary wpatrywał się z uporem w stronic raportów rozłożone na biurku, jak gdyby odpowiedź sama miała ułożyć się z rozsypanych wszędzie liter. Wszelkie informacje na temat wydarzeń z ubiegłej nocy były szczątkowe. Poszlaki nie dawały żadnych wskazówek, ekspertyzy ciał z nocnego ekspresu jeszcze nie dotarły, a zeznania pasażerów były mętne i niejednoznaczne.

– Jasna kurwa! – syknął komisarz, po czym zaklął szpetnie. – Że też akurat dzisiaj muszę nad tym siedzieć!

Drzwi do gabinetu uchyliły się. O'Reary uniósł wzrok zza biurka. Młody posterunkowy, nie zdejmując ręki z klamki, powiedział:

– Jeśli nie będę już potrzebny, to wybieram się do domu. Pan też wygląda na zmęczonego, szefie.

– Jedno z niewielu spostrzeżeń z dzisiejszej nocy, z którym mogę się zgodzić. Możecie iść posterunkowy. Ja jeszcze trochę posiedzę nad tym wszystkim, może coś uda mi się wyczytać w tych papierach.

– Niech pan nie siedzi zbyt długo, komisarzu. Czuję, że przed nami długie śledztwo. Proszę pozdrowić ode mnie żonę po powrocie do domu.

- Dzięki, Tony.
- Nie ma sprawy, komisarzu. Już mnie nie ma.
- Nic tu po mnie – stwierdził komisarz po kolejnych piętnastu minutach uporczywego wpatrywania się w dokumentację.

To powiedziawszy, zgasił światło w gabinecie, zamknął drzwi na klucz, omiótł wzrokiem wnętrze komisariatu i upewniwszy się, czy wszystko w porządku, wyszedł z posterunku. Po zamknięciu głównych drzwi wejściowych, wyjął z kieszeni pomietą paczkę papierosów i zapalił jednego, zaciągając się głęboko. Noc była czarna jak nigdy, sypał drobny śnieżek. O'Reary ruszył przed siebie. Wokół niego unosiła się zwinięta smużka dymu. Wtem, gdy już miał wsiąść do służbowego samochodu, jego wzrok przykuł maleńki szczegół. Coś znajdowało się za wycieraczką samochodu, na przedniej szybie. Komisarz obszedł auto, stanął z przodu od strony kierowcy i rozejrzał się. Ulica na całej długości była pusta. Nie przestając się rozglądać, O'Reary chwycił maleńki kartonik wciśnięty za przednią wycieraczkę pojazdu. Nie przestając rozglądać się na wszystkie strony, przeszedł wzdłuż całej długości ulicy, aż doszedł do pierwszej przecznicy. Szukał jakichkolwiek śladów osoby, która mogłaby włożyć to, co trzymał w ręku, za jego wycieraczkę. Nie znalazł niczego. Mimo, iż był gliną z ponad dwudziestoletnim doświadczeniem. Poczł się nieswojo. Zimny pot oblał jego szyję. Zaciągnął się mocniej papierosem i wypuszczając nosem kłęby

tytoniowego dymu, spojrział na małą karteczkę. Było tam napisane jedno krótkie zdanie:

Nie morderca jest winien, lecz zamordowany.

– Jasna cholera – powiedział policjant. Papieros trzymany w ustach wypadł mu. Rozżarzony popiół spadł na jego buty. – Tak cię to bawi, skurwielu?! – krzyknął na całe gardło. Wcale nie oczekiwał odpowiedzi, chociaż wiedział, że może być obserwowany. Zaciśnął świstek papieru w pięści i czym prędzej udał się z powrotem do komisariatu. Z hukiem otworzył drzwi wejściowe. Nie marnując czasu na szukanie kluczy do gabinetu, chwycił za słuchawkę telefonu. Pośpiesznie z pamięci wybił numer. Jeden sygnał.

– Odbierz, cholera, Tony, odbierz!

Drugi sygnał. Nic. Głucho.

Trzeci sygnał.

– Ha...Halo? – w słuchawce odezwał się zaspany głos.

– Tony? Mówi O'Reary. Słuchaj, czy wychodząc z posterunku nie widziałeś nic podejrzanego?

– Ja... Eeee, nie, raczej nie. Czy coś się stało? – zapytał głos nieco już przytomniej.

– W zasadzie tak, ale nie będę ci tego wyjaśniał w środku nocy. Słuchaj, bądź rano jak najwcześniej, będziemy mieli pełne ręce roboty.

– Nie ma sprawy, szefie, o siódmej będę w robocie.

– Tymczasem Tony. Wybacz, że budzę i spokojnej nocy.

– Do zobaczenia rano, szefie.

Policjant rzucił słuchawkę. Przeszedł za ladę portierni. Otworzył kluczem drzwi do zbrojowni. Chwilę później rozsunął kraty, za którymi znajdowała się szafka z amunicją. Chwycił dwa pudełka. Wysypał kilka pocisków na otwartą dłoń. Załadował podręczny pistolet, resztę naboji wsypał szybkim ruchem do głębokiej kieszeni płaszcza. Zamknął kraty. Kilka chwil później ponownie był przy wejściu do posterunku. Rozejrzał się nerwowo. Pusto. Ani żywej duszy. Włożył maleńki zwitek papieru do wewnętrznej kieszeni płaszcza, upewniając się, że nie może mu wypaść. Jak na razie był to jedyny poważny dowód w sprawie, więc był zbyt cenny, żeby go zgubić. Spojrzał na zegarek. Było około trzeciej, kiedy wsiadł do auta i ruszył z poślizgiem. W chwilę później zniknął w śnieżnej zamieci.

* * *

Kiedy Quincy obudził się następnego dnia rano, w całym mieszkaniu pachniało świeżo paloną kawą. Mężczyzna przeczesał ręką zmierzwiłone włosy, przetarł oczy i ziewnął, otwierając szeroko usta. Spojrzał na budzik, stojący na małym stoliczku. Za kwadrans ósma. Zdziwił się, że jest tak wcześnie. Ubiegłego wieczora nie położył się zbyt wcześnie, nie należał też do rannych ptaszków. Założył na siebie długi szlafrok i wyszedł z pokoju. Usłyszał, jak Jane krząta się po kuchni.

– Dzień dobry Jane – powiedział, wchodząc do pomieszczenia.

– Dzień dobry. Mam nadzieję, że Cię nie obudziłam?

– Nie, skądże znowu. Zazwyczaj tak wcześnie nie wstaję, sam nie wiem.

– Gorąca kawa dobrze ci zrobi.

– Niewątpliwie. Dziękuję – ujął w ręce kubek gorącego napoju.

– Więc – zaczęła Jane – co zamierzasz dzisiaj robić?

– Szczerze? Nie bardzo wiem. Ostatnich kilka dni było dla mnie bardzo dziwnych. Do tej pory czas mijał mi raczej schematycznie, na powtarzających się czynnościach. Gdyby nie Ty, to zapewne wczorajszego wieczoru byłbym na wspólnej Wigilii w przytułku, a całe święta spędziłbym pomagając dziewczynom w kuchni, albo coś czytając.

– Skoro jesteś taki chętny do pomocy, być może się na coś przydasz. Wróć do mnie za dziesięć minut, pomożesz mi nakryć do stołu. W międzyczasie zrób coś z włosami, bo wyglądasz jak strach na wróble, śpiochu – zaśmiała się cicho.

– Się robi. Za chwilę wracam – rzekł Quincy, wziął głęboki łyk gorącej, aromatycznej kawy i udał się w stronę łazienki.

Kilkanaście minut później, oboje z Jane siedzieli przy stole suto zastawionym najróżniejszymi smakołykami.

– Wiesz, dzisiaj rano znów mówili w radio o tym szaleńcu, który zabił dwie osoby.

– Naprawdę? Więc coś już wiadomo w sprawie? – z zaciekawieniem podjął temat mężczyzna.

– Właściwie to nie, chociaż podobno pojawiły się nowe tropy w śledztwie. Do czasu wyjaśnienia, policja zaleca szczególną ostrożność, zwłaszcza wieczorami. To straszne. Człowiek nie może czuć się bezpiecznie nawet we własnym domu. Dziwne, kiedy czujesz się obcy w swoim mieście. Na dodatek w święta. Dobrze, że jesteś ze mną, inaczej chyba bym zwariowała.

– Nie zapominajmy o panu Gerardzie, słyszałaś przecież, że szczerze oferował swoją pomoc – zaśmiał się Q.

– Ach, tak. Swoją drogą, biedny człowiek. Strasznie zniszczony przez życie. Pamiętam go jeszcze sprzed dwóch, trzech lat, z czasów, kiedy żyła jeszcze jego żona. Był wtedy zupełnie inną osobą – wesołą, pełną życia. Zupełnie nie wydawał się stary. Z żoną zachowywali się jak młodzi zakochani – chodzili za rękę, często razem wychodzili. Strasznie nim wstrząsnęła śmierć żony.

– Wcale mu się nie dziwię...

– Dzisiaj to już tylko cień dawnego Gerarda. Ale to dobry człowiek. Zawsze każdemu służył pomocą. Jego żona też była dobrą kobietą. Czasami żałuję, że znałam ich tak słabo. W dzisiejszych czasach obcym jest się nawet dla swoich sąsiadów, ludzi, którzy mieszkają najbliżej ciebie. Czy to nie smutne Quincy?

– Nie możesz siebie tym zadręczać. A pan Gerard na pewno któregoś razu przyjmie twoje zaproszenie na kawę,

zobaczysz. A kawę robisz pyszną.

– Przestań, Quincy, zawstydzasz mnie takimi drobnymi pochlebstwami.

– To nic takiego, mówię, jak jest.

– Dziękuję. Dobrze, że ze mną jesteś – powtórzyła.

– I ja się cieszę, Jane.

Czas po śniadaniu Quincy w zasadzie spędził w całości w zamknięciu i izolacji. Targały nim rozmaite myśli. Z jednej strony czuł się bardzo niezręcznie, pozostając u Jane tak długi czas. Nie wypadało. Z drugiej strony znowu – czuł się tu tak dobrze, tak swojsko. Mieszkanie Jane i ona sama emanowały ciepłem domowego ogniska, czuć i widać było kobiecą rękę, zarządzającą wszystkim. Gdzieś w głębi ducha Quincy tęsknił za tym wszystkim bardzo mocno. Za prawdziwym domem. Fakt, w przytułku również miał własny kąt, gdzie mógłby spędzić noc. Z największą uprzejmością zajmowały się nim Barbara i inne dziewczyny. Ale to nie było to. Odkąd Bill wyjechał nie chciał tam wracać. Puste łóżko po przyjacielu ciągle przypominałoby mu o tym, że stracił go, być może na zawsze. A tak? Spędzał czas z Jane, osobą, na której zależało mu teraz najbardziej. Dochodziła jeszcze sprawa całego zamieszania, które miało miejsce w mediach i na ulicach. Quincy czuł, że nie może w nieskończoność pomieszkiwać u Jane. Jednocześnie towarzyszyło mu uczucie jakiegoś dziwnego powołania, że musi być przy niej, choćby nie wiadomo co się wydarzyło. Nie rozumiał, czy to zwykła troska, czy też

jego własny strach przed wydarzeniami ostatnich dni powodował to wszystko. Ale musiał być przy niej, bronić jej, gdyby coś się stało.

Sumienie nie dawało mu spokoju, bił się z myślami. Nie wiedział tak naprawdę, co ma zrobić. Zanim podejmie ostateczną decyzję, postanowił z kimś porozmawiać. Zrazu pomyślał o Jane. Po chwili jednak uświadomił sobie, że to zły pomysł. Jediną reakcją na to, o czym zamierzał z nią rozmawiać mogło być przekonywanie go do tego, że może zostać jak długo chce. Musiał podjąć decyzję we własnym sumieniu, jednak potrzebował rady. Bill był gdzieś daleko od niego. Zastanowił się chwilę, z kim jeszcze mógłby poruszyć ten temat. Dumał nad tym dłuższą chwilę, aż w końcu rozwiązanie nasunęło się samo. Postanowił porozmawiać o swoim problemie z Barbarą. Jednakże, aby nie składać jej niespodziewanej wizyty, postanowił uprzednio zatelefonować. Być może wizyta u Barbary nie będzie potrzebna. Była ona doświadczoną kobietą, która zna życie, na pewno znajdzie dla niego jakąś cenną radę. Może się zdarzyć, że cały problem wyjaśni i rozwiąże rozmowa telefoniczna. Siedział w swoim-nieswoim pokoju i jeszcze długo myślał. Nie zauważył nawet, kiedy zmorzył go sen.

Tymczasem na komendzie przy Oak Street panowało olbrzymie zamieszanie. Dziesiątki funkcjonariuszy krążyły wśród regałów, biurk i szafek. Co chwila ktoś wpadał na kogoś, przewracane były kosze, rozsypywane sterty dokumentów. Dyżurni wciąż rozmawiali przez

słuchawki, niczym młode szczeniaki uwiązane na smyczy telefonicznej. Do głównej sali wszedł komisarz O'Reary. Nie wyglądał na zadowolonego, co było zresztą zgodne ze stanem faktycznym. Trudno było mu się dziwić, bowiem naciski i ponaglenia w sprawie śledztwa skupiały się na jego osobie. Z jednej strony nie chciał wyładowywać swojej frustracji na Bogu ducha winnych podkomendnych, z drugiej zaś – bywały momenty, kiedy nie sposób było nie krzyknąć.

– Cholera, Tony, czekam na raporty już z dziesięć minut! Długo jeszcze? – wrzasnął donośnym głosem, stając przy kontuarze w portierni.

– Chwileczkę szefie – odpowiedział policjant uchylając ucho od słuchawki.

Komisarz O'Reary ze zdenerwowaniem popukał palcami w blat stołu.

– Proszę szefie, oto ostatnie raporty, jednak proszę się nie nastawiać, nie ma w nich nic odkrywczego. W zasadzie można powiedzieć, że stoimy w miejscu – powiedział Tony podając komisarzowi plik dokumentów.

– A jak patrole, nie zauważyły niczego podejrzanego? Tony wzruszył ramionami.

– W porządku, w takim razie będę u siebie w gabinecie. Wszelkie nowe informacje. kierujcie od razu do mnie. Jeśli znajdzie się coś lub ktoś, co nie ma związku ze sprawą – po prostu mnie nie ma.

– Się rozumie, szefie – rzekł Tony, po czym po raz kolejny odebrał brzęczący telefon.

O'Reary wziął teczkę pod ramię, spojrzął po ludziach znajdujących się w posterunku i powolnym krokiem udał się do swojego gabinetu. Denerwowało go i jednocześnie dziwiło, że pomimo zaangażowania w śledztwo wszystkich dostępnych na daną chwilę oficerów, było ono bezskuteczne. Zatrzasnął drzwi do gabinetu, co wcale nie pomogło odgrodzić się od całego zgiełku i wrzasku, który zostawił za plecami.

– Jestem już na to za stary – powiedział sam do siebie.

O'Reary był czterdziestodwuletnim mężczyzną, którego co prawda skroń była już przyprószona siwizną, jednak był w pełni sprawnym policjantem i dowódcą. Był niezwykle doświadczonym gliną. W ciągu swojej długiej kariery zawodowej rozwiązał liczne sprawy podobne do tej, z tym że w innych przypadkach miał jakikolwiek punkt zaczepienia, cokolwiek. W tej chwili dysponował tylko dwoma zimnymi ciałami spoczywającymi w kostnicy miejskiej i świstkiem papieru. Świstkiem papieru? Zapisanym świstkiem papieru! Że też wcześniej o tym nie pomyślał!

W pośpiechu chwycił słuchawkę. Otworzył służbowy notatnik, w którym roіło się od notatek sporządzonych pośpiesznie rozchwianym pismem. Dłuższą chwilę zajęło mu odnalezienie nazwiska. Wybił numer na klawiaturze aparatu i oczekiwał na połączenie.

– Halo! – w słuchawce odezwał się zachrypnięty męski głos.

– Adams, to ty? – zapytał komisarz.

– Czy mnie słuch nie myli? O'Reary, stary pierdzielu! Dalej grzejesz stołeczek na komendzie? Co u ciebie?

– Tak, to ja. Nieważne, Adams, nie o tym chciałem rozmawiać. Słuchaj, babrasz się jeszcze w swoim fachu?

– To zależy kto pyta, hehe – zaśmiał się ochryple. – Czego potrzebujesz?

– Ktoś zostawił mi autograf, niestety nie podpisał się imieniem i nazwiskiem. Dałbyś radę coś z tym zrobić?

– Hehe, się wie. O ile facet kiedykolwiek był notowany, znajdziemy skurczybyka! Wpadnij wieczorem, weź butelkę whisky, napijemy się, pogadamy, przyjrzymy się sprawie.

– Nie da rady Adams, wieczorem czeka mnie romantyczne spotkanie z parą nieboszczyków, może kiedy indziej.

W słuchawce dało się usłyszeć jęk niezadowolenia.

– Widzę, że najlepsze zostawiłeś dla siebie.

– Taa. To jak będzie? Podeślę kogoś do Ciebie za jakiś czas.

– Będę czekał.

– Pamiętaj Adams, nic nie wiesz, gdyby cię kto pytał. To delikatna sprawa.

– Hehe, się wie, komisarzu. A whisky napijemy się kiedy indziej.

– Dobra, do usłyszenia kowboju.

O'Reary delikatnie odłożył słuchawkę. Sięgnął do kieszeni płaszcza, w której wciąż spoczywała notka

pozostawiona wczorajszej nocy za wycieraczką jego służbowego auta. Obejrzał ją jeszcze raz z każdej strony. Na jasnym papierze lśnił czarny jak noc atrament. Wysunął szufladę z biurka, wyjął z niej mocną kopertę z grubego papieru, włożył w nią kartonik, po czym starannie zakleił. Zamaszystym ruchem ręki napisał adres, po czym wstał od biurka. Wychylił się przez drzwi swojego gabinetu i jednym ruchem ręki przywołał Tony'ego.

– Do mnie. Już.

Po czym zatrzasnął drzwi i czekał na przybycie posterunkowego.

– Komuś się oberwie! – po sali rozniosły się docinki i śmiechy pozostałych policjantów.

– Bardzo zabawne – skwitował Tony.

Wszedł do gabinetu przełożonego, obrócił się, zatrzasnął drzwi, wyprostował się niemalże na baczność, stojąc na wprost biurka.

– Słuchaj Tony, wiem, że mogę ci zaufać i nie będziesz zadawał zbędnych pytań. W tej kopercie znajduje się coś bardzo cennego dla sprawy. Weźmiesz ją i zawieziesz ją pod wskazany adres.

– Ta-jest szefie.

– Musisz na nią bardzo uważać. Zostawisz kopertę mężczyźnie nazwiskiem Adams. O nic nie pytaj, nic mu nie mów, będzie wiedział co robić, już z nim rozmawiałem. Zrozumiałeś?

– Jasne. Coś jeszcze?

– Kiedy skończysz możesz dołączyć do mnie w kostnicy – powiedział O'Reary nie unosząc głowy znad dokumentów.

– Cz... czy to konieczne?

– Nie jest konieczne, ale możesz przyjechać. A teraz bierz kopertę i jedź pod ten adres. Jakies pytania?

– Nie szefie.

– No to piorunem, piorunem chłopaku!

Tony czym prędzej chwycił kopertę, spojrzął na znajdujący się na niej adres, po czym bez słowa wyszedł. 'Oby analiza grafologiczna coś dała', powiedział do siebie w duchu O'Reary, po czym wrócił do przeglądania raportów.

* * *

Kwadrans przed siedemnastą Quincy przebudził się z głębokiego snu. Sam nie wiedział kiedy zasnął, ani na czym zakończyły się jego rozmyślania. Po chwili usiadł na łóżku i przetarł dłońmi zaspane oczy. Gdy nieco otrzeźwiał, uświadomił sobie, że miał zadzwonić do Barbary. Spojrzął na zegarek. Przez głowę przeszła mu myśl, że nie może zadzwonić z mieszkania Jane. Czułby się okropnie, nie mogąc swobodnie rozmawiać. Wyszedł z pokoju. W salonie było ciemno. Udał się do kuchni, ale tam także nikogo nie było. Wydawało mu się, że jest sam w mieszkaniu. Przechodząc korytarzem obok pokoju Jane, nacisnął lekko na klamkę, starając się nie spowodować

żadnego hałasu. Ujrzał ją w łóżku. Widocznie i ją zmorzył sen. Patrzył na nią jeszcze krótką chwilę i żał mu było ją zostawiać. Gdzieś w salonie chwycił za kawałek czystego papieru i pióro, pośpiesznie naskrobał krótką notkę dla Jane, na wypadek, gdyby obudziła się przed jego powrotem, chwycił za płaszcz, zapasowy komplet kluczy i gasząc światło wyszedł na klatkę schodową.

Powietrze było niezwykle mroźne. Oddychając Quincy czuł jak gdyby niewielkie szklane igiełki raniły mu płuca i gardło. Przeszył go chłód popołudniowego powietrza. Na ulicach było pusto, nieliczni wędrowali tylko, snując się bez celu. W oknach większości budynków paliło się światło. Quincy gdzieś w obszernych kieszeniach płaszcza wyciągnął garść monet, po czym ruszył w stronę pierwszej budki telefonicznej. Wsunął dwudziestopięciocentówkę w otwór na monety i pchnął lekko palcem. Uniósł słuchawkę i wystukał z pamięci numer. Zastanawiał się, czy zastanie Barbarę w pracy. Czasami, na czas świąt, w przytułku pojawiała się druga zmiana. Po chwili głos rozdźwięczał mu w uchu. Rozpoznał go bez trudu.

– Witaj Barbaro. Mówi Quincy. Tak, wiem, że dawno do was nie zaglądałem.

– Tak.

– Posłuchaj, znalazłabyś może chwilę, żeby pogadać? Później? Może spotkamy się za jakąś godzinę? U ciebie w pracy, czy gdzieś na mieście? W porządku, w takim razie do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę. Zły był na siebie, że wyjaśnił jej od razu, o co chodzi. Nie lubił owijania w bawełnę, zwłaszcza, gdy sam się na tym przyłapywał. 'Niech cię, Quincy!' – rzucił sam do siebie w duchu.

Gdy wyszedł z budki udał się na zachód, w stronę przytułku. Za pół godziny Barbara kończyła pracę. Będzie tam za czterdzieści minut. Idąc po drodze kupił dwa bukiety kwiatów w jednej z tych wiecznie otwartych kwiaciarni, których właściciele nigdy nie śpią, zawsze wiedzą lepiej, czy ci czegoś potrzeba, czy nie. Dziwił się niektórym ludziom, że pracują nawet w święta. Po części też zrobiło mu się żal, kiedy pomyślał o ich rodzinach. O ile mają rodziny. Nieważne. Odgonił niepotrzebne myśli na bok. Nie minął kwadrans, kiedy wkroczył w bardziej znaną część miasta. Wszystkie budynki natychmiast wydały mu się znajome. Znał tu każdy kąt, skrót, uliczkę i zaułek. Korzystając z tej wiedzy, przyspieszył i w chwilę później był już na miejscu.

Kiedy podszedł do frontowych drzwi i zdecydowanie szarpnął za klamkę, zdziwił się, że były one zamknięte. Przez chwilę przebiegło mu przez myśl, że spóźnił się. Zapukał kilka razy cichutko. Po chwili otworzyły się drzwi zaplecza i jasny snop światła rozświetlił ciemne wnętrze. Zapaliły się górne światła. Moment później Barbara otwierała mu drzwi z uśmiechem.

– Witamy w naszych skromnych progach – zażartowała.

– Witaj – odrzekł Quincy ściskając ją serdecznie – to

dla ciebie – powiedział, jednocześnie wręczając jej bukiet kwiatów.

– Ale...

– Bez okazji – rzucił, uprzedzając pytanie.

– Więc, co cię sprowadza? Przez telefon brzmiałeś bardzo poważnie.

– Bo i sprawa jest poważna, tak mi się przynajmniej wydaje. Czasami nachodzi człowieka coś takiego, że nie wie, co ma zrobić ze swoim życiem. Może jak się zwyczajnie wygadam, będzie mi lepiej.

– Jasne. Usiądź, zaparzę gorącej herbaty, na pewno strasznie przemarzłeś.

Quincy poszedł za nią do kuchni i usiadł przy stoliku. Zajęło mu dobry kwadrans wprowadzenie Barbary w szczegóły sytuacji: co się stało z Billem, jak znalazł się u Jane, jak wszedł w posiadanie pieniędzy.

– Słyszę, że wiele się dzieje w Twoim życiu Quincy. Ale to dobrze, oby były to zmiany na lepsze. A tak w ogóle za dużo się przejmujesz wszystkim.

– Wiesz jak to jest. Uprzejmość uprzejmością, ale nie chciałbym być dla Jane ciężarem.

– Tak, masz rację, wiem, jak to jest. Ale z tego, co mówisz, Jane to naprawdę świetna kobieta. A to oznacza, że cokolwiek mówi, mówi szczerze. Ważne jest, co ty czujesz Quincy. Sam pomyśl. Gdyby nic cię przy niej nie trzymało, już byś u niej nie był. A kwiaty mówią same za siebie – coś mi się zdaje, że ty jesteś zwyczajnie zakochany, mój drogi – powiedziała Barbara, po czym

roześmiała się.

– Oooo, nie, nie – zaprzeczył Quincy – Nie zwyczajnie. Wydaje mi się, że to coś poważniejszego.

Choć próbował odwracać twarz, Barbara zauważyła jak się zarumienił.

– Wydaje mi się, że to ta jedyna – rzekł mężczyzna patrząc jej prosto w oczy.

– Więc jej o tym powiedz.

– Jeśliby było to tak proste i oczywiste, uwierz, że by mnie tu nie było.

– Ale w czym tkwi problem? Założę się, że ona też czuje coś do ciebie. Zdaj się na kobiecą intuicję. Powinieneś z nią porozmawiać, wyjaśnić, opowiedzieć, co myślisz. Wiesz przecież jak jest. Ludzie kryją się z uczuciami, jak tylko mogą. Nie popełniaj tego samego błędu, co inni. Wiesz, że będziesz żałował, jeśli jej tego nie powiesz.

– Mówisz tak, jakby to była najprostsza rzecz na świecie.

– Quincy, bo miłość to jest najprostsza rzecz na świecie. Nie ma nic piękniejszego od miłości. Aaaa, przez ciebie sama się rozmarzyłam, przypomniały mi się czasy mojej młodości. Ktoś kiedyś powiedział lub napisał: nie ma delikatniejszej siły na świecie niż miłość. I to prawda.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Więc co proponujesz?

– Już ci mówiłam. Idź, najlepiej teraz i jej to powiedz.

– Zobaczymy, jeszcze muszę pomyśleć. W każdym

razie dziękuję, że poświęciłaś mi trochę czasu. Dziękuję za herbatę i rozmowę. Będę się zbierał. Trzymaj się, Barbaro – uścisnął ją na pożegnanie, uśmiechnął się serdecznie i wyszedł.

Barbara odprowadziła go wzrokiem, kiedy upewniła się, że zniknął w ciemności, zgasiła światła, wyłączyła kuchenne sprzęty, zamknęła drzwi i wyszła z budynku. Idąc już chodnikiem, uśmiechała się pod nosem, myśląc o tym, co powiedział jej Quincy.

– I tak jej o tym powiesz, jesteś zakochany – zaśmiała się – Jesteś zakochany po uszy, tylko jeszcze nie wiesz, jak bardzo.

Quincy szedł przed siebie. W głowie echem odbijały mu się słowa Barbary. Wiedział, że ma rację, że powinien otwarcie porozmawiać z dziewczyną. Był tym zdenerwowany, gdy wiedział, że pozostało mu jedno, jedyne wyjście z tej sytuacji – wcale nie najłatwiejsze, ale z pewnością najlepsze. Wreszcie dotarł do budynku, w którym mieszkała Jane. Wszedł powoli po schodach. Stojąc u drzwi, wyjął klucze i przekręcił zamek, starając się zrobić to jak najciszej, na wypadek, gdyby Jane jeszcze spała. Będąc już w środku zauważył palące się światło, więc Jane nie spała. Zastał ją siedzącą w salonie na sofie. Na niskim stoliczku stała parująca filiżanka gorącego napoju. Kobieta pochylona była nad książką, którą z zaciekawieniem czytała. Odwróciła głowę dopiero wtedy, gdy Quincy usiadł obok niej.

– Dobry wieczór – powiedział cicho.

– Dobry wieczór. Wybacz, nawet nie wiedziałam, kiedy zasnęłam.

– To ja powinienem przeprosić.

– Przeczytałam wiadomość, jak udał się spacer?

– Można powiedzieć, że bardzo się udał. Zobacz, co znalazłem – to mówiąc przysunął w jej stronę bukiet kwiatów.

– A to z jakiej okazji? – zapytała zdziwiona.

– Z takiej, że musimy poważnie porozmawiać – Quincy'emu momentalnie zrobiło się gorąco.

– Dobrze więc – odwróciła się całkowicie w jego stronę, odkładając "Mistrza i Małgorzatę" na stolik.

– Bardzo dobra lektura.

– Ale chyba nie o tym chciałeś rozmawiać? – zaśmiała się.

– Nie, nie o tym. Posłuchaj mnie Jane – spojrzał jej głęboko w oczy – zastanawiałem się, jak to dalej z nami, właśnie – z nami to chyba za mocno powiedziane, jak to ze mną będzie. Dużo myślałem i doszedłem do wniosku, że nie mogę dłużej u Ciebie mieszkać...

– Ale...! – zaprotestowała niemal natychmiast – Myślałam, że już sobie to wyjaśniliśmy?

– Ale właśnie zaraz potem pomyślałem sobie, że..., że bardzo się do ciebie przywiązałem Jane. Odkąd Bill wyjechał, zostałeś mi tylko ty. Posłuchaj, wymyśliłem, że jeżeli zgodzisz się na taki układ, mogę wynająć u Ciebie pokój. Tak czy siak u ciebie jestem, a dodatkowy grosz zawsze ci się przyda.

– Ledwoś otrzymał pieniądze, a już zrobiłeś się rozrzutny – zażartowała.

– Posłuchaj mnie dobrze jeszcze raz. Naprawdę możesz zostać tu jak długo chcesz. I wcale nie chodzi o pieniądze. Ja również bardzo się do Ciebie przywiązałam. Wydaje się tobie, że mnie niczego nie brakowało w życiu? Brakowało i to bardzo. Wreszcie pojawiłeś się ty, z czego bardzo się cieszę. Mam z kim porozmawiać, jesteś naprawdę dobrym przyjacielem, Quincy.

– Cieszę się, że tak mówisz.

– Ale skoro chcesz wydać trochę pieniędzy, może dam się zaprosić na jutrzejszą sztukę do teatru. Grają "Mistrza i Małgorzatę" właśnie.

Oboje roześmiali się głośno.

– Mam nadzieję, że już nie będziemy wracać do tego tematu Quincy. Czuj się jak u siebie. Wiesz... – na moment przygryzła zalotnie dolną wargę – chyba naprawdę bym za tobą tęskniła, gdybyś tak nagle się wyprowadził – powiedziała szybko i zanim Quincy zdążył zauważyć rumieniec, który wystąpił na jej twarzy, chwyciła za książkę, udając, że czyta dalej.

Quincy nie ukrywał uśmiechu. Wstawił kwiaty do ozdobnego wazonu. Nie czuł zmęczenia, a popołudniowa przechadzka po mroźnym powietrzu porządnie go orzeźwiła.

Punktualnie o dziewiętnastej trzydzieści komisarz O'Reary zaparkował służbowe auto na tyłach miejskiej kostnicy. Samo gmaszysko budynku jakby

odzwierciedlało ponurą funkcję tego miejsca. W mroku wieczoru wyglądało wyjątkowo nieprzyjemnie z zakratowanymi oknami odznaczającymi się na jednolitej szarej elewacji. Wysiadając z wozu, O'Reary zauważył auto Tony'ego. Obszedł budynek dookoła, udając się do frontowego wejścia. Nacisnął przycisk na interkomie. Wdał się w krótką rozmowę ze strażnikiem, celem zidentyfikowania się. Chwilę później zamek w drzwiach zabrzączał elektrycznie i mógł wejść do środka. W długim hallu wyłożonym czarno-białymi kafelkami ujrzał sylwetkę Tony'ego. Podeszedł do niego, uściśnął mu dłoń.

– Dobrze, że jesteś. Schodzimy do piwnicy. Doktor Haighley powinien już na nas czekać.

Oboje udali się głębiej w korytarz. Wreszcie na jego końcu otworzyli ciężkie, stalowe drzwi. Zeszli w dół stopniami. Powietrze zrobiło się jakby chłodniejsze, przesycone sterylnym zapachem, jaki często spotyka się w szpitalach. O'Reary pewnie ruszył przodem, udając się do sali oznaczonej numerem 6, z premedytacją ignorując tabliczkę ostrzegającą, że 'nie wchodzi się bez pukania'.

We wnętrzu świeciło się ostre światło jarzeniówek. Była to długa sala, o sterylnie czystej białej podłodze. Z jednej strony, ścianę zajmowały ponumerowane szuflady na zwłoki, które przyprawiły młodego policjanta o dreszcze. Przeciwną ścianę stanowiły regały, na których zalegały opasłe tomiska medycyny sądowej, anatomii, bakteriologii i innych dziedzin nauki. Na innych półkach dało się dostrzec rozmaite przyrządy: cewki, pipety,

moździerze, szklane kolby, retorty i alembiki, które stanowiły raczej wartość ekspozycji, niż faktyczną przydatność użytkową. Całość obu policjantom wydała się dosyć groteskowa, przywodziła na myśl laboratorium średniowiecznego alchemika.

Obrazu całości dopełniała postać samego doktora Haighley'a, który okazał się być mocno już podstarzałym dżentelmenem, o pomarszczonej twarzy i grubych okularach osadzonych na garbatym nosie. Włosy miał w nieładzie. Z ciasno zaciśniętymi wargami i świdrującym spojrzeniem wyglądał nieco demonicznie, szczególnie, że w rękę trzymał skalpel. Na widok funkcjonariuszy odłożył przybory i zdjął z dłoni lateksowe rękawiczki. Trzęsącą się dłonią (na pewno pomagało mu to w pracy – pomyślał Tony) uścisnął im rękę.

– Komisarz O'Reary. Oczekiwałem pana.

– Witam. Najlepiej będzie, jak od razu przejdziemy do rzeczy.

– Tak. A rzeczy, mój drogi panie, mają się następująco – to powiedziawszy wskazał gestem ramienia na dwa stoły chirurgiczne stojące za nim. Znajdujące się na nich ciała przykryte były białymi płachtami, jedna z nich była pośpiesznie narzucona – A jeszcze dokładniej sprawę biorąc, tak. To ciała znalezione w pociągu.

Jednym ruchem doktor odkrył znajdujące się na stole ciało. Tony'ego momentalnie ścisnęło coś w żołądku, musiał odwrócić się plecami, żeby po chwili poczuć się lepiej.

– Młody jest, jeszcze się uczy! – Z zadowoleniem powiedział O'Reary. Na komisarzu z wieloletnim doświadczeniem, całość nie robiła aż takiego wrażenia – Doprawdy, ciekawe – rzekł po chwili oględzin, jakby wypowiadał się o jakimś dziele sztuki.

– Ciekawe?! – zaprotestował Tony – To jakaś cholerna masakra!

Rzucił wzrokiem na ciało leżące na stole z rozciętą klatką piersiową... Twarz denata była sina, oczy szkliste i puste.

– He, mało jeszcze w życiu widziałeś, Tony. No nic, przyjrzyjmy się bliżej. Co nam pan powie w temacie, doktorze?

– Szczerze mówiąc dziwny przypadek. Przyczyną zgonu był zawał serca, prawdopodobnie na skutek silnego szoku lub innych emocji. Zdziwiłem się mocno, bo serce chłop ma jak dzwon. Nie stwierdzono żadnych chorób czy infekcji. Ze zdobytej dokumentacji medycznej też niewiele da się odczytać. Poza tym, brak jakichkolwiek obrażeń zewnętrznych ciała.

– Znaleziono przy nim jakieś rzeczy?

– Tak, znajdzie je pan w pojemniku obok, komisarzu, ale nie ma tego za wiele. Portfel, dokumenty, trochę gotówki w naszej i zagranicznej walucie, jakiś sygnet, piersiówka. Ot i wszystko.

Komisarz O'Reary zaczął przerzucać rzeczy w pojemniku, szukając czegokolwiek wartego uwagi. Wyjął piersiówkę, odkręcił korek, powąchał i odstawił na bok.

Rozłożył ciemny, skórzany portfel. Wyjąwszy z niego mały, plastikowy prostokąt, przeczytał:

– Siergiej Lebiediew, lat trzydzieści pięć, urodzony w St. Petersburgu. Kawaler. Notowany?

– Chłopcy już go prześwietlili, nic nie znaleźli, czekamy na informacje z naszej ambasady w Rosji, może dowiemy się coś o jego przeszłości w ojczyźnie.

– Coś jeszcze?

– Właściwie to nie, jednak zastanawiający jest fakt, że drugie znalezione ciało – odsłonił kolejną płachtę – praktycznie nie różni się od poprzedniego. Ta sama przyczyna zgonu, brak innych obrażeń. Zupełnie tak, jakby ich serca nagle się zatrzymały. Nie ma w tym nic szczególnego, ale to bardzo osobliwy przypadek. W ciągu swojej kariery nie spotkałem się z drugim takim przypadkiem podwójnego zgonu.

– No cóż, w takim razie dziękujemy za informacje, doktorze. Rzeczy denatów zabieramy do siebie, może uda się nam coś z nich wygrzebać.

– Życzę powodzenia komisarzu. Żegnam. Wyniki analizy będą u was jutro, choć nie będzie w nich nic ponad to, co panu powiedziałem.

– Żegnam doktorze. Chodź, Tony, poodychamy trochę świeżym powietrzem, aaa?

Na ulicę wrócili tymi samymi schodami i hallem. Przy wyjściu złożyli podpisy pod wykazem wizyt, pożegnali się ze strażnikiem. Podeszli na parking.

– Co powiesz na szklaneczkę czegoś mocniejszego,

Tony?

– Miałem wcześniej wrócić do domu, ale chyba nie odmówię. Bywają okazje, gdy zwyczajnie nie można się nie napić.

– No to jedziemy, zostawimy auta pod komendą i pójdziemy na kielicha. No, Tony! Głowa do góry!

* * *

Quincy'emu wieczór nie bardzo się dłużył. Upłynął na wspólnym wybieraniu kreacji, w której Jane uda się na jutrzejsze wyjście do teatru. Jako mężczyzna nie mógł powiedzieć, żeby go to nudziło. Jane była piękną kobietą, a eleganckie stroje jeszcze bardziej dodawały jej uroku. Po kilkunastu prezentacjach kolejnych kreacji, wreszcie zdecydowali się na skromną ciemną sukienkę. Jane zapytała:

– Podoba ci się?

– Też pytanie! Jest bardzo ładna.

– Bardzo ładna? Ech, wy mężczyźni, ciężko was zadowolić – zaśmiała się.

– My mężczyźni jesteśmy bardzo prostolinijni i mówimy to, co myślimy. Naprawdę jest śliczna, możesz mi wierzyć.

– Śliczna brzmi lepiej, niż ładna!

– No tak – powiedział Quincy.

Czas upłynął na rozmowach o rzeczach zarówno poważnych, jak i tych błahych. Wreszcie przyszła noc i

pora była, aby udać się spać.

Tej nocy to Quincy nie spał dobrze. Był już porządnie zmęczony, ale sen nie chciał przyjść. Kilkanaście minut po tym, jak położył się w łóżku, wrócił do salonu. Podeszedł do koszyka z prasą, w którym wygrzebał najbardziej aktualne wydanie "Caladon News". Wrócił do pokoju i dla zabicia czasu zaczął przeglądać stronę po stronie gazetę, w nadziei, że w końcu zmęczenie weźmie górę. Zaczął od nagłówka na pierwszej stronie:

"CZAS CUDÓW TRWA!"

"Caladon – świąteczne miasto marzeń, rządzone ręką naszego wspaniałego burmistrza w okresie świątecznym przygotowało dla swoich mieszkańców wiele atrakcji, z okazji trwających świąt Bożego Narodzenia i zbliżającego się nowego milenium. Już dzisiaj macie niezwykłą okazję rzucić się w wir świątecznych zakupów na największym w regionie bożonarodzeniowym jarmarku. Nie żałuj pieniędzy dla siebie i swoich bliskich!

Dodatkowo, tylko w okresie świątecznym, możesz wspomóc miasto w rozwoju i należytym przygotowaniu go do zbliżającego się nowego tysiąclecia! Wystarczy wyciąć druk z ostatniej strony wydania Caladon News, które właśnie trzymasz w ręku i przekazać niewielką kwotę na nowe wyposażenie ratusza. Nie bądź obojętny! Pomyśl o urzędnikach, którzy pracują dla ciebie i nie żałuj sypnąć groszem!

Zapraszamy również na moc noworocznych atrakcji na głównym placu przed ratuszem. Niesamowite pokazy

sztucznych ogni, konkursy, niespodzianki, loterie fantowe – kolejne okazje, abyś mógł wspomóc finansowo ratusz i urząd burmistrzowski!

Niech czas cudów trwa! Korzystaj z wszelkich atrakcji, przygotowanych przez Twoje miasto. Bądź przykładowym obywatelem, kaladończyku!

Przy zbliżających się przyszłych wyborach, nie zapomnij, kto stworzył Tobie ogrom tych wszystkich możliwości!

Z najlepszymi życzeniami
redakcja Caladon News i pracownicy urzędu miasta Caladon".

Tak jak Quincy przypuszczał, lektura fascynujących artykułów z dziennika przyniosła oczekiwany skutek. Jednym ruchem ręki odrzucił gazetę na nocny stół, wsunął się pod ciepłą pierzynę i zasnął ciężkim snem.

* * *

Tuż po wyjściu z zatłoczonego przedsionka teatru Quincy i Jane skręcili w jedną z uliczek odchodzących od jego budynku, aby zażyć spaceru. Szli pod rękę Cirramon Street, wieczór był piękny. Quincy czuł się wreszcie jak prawdziwy mężczyzna: zaprosił piękną kobietę do teatru, spacerował z nią teraz, czuł się szczęśliwy. Bał się jednak, że coś może zmać ten spokój... Teraz jednak starał się o tym nie myśleć.

– I jak ci się podobało Jane?

– Bardzo mi się podobało, zdecydowanie musimy kiedyś to powtórzyć Quincy.

– Jeśli tylko dasz się ponownie zaprosić, nie widzę najmniejszego problemu.

Czas mijał na rozmowie i nie wiadomo kiedy, znaleźli się o kilka minut drogi od mieszkania Jane. Już z daleka, z drugiego końca ulicy dało się zauważyć dziwne zamieszanie. Pod budynkiem zgromadziły się tłumy, błyskały światła radiowozów. Quincy i Jane spojrzeli po sobie przerażeni. Starając się zachować jak największe opanowanie, przyspieszyli kroku. Po chwili byli już pod budynkiem, próbując przedostać się przez kordon funkcjonariuszy, którym otoczone było miejsce zdarzenia. Zatrzymały ich silne ramiona policjantów.

– Niestety, nie ma przejścia, proszę przesunąć się i poczekać.

– Co się właściwie stało? Muszę się dostać na górę! – rozpaczliwym głosem powiedziała Jane.

– Jak mówiłem, nikomu na razie nie wolno wejść – policjant obstawał przy swoim.

– Ale ja muszę, ja tu mieszkam!

Policjant wybałuszył oczy w akcie zdziwienia. Zapytawszy kobietę o imię i nazwisko i upewniwszy się przez radio, powiedział:

– Proszę za mną. Nie, pan zostaje – zatarasował Quincy'emu drogę ramieniem.

– On jest ze mną, bez niego nigdzie się nie ruszam!

– No dobrze, proszę za mną.

Przeciskając się przez tłum gapiów za młodym policjantem doszli wreszcie do grupy radiowozów. Funkcjonariusz krzyknął tylko:

– Szefie!

I wskazał palcem na nich dwoje, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z komisarzem O'Rearym. Ten zdecydowanym gestem ręki przywołał do siebie Quincy'ego i Jane.

– Dobry wieczór, nazywam się Michael O'Reary, jestem komisarzem wydziału śledczego kaladońskiej policji. Domyślam się, że pani to Jane Thomson?

– Tak zgadza się. Proszę, niech mi pan natychmiast powie, co się tu stało.

– Dobrze, niech państwo wsiądą ze mną do radiowozu, wyjaśnimy parę spraw.

Podeszli za komisarzem do jednego z aut zaparkowanych przy chodniku. Wsiedli na tylną kanapę samochodu i zatrzasnęli drzwi. Komisarz usiadł z przodu. Nad ich głowami błyskały czerwone i niebieskie światła. Z radiostacji co chwila wydobywały się najróżniejsze komunikaty, przerywane trzaskiem słuchawki.

– Proszę mi powiedzieć, o której opuściła pani swoje mieszkanie?

– Około osiemnastej trzydzieści. Błagam, o co chodzi?! Niech mi pan wreszcie powie.

– Wszystko po kolei. Musimy postępować według procedur. Rozumiem, że przez cały czas byli państwo razem?

– Tak!

Policjant skrzętnie notował wszystko w maleńkim notesie.

– Sprawa ma się następująco. Z informacji, którymi dysponujemy wynika, że między godziną osiemnastą trzydzieści, a dwudziestą pierwszą dwadzieścia, bo o tej godzinie otrzymaliśmy zgłoszenie, doszło do włamania do pani mieszkania.

Quincy momentalnie poczuł, jak dłoń kobieta ściska mu ramię z nienaturalną wręcz siłą. Zauważył, że Jane cała drży.

– Mój Boże! Dlaczego ktoś miałby mnie okradać?!

– W tym tkwi sedno. Zabezpieczyliśmy miejsce zdarzenia i jesteśmy przekonani, że nie było to włamanie na tle rabunkowym. Proszę mi powiedzieć, czy ma pani jakichś wrogów lub w ostatnim czasie popadła z kimś w konflikt?

– Nie... Skądże.

– Taaaak. A pan?

– Ja?! – odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu Quincy, wyraźnie zaskoczony pytaniem – Nie. Na pewno nie. Ja tu tylko... eee... mieszkam.

– Taaaak. Na pewno przysłuchiwali się państwo ostatnim audycjom w radiu bądź w też w telewizji, tych na temat podwójnego morderstwa w pociągu. Sądzymy, że zajście w pani mieszkaniu, jakkolwiek źle to zabrzmie, może mieć związek ze sprawą.

Z ust Jane wydarł się lekko słyszalny jęk. Kobieta

była kompletnie roztrzęsiona, była kłębkim nerwów. Quincy objął ją ramieniem i przysunął się do niej bliżej, próbując dodać jej otuchy.

– Ale jak to, są jakieś dowody? Skąd takie przypuszczenia? Co to ma wspólnego z Jane? – inicjatywę w rozmowie przejął Quincy. Jane była niezdolna do rozmowy, jakby wyłączona, nieobecna.

– Najlepiej, jeżeli sami zobaczycie. Tak czy siak, musimy udać się w miejsce zdarzenia, aby upewnić się, że nic nie zginęło. Niech państwo chwilę tutaj zostaną i spróbują się uspokoić. Wrócę tu za kilka minut i pójdziemy na górę. Zaraz wracam.

Komisarz O'Reary wysiadł z auta, przymykając tylko drzwi.

– Kevin! Przypilnuj tych dwoje – rozkazał jednemu z policjantów.

Przez przednią szybę radiowozu Quincy dostrzegł zbliżający się pojazd lokalnej telewizji. Zauważył policjanta wdającego się w dyskusję z jego kierowcą, żywo gestykulującego. Widocznie sprawa na razie miała obywać się bez mediów. Nie to było teraz ważne. Chwytał dłoń Jane zamykając je we własnych.

– Jane, Jane, słyszysz? Spróbuj się uspokoić. Być może to nie tak, być może to jakaś fatalna pomyłka, zobaczysz, wszystko się wyjaśni, wszystko będzie dobrze... Jane, słyszysz?

Nic nie mówiąc kobieta odwróciła się w stronę Quincy'ego i ścisnęła go mocno, przywierając do niego

całym ciałem.

– Boję się Quincy...

Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie. Drugą ręką gładził jej włosy i policzki. Poczuł, że po twarzy płyną jej łzy.

– Wszystko będzie dobrze, Jane, zobaczysz. Wszystko się jakoś wyjaśni, będzie dobrze – powtarzał jak mantrę.

Następne kilka minut spędzili w ciszy. Stopniowo dreszcze przeszywające ciało Jane ustąpiły, łzy na twarzy wyschły, a oddech się uspokoił. Wyprostowała się na kanapie, spuściła głowę w dół, wbijając wzrok w kolana. Gwałtownie otworzyły się tylne drzwi i do środka wsunęła się głowa komisarza policji.

– Zapraszam ze sobą.

Powoli wysiedli z auta. Ruszyli za O'Rearym. Od ruchomej ściany twarzy i spojrzeń oddzielały ich barczyste sylwetki policjantów. Zarówno Quincy, jak i Jane starali się nie patrzeć nikomu w twarz, to teraz nie mogło pomóc. Wąskim korytarzem wydrążonym w gęstwinie ciał przeszli do wejścia na klatkę schodową. Stamtąd, stopniami na górę. Quincy trzymał Jane pod ramię. Czuł, że porusza się ona na miękkich nogach. Jeszcze jeden stopień. Wyjście do korytarza. Zakręt. Przejście oddzielone policyjną taśmą, strażnicy. Wszędzie pełno mokrych śladów.

Zbliżyli się do mieszkania Jane.

– Ostrzegam, że to nie będzie przyjemne – powiedział

surowym głosem O'Reary.

Przestąpili próg mieszkania. Kątem oka Quincy zauważył drzazgi wyłamywanej framugi. W przedpokoju żarówka była rozbita. Weszli do salonu. Panował tu niesamowity bałagan. Porozrzucane rozmaite przedmioty, książki, gazety. Poprzewracane krzesła i inne meble. Jane odwróciła wzrok od tego straszego widoku.

– Narobił szkód, niczym pijana małpa z brzytwą, co nie komisarzu? – odezwał się jeden z żółtodziobów, pilnujących miejsca zdarzenia. Jego śmiech urwał się w momencie, gdy natrafił na piorunujące spojrzenie przełożonego.

– Jest jeszcze coś, Jane, co musisz zobaczyć – rzekł O'Reary – wiem, że już nie jest ci łatwo, ale musisz to obejrzeć.

Położył jej dłoń na ramieniu i wskazał kierunek. Skierowali się do pokoju, w którym spała Jane. Drzwi były zamknięte. Pierwszy wszedł O'Reary. Zaraz za nim Jane, Quincy na końcu. Zapaliło się światło. To co ujrzeli, sprawiło, że Quincy'ego przeszedł zimny dreszcz. Momentalnie poczuł, jak Jane osuwa się na nogach. Złapał ją w ostatniej chwili i posadził na krześle. Na jednej ze ścian, tuż nad jej łóżkiem, ciemnymi, kruczoczarnymi literami na jasnej farbie odcinał się złowrogi tekst:

Koniec roku jest bliski. Twój też.

– Pewnie nie macie żadnego pojęcia, kto mógł to zrobić?

Quincy pokręcił jedynie głową i wzruszył ramionami. Jane nie odzywała się. Wpatrywała się tylko w ścianę pokoju szklanymi oczami.

– Wiedziałem, że nie będzie to łatwe śledztwo – powiedział jakby sam do siebie O'Reary – Macie gdzie przenocować? Jakies bezpieczne miejsce?

– Tak, myślę, że sobie poradzimy.

– Dobrze, na miejsce odwiezie was jeden z naszych radiowozów. Proszę zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, resztę pozostawić bez zmian, może uda nam się znaleźć jakieś ślady. Będziemy w kontakcie, odezwę się do państwa, gdy będziemy wiedzieć coś więcej. Nasi ludzie będą patrolować teren, mogą czuć się państwo bezpieczni. Jeżeli ten drań, który to zrobił – wskazał na ścianę – jest jeszcze gdzieś blisko, znajdziemy go.

Quincy wiedział, że to tylko zwykły slogan, który ma podnieść ich na duchu. Jednak próba pocieszenia okazała się marnym sukcesem. Quincy pozbiierał najpotrzebniejsze rzeczy do niewielkiej torby podróżnej i przykucnął przy Jane.

– Jane, chodźmy stąd, musisz odpocząć. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Kobieta skinęła lekko głową i podniosła się z krzesła. Kilka minut później, siedzieli na tylnych miejscach w jednym z radiowozów. Jechali przez ciemną, złowrogą noc, aby odpocząć w pokoju na piętrze w przytułku przy Dragons Square, gdzie jeszcze niedawno nocował Quincy.

Jakiś czas później zapukali do drzwi budynku, w

którym mieściła się noclegownia. Ciemne okna poczęły się rozświetlać, a już po chwili w drzwiach stanęła Barbara. Na jej twarzy malował się jednakowo strach, jak i ciekawość. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie, Quincy'ego, żeby powstrzymać palące pytania.

'Nie teraz, nie od razu' – pomyślał Quincy.

Policjant odwożący ich na miejsce odjechał, upewniwszy się, że wszystko jest w porządku. Drzwi wejściowe zostały zabezpieczone zamkiem i zasuwkami. Jane wreszcie poczuła się nieco bezpieczniej. Barbara zapytała tylko, czy czegoś nie potrzebują. Nie potrzebowali. Jedyne, czego teraz pragnęli, to ciepły pokój, cisza i sen. Wkrótce znaleźli się w pokoju numer sto sześć, w którym zwykł nocować Quincy.

'Kto by pomyślał, że jeszcze tu wrócę' – pomyślał mężczyzna. W świetle ostatnich wydarzeń, wydawało mu się, że już nigdy nie będzie musiał tu wracać, co najwyżej, by odwiedzić osoby, którym tyle zawdzięczał. Tymczasem życie pisało całkiem inny scenariusz. Wnętrze przywitało ich swoim ciepłem. Światło było wyłączone. Jane chciała, żeby zostało ciemno. Z drugiej strony okna wiszące sople rzucały długie cienie. Quincy szybko przygotował posłanie dla siebie i dla Jane. Kilka minut później, kiedy upewnił się, że kobieta śpi, położył się na łóżku, zatopiony w nocy i w myślach.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał trzeźwo. Do tej pory żył jakby marzeniem. Chyba zbyt do serca wziął sobie to, co się działo między nim, a Jane.

Tymczasem wcale jej nie pomagał. Miał sobie za złe, że nie potrafił zapobiec temu, co się stało. Wiedział, że to było właściwie nie do przewidzenia, ale był wściekły na siebie i na świat, że musiało to spotkać akurat Jane, akurat teraz. Przysiągł sobie, że od tej pory będzie czujny, będzie strzegł Jane jak oka w głowie. Głęboko chciał wierzyć, że działania policji szybko położą kres tym strasznym wydarzeniom. A jeśli policja nie pomoże, zacznie szukać na własną rękę. Nie może pozwolić, by Jane coś się stało. Z tym postanowieniem w głowie, dopadł go sen.

W środku nocy obudził go krzyk Jane. Zerwał się z łóżka, jak gdyby ktoś podpalił pod nim prześcieradło. Kiedy otworzył oczy, spostrzegł, że Jane siedzi na łóżku roztrzęsiona i zapłakana. Natychmiast do niej podszedł i przycisnął mocno do piersi.

– Co się stało Jane?

– Znowu mi się śnił. To był on, Quincy, ten, który to zrobił – mówiła szarpanym głosem, przez łzy.

– Daj spokój, to był tylko zły sen. Za dużo przeżyłaś, jak na jedną noc. Spróbuj zasnąć – ułożył głowę Jane na poduszce, nakrył ciepłymi kocami. Siedział przy niej, póki nie zasnęła.

Rano, gdy tylko pierwsze promienie słońca zaczęły wpadać do wnętrza pokoju przez okno, Quincy zbudził się. Chwilę leżał w bezruchu, po czym ubrał się i zszedł na dół. Przed wyjściem upewnił się, że Jane jeszcze dobrze śpi, bowiem nie chciał, by obudziła się w pustym pokoju. Kilka minut później wrócił z pachnącą kawą i

śniadaniem.

* * *

Na biurku komisarza rozbrzmiał głośnym dzwonkiem telefon. Chwycił za słuchawkę.

– Halo? Tak. Dobrze. Zaraz będę – rozmowa nie trwała długo. Gliniarz podniósł się z krzesła, w biegu porwał płaszcz z wieszaka, po czym bez słowa opuścił posterunek policji i odjechał.

Pół godziny później znalazł się pod domem Adamsa. Było to stare domostwo, ogrodzone drewnianym, białym płotkiem. Dziś już się takich nie budowało. Niektóre sztachetki w ogrodzeniu były poprzekrzywiane, innych w ogóle brakowało. Niegdyś był to piękny dom. Dzisiaj zamienił się w nieco zapuszczony relikwiarz dawnych dobrych czasów swojego gospodarza. O'Reary nacisnął guzik dzwonka przy solidnych, dębowych drzwiach. Zza nich dało słyszeć się szybkie kroki, a po chwili wyłoniła się twarz starego Adamsa. Był to mężczyzna dobrze po pięćdziesiątce. Na nosie spoczywały ciężkie okulary w solidnych oprawkach, na jednej z soczewek miały zamontowane dodatkowe szkło powiększające. Zmęczoną twarz o charakterystycznej, kwadratowej szczęce rozjaśnił uśmiech.

– O'Reary! Czekałem na ciebie! Wchodź, mam dla ciebie prawdziwą rewelację! – szczebiotał wyraźnie podniecony swoimi odkryciami.

– Nie wątpię – powiedział komisarz.

Ciężkie drzwi zatrzasnęły się głośno.

– Za mną, tędy, uważaj na książki! – instruował Adams.

Rzeczywiście, salon w jego domu wyglądał jak pobożowisko. Masa porzrzuconych przedmiotów, których przeznaczenia nie sposób było odgadnąć towarzyszyła stertom książek w rozmaitych formatach i językach. Przebycie tego swoistego labiryntu z pewnością stanowiło nie lada wyzwanie.

Wreszcie dotarli do głównego laboratorium Adamsa. W odróżnieniu od tego, co widział w salonie, to pomieszczenie cechował nienaganny porządek. Za to właśnie cenił sobie Adamsa – jeśli chodziło o pracę przykładał się jak mało kto, był przy tym cholernie dobry w swoim fachu i piekielnie skuteczny. Podeszli do ogromnego blatu, na którym znajdowały się rozmaite zapiski, wielkie szkło powiększające na mechanicznym ramieniu, ze dwie ryzy papieru, a w centrum maleńki kartonik, który O'Reary zostawił mu do analizy.

– No i co tam dla mnie masz?

– Znalazłem skurczybyka. Nie uwierzysz w to, co ci teraz powiem.

Policjant nie wiedział, co to właściwie miało oznaczać. Intuicja podpowiadała mu, że nic dobrego.

Adams dłuższą chwilę grzebał w jednej z szuflad, przerzucając papiery i teczki z dokumentami. W końcu, wyjął jedną z nich i położył przed Michaeliem.

– Otwórz – rozkazał z drzeniem ekscytacji w głosie.

O'Reary powoli otworzył teczkę. W środku znalazł zdjęcie jakiegoś mężczyzny i plik kartek z wydrukami. Na fotografii znajdowała się twarz mężczyzny o śniadej cerze i czarnych lśniących oczach. Miał inteligentne, świdrujące spojrzenie. Usta zaciśnięte wąsko, nos długi, jakby nieco spłaszczony. Starannie przycięty wąs i broda.

– Kto to?

– Niejaki Andriej Strielok. Rodowity Ukrainiec. Ojciec nieznan. Matka była nauczycielką. Pochodził z biednego domu, młodość spędził na Ukrainie, później przyjechał do nas. Przez dłuższy czas się nie wychylał, ale potem nie wytrzymał. Dlatego mamy go w dokumentacji.

– Karany?

– Skazany w 1988 roku na karę śmierci za morderstwo ze szczególnym okrucieństwem.

– Rozumiem.

Adams odczekał kilka sekund, z triumfem wpatrując się w komisarza przerzucającego plik dokumentów.

– Zaraz, kurwa. Jak to kara śmierci? Wyrok został wykonany?

– Z tego co mi wiadomo, to tak. Więcej będziesz musiał sprawdzić w waszej centralnej bazie. Ciekawe, co? Wygląda na to, że jakiś nieboszczyk postanowił zepsuć komuś święta,

– Cholera, Adams, chyba się ze mnie nie nabijasz? Jesteś pewien, że się nie pomyliłeś?

Grafolog spojrział wymownie.

– Nie było pytania, wiem, że nigdy się jeszcze nie pomyliłeś. Ale jak to w ogóle możliwe?

– Mnie nie pytaj, namierzyłem drania, reszta należy do was. Jest jeszcze jeden szczegół, nie wiem na ile może być znaczący.

– Co to takiego?

– Jakiś czas po procesie, na którym zapadł wyrok o karze śmierci dla tego bydlaka, jego adwokat wystąpił z ciekawym wnioskiem.

– Co masz na myśli?

– Dokładnie na sześćdziesiąt dni przed wykonaniem kary, zmienił nazwisko na dość egzotycznie brzmiące: Ragan Jumain, o ile dobrze zapamiętałem wymowę. Znajdziesz w teczce krótką notatkę na ten temat.

– Hmm, zastanawiające. To wszystko, co na niego masz?

– Niestety tak. Po więcej będziesz musiał sięgnąć do waszych archiwów. Ja po przejściu na emeryturę nie mam już do nich dostępu. Ale jakoś sobie radzę, jak widzisz – śmiejąc się wskazał na teczkę ze zdjęciem. – Nie zaszkodziłoby zajrzeć także do Archiwum Danych Osobowych w urzędzie miejskim, może coś mają. Mogę też dać ci numer do znajomego grabarza, może będzie w stanie pomóc.

– Bardzo zabawne, Adams, doprawdy.

– Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Swoją drogą zastanawiam się, jak jest naprawdę. Może jakiś naśladowca? Co prawda ten cały Strielok, czy też Jumain

– jak zwał tak zwał – nie był seryjnym mordercą, ale kto wie. Po świecie krąży zdecydowanie za dużo popaprańców. Może ten świr nawet podrabia jego pismo. Nie wiem.

– Będziemy musieli wszystko sprawdzić. Tak sobie teraz myślę...

– Tak? – podchwycił Adams.

– ... że mogłeś mnie uprzedzić, jaki bajzel na mnie czeka. Wziąłbym ze sobą butelkę czegoś mocniejszego. Po tym, coś mi tu powiedział, na trzeźwo nie da rady myśleć.

– Przezorny zawsze ubezpieczony! – wykrzyknął niemal z radością Adams. – Zaczekaj chwilę, znajdę co trzeba i golniemy sobie po kielichu.

Zniknął na chwilę w sąsiednim pomieszczeniu. Z jego głębi dochodziły rozmaite dźwięki: najpierw otwierania drzwiczek szafki, później brzęk szkła, a po chwili Adams wrócił uśmiechnięty, trzymając w jednej dłoni butelkę o dość podejrzanej zawartości, w drugiej dwie szklanki.

– Musisz tego spróbować. Moja najnowsza zdobycz.

– Co to takiego?

– Rakija. W niektórych kręgach to bardzo poszukiwany trunek – śpiewał z zadowoleniem Adams, napełniając szkło. – No, to po jednym, komisarzu!

Po chwili twarz policjanta wykrzywił grymas, spowodowany przez palący smak alkoholu. Momentalnie wyobraził sobie te kręgi, w których alkohol uznawany jest

za rarytas.

– Nie ma co, mocne to to jest! – powiedział O'Reary zachrypłym głosem.

– Znajomy wzbogacił to, jak powiedział, czymś od siebie.

– Wolę nie wiedzieć, czym. Polej jeszcze.

– Swój chłop jesteś. O'Reary, tobie nie odmówię!

– Jak dopadniemy tego całego Jumaina, ja stawiam coś ekstra – zobowiązał się policjant. – Tylko jak my, cholera, znajdziemy nieboszczyka...

Pytanie utknęło gdzieś pomiędzy nim, a kolejnym kieliszkiem niezbyt wyszukanego trunku.

* * *

– Jak spałaś, Jane?

– Niezbyt dobrze, zresztą sam wiesz, Quincy.

– Hmm... No tak. Posłuchaj, a może wybierzemy się gdzieś dzisiaj? Przespacerujemy się po mieście, odwiedzimy jakieś ciekawe miejsca. Co ty na to?

– Sama nie wiem. Myślisz, że to dobry pomysł, w obecnej sytuacji?

– Czemu nie? Przyda ci się mały spacer, wyglądasz strasznie blado. Poza tym ten policjant, O'Reary mówił, że jego ludzie w cywilu będą cię pilnować. Zresztą, nie możesz się zadręczać myślami o tym, co się wydarzyło. A w biały dzień, w centrum miasta, nic ci się nie stanie. Daję słowo.

– Skoro tak twierdzisz.

– No już! Masz piętnaście minut, żeby się ubrać, a potem wychodzimy.

– Piętnaście minut Quincy? Naprawdę? – Jane roześmiała się delikatnie.

– Ach tak... Faktycznie... Wy, kobiety, potrzebujecie, eeee... pół godziny? – wybrał optymistyczną wersję.

– Niech będzie.

– W takim razie ja będę czekał na ciebie na dole.

– Ok.

– W porządku.

Prawie dokładnie pół godziny później Jane zeszła schodami na parter. Quincy żywo dyskutował o czymś z Barbarą. Kiedy zobaczył Jane, zerwał się szybko z krzesła. Wyszli z budynku i udali się w stronę centrum miasta. Quincy miał szczerą nadzieję, że porządny spacer dobrze zrobi jemu i Jane. Powietrze było rześkie, świeciło jasno słońce. Maszerowali razem pod rękę, rozglądając się po sklepowych wystawach i obserwując ludzi.

Quincy lubił obserwować ludzi. Zabawnie wyglądali, ciągle gdzieś się spiesząc, popychani do przodu przez wielkie wskazówki niewidzialnego zegara. Szczególnie wiele zdradzały ich twarze. Można było z nich wyczytać, kto pokłócił się wczoraj z żoną, a kto ostatniej nocy postawił o jedną kolejkę za dużo.

Zbliżali się do miejskiego rynku. To tutaj jakiś czas temu Quincy kupił dla Jane ozdobny naszyjnik. Nosila go,

widział to. Kiedy wychodząc z budynku Jane poprawiała szal, nie umknął jego uwadze srebrzysty połysk łańcuszka, kiedy łakomie spojrział na jej szyję. Teraz jednak mężczyzna nie był w stanie dostrzec tego sprzedawcy, u którego nabył prezent. Cieszył się z tego powodu. Mimo, iż naszyjnik był naprawdę piękny, miejsce, w którym go nabył nie było specjalnie szczególne. Jane szczerze cieszyła się z prezentu i lepiej, gdyby tak zostało.

Kiedy tak szli poprzez labirynt stoisk i wystaw, Quincy niemal nie zauważył, że ktoś ciągnie go za poły płaszcza. Gdy wreszcie poczuł naprawdę solidne szarpnięcie z tyłu, przystanął, odwrócił się i ujrzał niską kobietę w czarnych włosach, z różnobarwną chustą zawiązaną na włosach.

– Cyganka prawdę ci powie, młodzieńcze! Daj dolara, a stara cyganka odsłoni przed tobą mroki przyszłości.

'Świetnie, tylko tego mi było trzeba' – pomyślał.

– Myślę, że podziękujemy pani.

– Niech pokaże dłoń. Zobaczymy, co mu niesie przyszłość. Niech da dolara, powrózimy!

Odwrócił się i spojrział pytająco na Jane, szukając pomocy. Ona zaś roześmiała się, wzruszając ramionami, jak gdyby chciała powiedzieć: 'Dajmy jej tego dolara i miejmy to z głowy'.

– Zobaczymy, co z tego wyniknie – rzekła.

Quincy sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej

garść brzęczących monet. Na ten dźwięk stara cyganka wyraźnie się ożywiła i łapczywie patrzyła na wyciągniętą dłoń z drobniakami. Mężczyzna wyjął jednodolarówkę i podał kobiecie. W tym samym momencie moneta niepostrzeżenie gdzieś zniknęła, a stara wróżka trzymała go mocno za wyciągniętą rękę.

– Kochanienki! Pierwszy raz jak żyję, widzę coś takiego – to mówiąc wodziła brudnym palcem po liniach na jego dłoni.

– A co takiego pani tam widzi? – zaśmiał się Quincy, odwracając się w stronę Jane.

– Widzę wielką miłość, zagrożenie, śmierć. I to już niedługo młodzieńcze! Wielkie zło czyha na kogoś z twoich bliskich. Taaaak, wielkie zło. Zginie ktoś, kogo znasz. Taaaak.

W jednej chwili z zabawnej sytuacji, przekształciła się ona w nieco niezręczną, a później nawet irytującą. Niepotrzebnie Quincy zatrzymywał się, by wysłuchać starej cyganki. Chciał zabrać Jane na spacer, żeby nieco się odprężyła, odpoczęła, zapomniała o tym wszystkim, co się ostatnio wokół niej działo, a tu napatoczyła się ta stara cyganka. Quincy gwałtownie cofnął dłoń.

– Dobrze, już wystarczy. Wybacz pani, ale śpieszno nam. Do widzenia!

Wziął Jane pod ramię i ruszyli szybkim krokiem przed siebie.

– Uważaj na siebie! – krzyczała za nim stara kobieta
– Widziałam to na twojej dłoni! Śmierć, pamiętaj!

Pamiętaj!

Ale Quincy nie chciał tego słuchać. Już po chwili byli na tyle daleko, że wśród całego ulicznego gwaru i zgiełku nie dało się słyszeć wołania kobiety.

– Przepraszam cię Jane, nie powinniśmy się zatrzymywać. Chodź, wejdziemy tutaj. Napijemy się czegoś gorącego i coś przekąsimy.

Po powrocie do pokoju numer 106 Jane była dosyć zmęczona, bowiem większą część dnia spędzili wędrując ulicami miasta. Quincy, upewniwszy się, że może zostawić ją samą, zapytał:

– Na pewno nie będziesz niczego potrzebowała? Muszę wyjść, załatwić pewną ważną sprawę.

– Nie, w porządku. Poczytam coś, może trochę się zdrzemnę. Tylko wracaj szybko, Quincy.

– Nim się obejrzysz, będę z powrotem – zapewnił – Po prostu... Muszę załatwić coś bardzo ważnego...

Jane nieco zdziwił tajemniczy ton głosu Quincy'ego, ale nie pytała o więcej. Uznała, że jeśli to naprawdę ważne, ma on swoje powody, by się przed nią nie tłumaczyć. Zresztą, nie oczekiwała tego od niego. Cierpliwie czekała na jego powrót, tymczasem godziny mijały, cienie padające przez okno pokoju robiły się coraz dłuższe, a jego wciąż nie było. Wreszcie, nadszedł wieczór, a Jane czuła się coraz bardziej nieswojo, zaniepokojona długą nieobecnością Quincy'ego.

* * *

W innej części miasta, na przedmieściach, już od dawna panował mrok. Ciemność rozświetlana była tylko wątlým światłem poustawianych gdziegdzie latarni. Szare blokowisko spowijał smog i opary z pobliskich zakładów przemysłowych. Siedzącego w fotelu dozorcę budynku numer czternaście, pana Foleya, dobiegły jakieś hałasy rozlegające się na korytarzu klatki schodowej. Nie miał ochoty ruszać się sprzed telewizora, rezygnując z oglądania transmisji bokserskiej gali dziesięciolecia.

Tymczasem w mieszkaniu na pierwszym piętrze coraz głośniejsz rozlegały się trzaski i huki, a chwilę później dało się słyszeć jakby zduszony krzyk. Na przedmieściach mieszkał 'najróżniejszy element społeczny', jak mawiał dozorca Foley, toteż przywykł, że od czasu, do czasu zdarzały się awantury urządane przez pijanego męża, albo bójki pomiędzy młodymi współlokatorami spod ósemki. Jednak jako dozorca budynku, miał obowiązek sprawdzić, co się dzieje i, jeśli zajdzie taka potrzeba, był zobowiązany powiadomić policję lub inne stosowne do sytuacji organy. Rzucając pod nosem kilka przekleństw, dźwignął z fotela swoje opasłe brzuszysko, odstawiając niechętnie kufel schłodzonego piwa. Chwycił za pęk kluczy, leżący gdzieś na komodzie, zamknął własne mieszkanie i wyszedł na korytarz. Ku jego zdziwieniu światło w korytarzu było wyłączone. Rozejrzał się w obie strony, zauważając, że jedne z drzwi do czyjegoś mieszkania są lekko uchylone, rzucając wąski promień

światła na korytarz. Ruszył w stronę drzwi. Dziesiątka. 'To tam mieszkał ten Hindus, czy Turek, jak mu tam, nawet nie pamiętam dobrze jego imienia. Hasan? Być może'. Zresztą, Foleya niezbyt obchodziły personalia i zachowanie lokatorów tak długo, jak w jego budynku panował spokój. Powoli zbliżał się do uchylonych drzwi. Kiedy jeszcze był kilkadziesiąt centymetrów od nich, w mieszkaniu dało się słyszeć jakieś hałasy: szuranie, brzęk jakichś niewielkich, metalowych przedmiotów. Zaraz potem głośniejsze szuranie i mocne dudnięcie, jakby ktoś się przewrócił na podłogę.

Staął naprzeciw wejścia i delikatnie zapukał. W tym momencie wszelkie hałasy ucichły.

– Halo, jest tam kto? – zawołał Foley – Halo?

Bez odpowiedzi.

Zastukał jeszcze raz, po czym ponowił nawoływanie. Nic. Głucho, choć jeszcze przed chwilą mógł przysiąc, że coś słyszał. Postanowił wejść do środka. Przystąpił próg mieszkania, popychając lekko drzwi do przodu. W tej samej chwili z głębi pokoju wyłoniła się jakaś postać. Działo się to wszystko w tak niebywałym tempie, że nie zdążył nawet zareagować. Ktoś wbiegł wprost na niego, popychając go mocno. Foley upadł na podłogę, uderzając brodą w parkiet z drewnianych klepek. Siła uderzenia zamroczyła go na chwilę. Leżał tak na podłodze, nie potrafił ocenić, ile to trwało. Dziesięć, może piętnaście sekund. Doszedł do siebie. Podnosząc się, rozejrzał się po mieszkaniu, które było całkowicie zdemolowane. Gdy

jego umysł odzyskał przytomność, zerwał się na równe nogi i jeszcze nieco się zataczając, biegł korytarzem w stronę schodów. Słyszał szybkie kroki uciekiniera, od którego dzieliło go piętro.

– Hej! Stój! Zatrzymaj się! – krzyczał.

W tym samym momencie poczuł piekący ból w okolicach brody. Dotknął bolące miejsce dłonią. Poczuł ciepłą wilgoć. Krew. Krew kapłała mu na koszulę i podłogę, kiedy tak biegł.

– Zatrzymaj się! Stój, mówię!

Biegł ile sił w nogach, przeskakując po dwa-trzy stopnie, starając się przy tym nie stracić równowagi. Dobiegł do parteru. Wybiegł przez drzwi wejściowe do budynku. Rozejrzał się. Ciężko dyszał, z ust wydostawały się kłęby pary. Spojrzał pod stopy. Na śniegu nie było żadnych śladów. Wrócił do wnętrza bloku. Ruszył w stronę schodów. Przeszedł korytarzem i mijając schody rzucił się w stronę drzwi do piwnicy. Były otwarte. Niewielka szybka wybita. Schody w dół, ciemno. Zatrzymał się na chwilę, próbując pomyśleć trzeźwo. Po chwili uświadomił sobie, że z piwnicy nie ma innego wyjścia, niż drzwiami, przy których właśnie stał. Ktokolwiek tam wszedł, będzie musiał wrócić tą samą drogą, którą się tu dostał.

'Spokojnie, Foley, tylko spokojnie' – pomyślał w duchu. Nacisnął przełącznik światła. Nic.

Przypomniał sobie, że nie dalej jak dzień wcześniej staruszka spod trójki skarżyła się na wadliwą instalację.

– Cholera! – wykrzyknął – Myśl, Foley, myśl!

Nie spuszczać wzroku z drzwi do piwnicy przesunął się parę kroków wstecz, do niewielkiej skrzynki znajdującej się na ścianie. Trzęsącymi się dłońmi wydobył z kieszeni pęk kluczy. Jednym z nich otworzył skrzynkę, w której oprócz gaśnicy znajdowała się latarka. Chwycił ją pospiesznie, sprawdzając, czy działa. Działa. A teraz szybko...

Ponownie stanął przy drzwiach do piwnicy. Włączył latarkę i zaczął powoli schodzić w dół. Ostrożnie stawiał stopy na drewnianych stopniach, jednak leciwe deski okropnie skrzypiały pod jego ciężarem, zdradzając każdy jego krok, każdy jego ruch... Schodził niewielkim korytarzem. Wąski promień światła z latarki ślizgał się po ścianach piwnicy. W niektórych miejscach roiło się od wszelkiego rodzaju pajaków i innego paskudztwa. Po dłuższej chwili, Foley wreszcie był na dole. W myśli próbował odtworzyć sobie plan piwnicznych korytarzy, każdy zakręt, każdą odnogę tego zimnego, nieprzyjemnego labiryntu. Powoli ruszył przed siebie. Próbował nasłuchiwać jakiegokolwiek dźwięku. Przez myśl przeszło mu, że ktokolwiek tu jest, porusza się w ciemności. Światło latarki tylko zdradzało jego pozycję. Wyłączył ją. Użyje jej w ostateczności, kiedy coś usłyszy, kiedy być może coś zobaczy. Minęło kilkanaście niewyobrażalnie długich sekund, zanim uspokoił oddech. Oczy powoli przyzwyczajały się do panującego mroku.

Z czasem z kompletnej ciemności zaczęły wyłaniać

się kontury korytarzy, zarysy drzwi, sylwetki rozmaitych sprzętów. Jednak najbardziej obawiał się czegoś, a w zasadzie kogoś, kogo nie widać. Kogoś, kto albo potrafił bezszelestnie poruszać się w mroku, albo, co gorsza, czekał na niego w ukryciu. Przystanął na rozwidleniu korytarzy. W jednym z nich usłyszał hałas przewracanego przedmiotu. Pędem puścił się w stronę źródła dźwięku. Zapalił latarkę w nadziei, że coś zobaczy. Wycelował snop światła przez siebie. Biegł szybko. Tuż przed jednym z zakrętów rozedrgany promień latarki liznął tylko poły długiego płaszcza. Ruszył za intruzem, skręcając w lewo. Oświecił korytarz przed sobą i zorientował się, w którym jest miejscu. Naprzeciw niego był tylko krótki korytarz, a dalej już tylko jedno pomieszczenie, które służył za magazyn na mniej lub bardziej potrzebne sprzęty. A więc nie było odwrotu. Czekala go konfrontacja z nieznanym. Rozejrzał się za czymś, co mogło mu posłużyć za broń. Z braku innych możliwości, chwycił za kawałek deski, leżący gdzieś na podłodze.

Ruszył powoli przed siebie. Jedną ręką trzymał latarkę, w drugiej mocno zaciskał solidny kawał drewna. W głowie próbował odtworzyć wygląd magazynu, kiedy był tu po raz ostatni. Tam, w środku, o wszystkim mogły decydować sekundy, a Foley nie chciał wpaść na pierwszą lepszą skrzynkę, przewrócić się i... Wolał nie myśleć, co może się stać. Małymi krokami zbliżał się do magazynu. Ściany błyszczały wilgocią, drewniane drzwi, były uchylone, jakby zapraszając go do środka...

– Doigrałeś się! Idę po ciebie słyszysz?! Słyszysz mnie?! – wołał przed siebie.

Foley czuł, jak przyspiesza mu tętno. Na czole pojawiły się krople zimnego potu. Krwawiąca rana piekła niesamowicie. Jeszcze dziesięć kroków.

– Wyłaż! Słyszysz?

Jeszcze pięć kroków.

Jakieś dziwne hałasy, szum, stukanie...

Jeszcze krok.

Jest w środku. Staął w drzwiach. Rozejrzał się, oświetlając wnętrze pomieszczenia latarką. Krok naprzód. Zatrzasnął drzwi, zapierając się o nie plecami.

– Teraz mi już nie uciekniesz, skurwielu! Wyłaż, pokaż się! Teraz się boisz? Trochę za późno, bo szykuje dla ciebie niezły łomot!

Ruszył w stronę skrzyń poustawianych pod ścianą. Gdyby to on musiał się ukrywać, wybrałby właśnie to miejsce. Mógł się tam schować nawet rosły mężczyzna. Wyciągnął latarkę przed siebie. Nikogo nie widział.

Na dźwięk kroków za swoimi plecami ścierpła mu skóra. Zacisnął mocniej dłoń na desce i szybko spróbował się odwrócić.

Łup! Poczul ciężkie uderzenie w czoło, a wzrok przyćmił mu pulsujący ból. Osunął się na ziemię, wypuszczając z rąk deskę i latarkę. W ustach poczul słodki smak krwi spływającej mu strumieniem z czoła. Kiedy wreszcie otworzył oczy stał nad nim jakiś mężczyzna, sądząc z postury. Ubrany był w ciemny

prochowiec, długi do samej ziemi. Spod niego wystawały tylko spiczaste, błyszczące buty. Na głowie miał czarny kapelusz z niewielką, czerwoną obwódką. Poczł na sobie świdrujące spojrzenie płonących wściekłą czerwienią oczu. Rozległ się głośny, demoniczny śmiech, odbijający się echem od ścian.

– A teraz się zabawimy – powiedział nieznajomy nienaturalnie niskim głosem.

Chwilę później korytarze piwnicy wypełnił krzyk pełen cierpienia i bólu. Krzyk i zawodzenie człowieka błagającego o śmierć.

* * *

Ciszę przerwał głośny dzwonek telefonu. Komisarz O'Reary oderwał wzrok z nad raportów, podnosząc słuchawkę.

– O'Reary słucham? Co takiego? Kiedy? Gdzie? Rozumiem. Zbieram ludzi i zaraz będziemy.

Policjant pospiesznie odrzucił słuchawkę i wybiegł z gabinetu.

– Tony, zbieraj się i zwołaj ekipę. Jest robota. Ktoś znowu narozrabiał na mieście. Wygląda na to, że nasz pan morderca, postanowił zostać seryjnym mordercą.

Nie czekając na reakcję Tony'ego wybiegł przed komisariat i wsiadł do swojego służbowego auta. Już po chwili wieczorny spokój zakłócił korowód pędzących radiowozów i błyskające czerwono-niebieskie światła.

Kilkanaście minut później ekipa policjantów była na miejscu zdarzenia.

– Tony, zajmij się ciałem na górze, technicy niech robią swoje. Ja z resztą chłopaków idę do piwnicy.

– Ta-jest szefie. W razie czego, będę na kanale drugim, radio mam cały czas przy sobie.

Chwilę później, O'Reary schodził wąskim korytarzem do piwnicy...

* * *

W małej izbie pokoju numer sto sześć Jane odchodziła od zmysłów. Quincy zostawił ją kilka godzin temu, zarzekając się, że wróci szybko. Naprawdę martwiła się. Po głowie krążyły jej najczarniejsze myśli. Zaczęła nerwowo chodzić po pokoju, jednak dźwięk własnych kroków w pustym pokoju doprowadzał ją do szału. Spojrzała przez okno. Na chodnikach nie zauważyła nikogo. Była gotowa w każdej chwili ubrać się i wyjść na poszukiwania Quincy'ego. Wiedziała jednak, że to ostateczność. Odczeka jeszcze kilka minut, a jeśli on się nie zjawi... 'Zjawi się' – uspokajała się w myślach. Pięć minut później sięgała już po płaszcz, zdecydowana na wyjście. Wtem, za drzwiami dało się usłyszeć szybkie, ciężkie kroki. Chwilę później, drzwi pokoju otworzyły się z łoskotem. To był Quincy.

– Nareszcie jesteś! Wyobrażasz sobie, jak się martwiłam? – niemalże krzyknęła.

– Wiem, przepraszam – mówił zdyszczanym głosem. W jego oku Jane zauważyła jakiś nienaturalny błysk. Zaniepokoiła się.

– Coś się stało?

– Słuchaj, nie mogę tobie teraz tego tłumaczyć. Musimy opuścić to miejsce, najlepiej wyjechać z miasta.

– Quincy, o czym ty mówisz? – teraz Jane była już porządnie wystraszona.

– Wszystko ci wyjaśnię, ale teraz chodźmy, na miłość boską. Chodź, musimy iść, tutaj nie jesteśmy bezpieczni! – z tonu jego głosu dało się wyczytać, że mówił poważnie. Coś było na rzeczy.

– Ale...

– Proszę cię, zaufaj mi, Jane, musimy iść! – to mówiąc zaczął zbierać najpotrzebniejsze rzeczy do torby podróźnej. – Wszystko ci wyjaśnię, ale nie teraz. Jeśli tu zostaniemy, może stać się coś złego. Jesteś gotowa?

– Tak. To chyba wszystko.

– Więc idziemy – złapał ją zdecydowanym uściskiem za dłoń i pociągnął w stronę wyjścia.

Będąc w połowie pokoju zatrzymali się. Ktoś mocno stukał do drzwi. Spojrzeli po sobie. Za drzwiami odezwał się niski głos mężczyzny:

– Pani Jane? Czy jest tam pani? Proszę otworzyć, policja!

Kobieta spojrzała pytająco na Quincy'ego.

– Halo, jest tam pani? Wszystko w porządku?

Kolejna wymiana spojrzeń. Quincy przecząco

pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: 'Nie otwieraj'.

– Jeżeli ktoś jest w środku, proszę odsunąć się od drzwi, wchodzimy!

Chwilę później drzwi otworzyły się z hukiem, ustępując sile potężnego kopnięcia z drugiej strony. Do pokoju weszło dwóch policjantów, celując w nich z rewolwerów.

– Wszystko w porządku? Nic pani nie jest? – zapytał jeden z nich.

Kobieta twierdząco potrząsnęła głową.

Drugi z nich wyrwał Quincy'emu torbę z ręki i odrzucił ją w kąt.

– Na ziemię! Czy to pan nazywa się Joaquin Collins?

– Tak.

– Na ziemię i ręce za siebie! – krzyczał policjant.

– Panowie, ale o co chodzi?! Czy ktoś mi wyjaśni, co się tutaj dzieje?

– Już jest pani bezpieczna. Pani też pojedzie z nami – mówił jeden z policjantów.

– Jak to: też? O co tu chodzi?

– Leż spokojnie, bydlaku – drugi policjant przycisnął Quincy'ego do ziemi i skuł mu ręce kajdankami. Mężczyzna syknął cicho, kiedy stalowe obręcze zaciskały mu się na nadgarstkach – Nie ruszaj się. Jesteś aresztowany pod zarzutem morderstwa. Pojedziesz z nami.

Jane nie wierzyła własnym uszom. Momentalnie zrobiło jej się gorąco, a nogi same zaczęły się pod nią

uginać. Gdyby nie policjant stojący obok niej, byłaby się przewróciła. Gdzieś echem w głowie odbijały się jej słowa, które wykrzykiwał Quincy:

– Jane, to nie tak jak myślisz, ja nic nie zrobiłem!
Jane, musisz mi uwierzyć. Jane, słyszysz?!

Ale kobieta już go nie słuchała. Oczy zaszły jej łzami, a ból pulsował w skroniach.

ROZDZIAŁ III

"COŚ POŻYCZONEGO"

Quincy został wywleczony z radiowozu przez dwóch rosnących policjantów. Syreny wyły wściekle, wielokrotnie odbijając się echem od ścian kamienic i komisariatu. Powoli powłóczęc nogami mężczyzna szedł przez korytarz posterunku. Kajdanki zaciśnięte z tyłu na nadgarstkach wpijały mu się w skórę, powodując uciążliwy ból. Razem z funkcjonariuszami przeszedł przez główny hall. Kilka głów uniosło się znad biurka i dokumentów, rzucając mu potępiające spojrzenie. Wraz z tymi spojrzeniami przyszło poczucie winy, że jednak zrobił coś nie tak. Czuł się okropnie. Wreszcie dotarli do części budynku, w której znajdowały się cele. Któryś z policjantów rozsunał kratę jednej z nich, drugi przycisnął go do ściany, wbijając jego twarz w chłodny mur.

– Nogi szeroko! I radzę ci dobrze, nie próbuj żadnych sztuczek.

Quincy bez słowa wypełniał wszelkie polecenia. Piekący ból nadgarstków ustąpił wraz z rozluźnieniem metalowych obręczy kajdanek. Funkcjonariusz wepchnął go do niewielkiej celi. Zaraz potem kraty zatrzasnęły się wydając głuchy, metaliczny dźwięk.

Więzień rozejrzał się po wnętrzu celi. Wzdłuż jednej

ściany stała niska prycza, na której znajdował się złożony szary koc. Na drugiej ścianie umywalka, nad nią lustro. W rogu sedes. Nic poza tym. Przyszłość nie malowała się różowo dla Quincy'ego. Nie wiedział ile czasu tu spędzi. Jedyne o czym teraz myślał, to jak się stąd wydostać. Nie będzie to łatwe. Omiótł wzrokiem ściany. Poczł się nieprzyjemnie. Od zimnych ceglanych ścian do jego nozdrzy dobiegał zapach wilgoci i stęchlizny. W rogu przy suficie zauważył pajęczyny na których kłębiło się od chudych, pajęczych nóg. Wnętrze celi oświetlone było tylko niewielką żarówką zabezpieczoną kloszem z odrutowanego szkła. Westchnął, położył się na pryczy i czekał na rozwój wypadków.

Tymczasem komisarz O'Reary znajdował się w innej części miasta, na miejscu nieszczęśliwych wypadków, w mieszkaniu numer dziesięć. Technicy uwijali się wokół w zdemolowanym mieszkaniu. Pośrodku całego tego bałaganu znajdowało się ciało mężczyzny, obcokrajowca, lat około trzydziestu. Nie trzeba było być ekspertem, żeby stwierdzić przyczynę zgonu: stanowiło ją długie cięcie zaczynające się od lewej skroni, a kończące się w okolicach szyi. Zwłoki leżały w kałuży krwi. Z otwartej głębokiej rany wycierały mięśnie twarzy i karku. Nie był to przyjemny widok. O'Reary chwycił za aparat i zrobił kilka zdjęć z różnych stron. Następnie wstał i rozejrzał się po zagraconym pokoju. Z mebli stojących przy jednej ze ścian ktoś, najprawdopodobniej sprawca morderstwa, powyrzucił wszelkie przedmioty, a nawet całe szuflady,

rozsypując ich zawartość po całym wnętrzu mieszkania. Doszukując się motywu O'Reary wpierw pomyślał o rabunku, doszedł jednak do wniosku, że nie tego szukał napastnik. Wśród przedmiotów na podłodze zauważył wcześniej niełichy rulon banknotów. Zastanowił się chwilę dłużej. Wpadł na myśl. Ktoś, kto tu był, musiał wiedzieć, czego szuka, skoro pozostawił tyle wartościowych przedmiotów. Najpierw sprzątnął lokatora mieszkania numer dziesięć, później wziął się za rewidowanie zawartości szuflad, szafek, rozmaitych pudełek i skrzynek, których było tu pełno. Narobił przy tym tyle hałasu, że usłyszał to dozorca Foley. Musiał nakryć sprawcę na gorącym uczynku. Ten zaczął uciekać. Czy zdążył odnaleźć to, czego szukał? To pytanie na razie musiało pozostać bez odpowiedzi. Policjanta nurtowała jeszcze jedna myśl. Dlaczego sprawca uciekł do piwnicy? To było zupełnie bez sensu. Była to ślepa uliczka, droga bez wyjścia. To musiało się skończyć konfrontacją z Foleyem. A może o to właśnie chodziło? Może to jeden z tych psychopatów, dla którego im więcej trupów, tym lepiej? W swojej karierze spotkał się już z typami, którzy zabijali przy każdej sposobności, dla samej przyjemności zabijania. W każdym razie Foley leżał sztywny i zimny dokładnie dwa piętra pod nimi. Co (i czy w ogóle) łączyło to wydarzenie z zajściem w pociągu? – poza liczbą martwych ciał – tego musiał się dowiedzieć. I to szybko, zanim znowu coś się stanie. Miał nadzieję, że porozrzucane gdzie bądź przedmioty – niemi świadkowie

całego zajścia – w jakiś sposób przemówią, i w końcu znajdzie jakiś punkt zaczepienia, ślad, za którym mógłby podążyć.

'I co do cholery ma z tym wspólnego ten chłopak, Quincy, którego schwytano w pobliżu miejsca zdarzenia?'. Tyle pytań pozostawionych bez odpowiedzi. Próbował pomyśleć trzeźwo. Chłopaki mogą zająć się tym całym bałaganem tu, na miejscu. On tymczasem pojedzie na posterunek i urządzi sobie małą pogawędkę z tym całym Quincym, póki jeszcze nie ostygł po aresztowaniu.

– Tony! – krzyknął – Tony!

Po chwili policjant wynurzył się z jednego z bocznych pokoi.

– Tak, szefie?

– Dopilnuj tu wszystkiego, ja jadę pogadać z tym aresztowanym chłopakiem. Gdyby coś się działo, to dzwoń. Zostawiam ten burdel pod twoim nadzorem.

– W porządku, szefie. Wszystkim się zajmę. Proszę się o nic nie martwić.

O'Reary skinął głową na znak aprobaty, po czym wyszedł z budynku. Wsiadł do radiowozu i ruszył w stronę komisariatu. W głowie układał prawdopodobny scenariusz przesłuchania. Z jednej strony podejrzewał, że chłopak może być niewinny i będzie się wszystkiego zapierał. A z drugiej strony... kim on w ogóle był?! Jakiś cwaniaczek z ulicy, schwytany blisko miejsca zdarzenia...

– Kto wie, kto wie... – powtarzał pod nosem.

Po około piętnastu minutach wysiadł na policyjnym

parkingu pod komendą. Mimo, iż był środek nocy, na komisariacie paliły się wszystkie światła, a i w okolicznych budynkach gdzieś jeszcze okna były oświetlone. Szybkim krokiem wbiegł po kilku stopniach. Pewnie ruszył do swojego gabinetu. Zrzucił płaszcz. Sięgnął do szuflady, wyjął z niej notes, ołówek i paczkę papierosów. Odpalił jednego z nich, zaciągając się głęboko. Dym rozszedł się po płucach, uspokajając go nieco. W spokoju dokończył palenie. Następnie przeszedł przez hall i skierował się do bloku z celami.

Kiedy dotarł do celi, w której zamknięty był Quincy, chłopak spał. O'Reary wyciągnął pęk kluczy z kieszeni spodni i uderzył nim po całej długości krat. Metaliczny brzęk obudził mężczyznę. Zobaczywszy policjanta, Quincy zerwał się na równe nogi.

– Dobrze, że pan jest! Pan wie, że ja jestem niewinny! Próbowałem się tłumaczyć, ale oni nie słuchali...

– Zamknij się i stań twarzą do ściany – powiedział ostro O'Reary. Jeśli chciał się czegoś dowiedzieć, musiał grać twardo inaczej od razu może sobie odpuścić przesłuchanie.

– Ale musi mnie pan wysłuchać! – powiedział błagalnie Quincy.

– Zamknij się i gębą do ściany, i to już! – krzyknął policjant, ucinając niepotrzebne dyskusje. Wiedział, że to on musi być stroną dominującą w tej rozmowie, ani na chwilę, nie może odpuścić.

Quincy posłusznie wypełnił polecenie. Stał twarzą

do ściany, opierając na niej obie ręce. Nogi rozstawił szeroko. Po chwili usłyszał zgrzyt w zamku i dźwięk otwieranych krat. Zaraz potem, silna ręka chwyciła go za ramię.

– Idziemy – rozkazał O'Reary – zdaje się, że mamy do pogadania.

To mówiąc, wyprowadził chłopaka z celi do pokoju przesłuchań. Ten zaś okazał się małym pokoikiem o metrażu pięć na pięć. Ściany jego obite były jakimś dziwnym, zapewne dźwiękoszczelnym materiałem. W centrum pomieszczenia ustawiony był długi stół, kilka krzeseł. Poza tym szafka na dokumenty, w rogu, pod sufitem kamera i głośniczek. O'Reary silnym pchnięciem posadził Quincy'ego na jednym z krzeseł, po czym przypiął mu jedną dłoń kajdankami do specjalnego stalowego uchwytu na stole. Obszedł go dwa razy dookoła i nie spuszczać wzroku z mężczyzny, usiadł naprzeciw niego.

Chwila milczenia przeciągała się w nieskończoność i Quincy coraz bardziej walczył z tym, żeby się odezwać. Jednak czekał cierpliwie. Wreszcie policjant przemówił:

– Powiedz mi, Quincy, jak to jest, bo czegoś tu nie rozumiem. Żyjesz sobie na ulicy, z dnia na dzień. Potem w jakiś niewytłumaczalny sposób wchodzisz w posiadanie dość dużej sumy pieniędzy...

Quincy uniósł brwi wyraźnie zdziwiony.

– ... zdziwiony? Po tym, co wydarzyło się w mieszkaniu tej Jane, zaczęliśmy ci się uważnie

przyglądać. No więc jeszcze dziwniejszym trafem zamieszkałeś u tej kobiety w mieszkaniu mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zdarzyła się ta masakra w pociągu. Później ten cyrk w mieszkaniu. Jakiś czas później znajdujemy kolejne dwa trupy, a ty – jakże by inaczej – dajesz się złapać w pobliżu miejsca zbrodni. I co ja mam o tym wszystkim myśleć, ha? – zakończył wywód O'Reary.

Quincy oczekiwał w milczeniu, bowiem jak mniemał, było to pytanie retoryczne. Słowa policjanta zawisły gdzieś w powietrzu. Cisza trwała dłuższą chwilę, aż wreszcie młody mężczyzna odezwał się:

– Musi mi pan uwierzyć, że to wszystko nie tak, że to wszystko przypadek – powiedział spokojnie. Widział jak policjant śmieje się z niedowierzaniem – Ja naprawdę jestem niewinny, a to wszystko to jakieś cholerne nieporozumienie, jakiś zbieg okoliczności. Dobrze pan wie, że w czasie zajścia w mieszkaniu Jane byliśmy w teatrze...

– To ma być twoje alibi, chłopcze? Skoro tak, może zdradzisz mi, komu zleciłeś zdemolowanie mieszkania tej kobiety? A ten napis na ścianie? Wyjaśnisz mi to?

– Mówiłem, że nie mam z tym nic wspólnego! – niemal wykrzyknął Quincy – Nie wiem, kto to zrobił. Jestem ciekaw tak samo, jak pan komisarz.

– Powiedzmy, że twoje alibi na tamten wieczór jest wiarygodne. Jak jednak wytłumaczysz fakt, że widziano cię w pobliżu miejsca drugiego podwójnego morderstwa.

Co więcej: skoro jesteś niewinny, dlaczego uciekałeś, kiedy funkcjonariusze próbowali cię zatrzymać? Na to też znajdziesz jakieś cudowne tłumaczenie?

– Jak mówiłem, to był nieszczęśliwy przypadek. Zupełnie nie wiedziałem, co się tam dzieje. A kiedy zobaczyłem, że gonią mnie policjanci... to był zwykły odruch, instynkt. Po prostu spanikowałem. Chciałem wrócić do Jane, zabrać ją dokądś, być przy niej, chronić ją...

– Oooo, tak! – gromki śmiech wypełnił salę – To, doprawdy, zacnie z Twojej strony. Brakuje ci tylko lśniącej zbroi i białego rumaka. Nie zgrywaj mi tu rycerzyka, chłoptasiu i lepiej zacznij gadać, co wiesz. Bo kiedy sami się tego dowiemy, a dowiemy się prędzej, czy później, twoja przyszłość nie będzie wyglądać zbyt różowo. No więc? Słucham!

– Kiedy wszystko co powiedziałem, to prawda! – zarzekał się Quincy.

– A mnie się zdaje, że łżesz, jak pies! Powiem ci, co ja myślę. Myślę, że masz coś wspólnego z tym wszystkim, co się dzieje na mieście. Nie wiem jeszcze co, ale zapewniam cię, że się dowiem. Tymczasem na przykrywkę dla swojej niecnej działalności wybrałeś mieszkanie tej kobiety. Myślałeś, że jeśli zdobędziesz jej zaufanie, wszystko będzie cacy, to nikt się nie domyśli, że to ty rozrabiasz?! Nie takich cwaniaków wpakowałem za kraty. Ale ty jesteś taki sam jak inni, ciebie kręci zabijanie, ekscytujesz się tym, co? Inaczej nie

zostawałbyś na miejscu zbrodni, kiedy roiło się tam od policjantów. Ale wy, popaprańcy potrzebujecie tej adrenaliny, tego uczucia, że jesteście tak blisko, że ktoś depta wam po piętach. Tym razem jednak przedobrzyłeś, chłopcze. Nie wiem jeszcze, jaki miałeś motyw, czy w ogóle miałeś motyw, żeby zabijać tylu ludzi, ale radzę ci się przyznać jak najszybciej. Wtedy możemy zacząć rozmawiać.

– Z całym szacunkiem komisarzu, ale to nie jest rozmowa. Jeśli posadził mnie pan w tym pokoju, skuł kajdankami i próbuje zastraszyć, bylebym tylko przyznał się do czegoś, czego nie zrobiłem, to nie nazywajmy tego rozmową. To jest po prostu droga na skróty. Wsadzić pierwszego lepszego frajera, który da się złapać i mieć spokój.

– Skończ te swoje retoryczne gierki! Posłuchaj mnie...

– To niech pan mnie wysłucha komisarzu! – Quincy nie wytrzymał, wybuchając gniewem. – I niech słucha mnie pan uważnie, bo nie będę tego powtarzał drugi raz. Podczas gdy pan próbuje mnie nakłonić do przyznania się do wielokrotnego morderstwa, ten, kto naprawdę to zrobił, jest gdzieś tam. Jest tam gdzieś i śmieje się teraz jaki z pana głupiec, bo skoro myśli pan, że ja mógłbym to zrobić, to jest pan głupcem! A będzie pan jeszcze większym głupcem, jeśli pozwoli pan, by ten szalenciec pozostał na wolności, tylko dlatego, że boi się pan przyznać do błędu! A jeśli... – zawiesił głos na chwilę –

... jeśli Jane coś się stanie, to pan będzie temu winien!

– Proszę proszę, młody pokazuje pazurki. Jeszcze się okaże, kto tu z kogo robi głupca. Posiedzisz trochę, to może zmiękniesz i zaczniesz gadać.

Komisarz O'Reary podniósł się z krzesła. Podszedł do Quincy'ego i odpiął żelazną obręcz zaciśniętą na przegubie jego ręki. Chwycił go mocno tak, by nie mógł się wyrwać z tego uścisku: jakby z jeszcze większą wrogością, niż przed przesłuchaniem. To tylko utwierdziło Quincy'ego w przekonaniu, że wygrał tą potyczkę. Że jego słowa przyniosły zamierzony skutek. Uderzył w czuły punkt: podrażnił dumę starego policjanta. Zrozumiałe było, że O'Reary twardo przystąpi do tej gry: będzie próbował go zastraszać, wymusić na nim zeznania, Bóg wie co jeszcze. Quincy spodziewał się, że doświadczony glina użyje wszelkich sztuczek, żeby nakłonić go do mówienia. Poniósł jednak sromotną klęskę. Najlepsze nawet sztuczki nie pomogą mu w tym, aby osiągnął swój cel: nakłonił go, żeby przyznał się do winy. I mimo, że za Quincym zatrzasnęły się właśnie kraty celi, to szedł do niej z poczuciem triumfu, jakimś rozpierającym pierś uczuciem, że zachował się właściwie w tej sytuacji.

Faktycznie, jego przyszłość nie wyglądała najciekawiej. Nie z powodu tego, że miał coś na sumieniu. Czas działał na jego niekorzyść. Podczas gdy on tkwił zamknięty w celi, Jane groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Musiał się jak najszybciej stąd

wydostać. Nie wiedział jeszcze, w jaki sposób, jednak myślał, że coś może stać się kobiecie, którą kocha... Nie... nie darowałby sobie tego. Musi znaleźć sposób, żeby do niej dotrzeć, być przy niej, ochronić ją. Zastanawiał się przy tym, jaki związek ma cała ta sprawa z osobą Jane. Była młodą, piękną kobietą. Uczciwie pracowała, nie miała wrogów, nikomu nie wadziła. Sąsiedzi ją uwielbiali. Dlaczego ktokolwiek miałby ją prześladować? Kto włamał się do jej mieszkania? Co znaczył napis na ścianie? Co się dzieje teraz z Jane?

Rozmyślając, tworzył coraz dłuższą listę pytań, na które nie znał odpowiedzi. Przepęłniała go wściekłość: czuł się naprawdę bezsilny i to go denerwowało. Wreszcie, pomimo niewygód, mimo natłoku palących pytań, próbował zasnąć. Zасыpiając próbował wyobrazić sobie jej twarz, ale nie potrafił. Mówi się, że 'nie sposób wyobrazić sobie twarzy ukochanej osoby'. Uśmiechnął się na tę myśl, po czym zasnął głębokim snem.

Sen nie chciał z kolei nawiedzić Jane. Po tym wszystkim, co się wydarzyło tego wieczoru, nie mogła być spokojna, w jej głowie kłębiło się za dużo myśli. Była wewnętrznie rozdarta. Nie wiedziała, co ma zrobić w takiej sytuacji. Po raz pierwszy od dłuższego czasu dopadł ją strach. Taki prawdziwy, przeszywający aż do bólu. Myślała o Quincym. W zasadzie go nie znała. Jednak kiedy proponowała mu mieszkanie u siebie, wydał jej się zwykłym, młodym mężczyzną. Z czasem mu zaufała, przez tych kilka dni przywykła do jego obecności – tak

długo była sama. Jak mogła się pomylić w stosunku do niego? A może... może wcale się nie pomyliła? Może rzeczywiście był niewinny? Nie mogła się zdecydować, której myśli się chwycić. Z jednej strony, gdzieś w głębi serca pragnęła, żeby to wszystko okazało się nieprawdą i Quincy wrócił do niej cały i zdrowy, żeby życie toczyło się jak dawniej, kiedy żyli razem. Jednak jakaś inna jej część, ta część, która była śmiertelnie przerażona, chciała wierzyć, że to już koniec. Że ktoś, kto był dla niej zagrożeniem, jest zamknięty w więzieniu i już nigdy nie będzie musiała go oglądać. Tylko dlaczego to musiał być akurat on... Zapłakała cicho. Jak bardzo obcy byli sobie z Quincym. W tej chwili uświadomiła sobie, że wpuściła do swojego życia nieznanego człowieka. Jak wiele o nim wiedziała? Niewiele: tylko tyle, ile sam chętny był jej powiedzieć. A nie było tego dużo. Przez te kilka dni jej serce pragnęło zacząć go poznawać, nieważne w jakim tempie. Bez znaczenia ile miało to trwać, Quincy wydawał się jej fascynujący, coś bliżej nieokreślonego sprawiało, że był szalenie pociągający. Może właśnie owa zasłona tajemniczości, za którą się ukrywał. Cóż bardziej ekscytującego mogło być dla kobiety, aniżeli odkrywanie tajemnic mężczyzny, kawałek po kawałeczku. Jednak brutalna rzeczywistość jednym szybkim ruchem odarła tego mężczyznę z wszystkich sekretów, które tak bardzo ukrywał. Czyżby?

W głowie huczało jej od myśli. Jakaś część jej chciała, żeby był teraz przy niej. Bo choć może w tej

chwili był poszukiwanym przestępcą, wciąż miała w sercu wyobrażenie o nim. Wyobrażenie, które – wreszcie nie bała się tego przyznać – pokochała.

Zachowywała się zupełnie tak samo, jak te wszystkie koleżanki, które przychodziły szukać u niej pocieszenia, po kolejnym rozstaniu. Mimo wszystkich wylanych łez, nie bacząc na krzywdy, które mężczyźni wyrządzali im raz za razem, mówiły:

'Ciągle go kocham'

albo:

'Chciałabym do niego wrócić'

lub też:

'Jest takim wspaniałym mężczyzną'.

Ale to nie była prawda. Doskonale było tylko wyobrażenie, które zawsze towarzyszy zakochaniu. Ludzi idealnych po prostu nie ma. Gorące uczucie często to przesłania. I kiedy na błyszczącym, wyidealizowanym wizerunku ukochanego pojawia się pierwsza skaza, a później kolejna i następna, przychodzi rozczarowanie i jednocześnie tęsknota, za tym wyobrażeniem. Za czymś nieprawdziwym.

'Miłość, chyba polega na tym, ile prawdy potrafimy znieść' – pomyślała Jane. Jak bardzo tolerujemy odległość oryginału od doskonałości. Ile rozczarowań przetrwamy... a im więcej przetrwamy, tym jesteśmy silniejsi i na tym więcej musimy być przygotowani, bo miłość to nigdy nie kończący się sprawdzian wiary w drugiego człowieka.

Teraz Jane widziała w Quincym ten ideał, pragnęła,

żeby stał się nim. Żeby okazało się, że jest niewinny i z nadejściem świtu stanął w progu jej pokoju i wesołym głosem powiedział:

'Już wszystko jest w porządku'.

I uśmiechnął się tak, jak tylko on potrafi.

Zmęczenie przyszło nie wiadomo kiedy. Jane zasypiała z postanowieniem, że będzie wierzyć w ten nierealny ideał, dopóki nie będzie miała stuprocentowej pewności. Co innego jej pozostało?

* * *

O'Reary nerwowo zapalił ostatniego papierosa. Siedząc w swoim gabinecie, miał ciężki orzech do zgryzienia. Przesłuchanie niewiele dało. Nie miał pewności, czy mężczyzna siedzący w celi jest tym, którego szukał. Jeśli się pomyli, znów może stać się coś niedobrego. Nie wiedział, czy jest w stanie podjąć takie ryzyko. To oznaczało, że czeka go niesamowicie dużo pracy.

Po pierwsze: ustalić, czy rzeczywiście wersja przedstawiona przez Quincy'ego jest prawdziwa.

Jednocześnie, po drugie: na wypadek gdyby okazało się, że chłopak mówi prawdę, a on marnuje cenny czas, na poszukiwanie dowodu jego winy, musi mieć na wszystko oko, kontrolować miasto, oddelegować więcej patroli. Bo jeśli okaże się, że jego przypuszczenia są błędne... oznacza to, że właściwy sprawca wciąż pozostaje

bezkarny na wolności.

Po trzecie: znaleźć motyw, którym kierował się sprawca, nawet, jeśli okaże się, że to nie aresztowany chłopak. To najważniejsze, czego musiał się dowiedzieć, dla dobra śledztwa. Na początek postanowił poszukać jakiegoś klucza, według którego sprawca dobierał ofiary. W ciągu swojej służby prowadził kilkanaście podobnych spraw i niemalże z dziewięćdziesięcioprocentową pewnością mógł powiedzieć, że wszystkim rządził jakiś schemat.

Wreszcie, po czwarte: nie dopuścić do kolejnych morderstw. Aby tak się stało, musiał spełnić pozostałe trzy warunki.

Tylko od czego zacząć w sprawie takiej, jak ta?

– Myśl Michael, kurwa, myśl! – powtarzał uderzając się w czoło, jak gdyby miało to rozwiązać wszystkie jego problemy.

Myśl, czego mógłbyś się chwycić.

Przypomniał sobie wizytę u Adamsa i to, co powiedział mu wtedy znajomy. Musiał zdobyć więcej informacji o tym, jak mu tam, Jumainie, czy cholera go wie, jak się właściwie nazywał.

Zapisał w notesie.

Co dalej?

Postanowił, że ponownie uda się do kostnicy. Być może kiedy zbierze się cztery ofiary do kupy, jakiś naturalny tok postępowania sprawcy (o ile można mówić o czymś takim w przypadku seryjnego mordercy)

przyjdzie mu do głowy. Nie zaszkodzi spróbować.

A ponadto?

Zastanawiał się, co właściwie powinien zrobić z chłopakiem z celi. W zasadzie nie miał na niego nic poza tym, że był w pobliżu miejsca zdarzenia.

Nerwowo zastukał w blat biurka.

Czy lepiej było trzymać go w zamknięciu, żeby nikomu więcej nic się nie stało?

Zastanowił się jednak nad tym pomysłem: gdyby podczas pobytu tego faceta nic więcej się nie wydarzyło w najbliższym czasie, mógłby to zinterpretować dwojako. Albo to rzeczywiście chłopak, na którego (póki co) nie ma dowodów, albo faktyczny sprawca na jakiś czas uspokoił się. Z analiz psychologicznych, które teraz próbował przywołać na myśl wynikało, że seryjni mordercy czasami tak się zachowują. Obawiając się zdemaskowania, na jakiś czas próbują zniknąć ze sceny. Wycofują się, żeby sprawa nieco przycichła. Kiedy gazety napiszą już, co mają napisać, telewizja powie, co miała powiedzieć i temat nie będzie cieszył się już dużym zainteresowaniem – na powrót mają szerokie pole manewru, bowiem czujność wszystkich została uśpiona.

Zanotował:

'Nie tracić czujności!'

Taaaak, to jeden z prawdopodobnych scenariuszy.

Była jeszcze druga opcja. Bardziej ryzykowna. Mógł zdecydować o zwolnieniu mężczyzny z aresztu i czekać na jego ruch. Ciągła obserwacja, szpiegowanie jego

posunięć, przewidywanie działań, badanie śladów. Istniało jednak pewne niebezpieczeństwo. Gdyby w którymkolwiek momencie coś poszło nie tak, a chłopak okazał się winny, mogli zginąć kolejni niewinni. Pokusa była duża – gdyby Quincy okazał się na tyle nieostrożny i uwierzył, że jest wolny, mógłby sam doprowadzić ich do dowodów, albo nawet dać się nakryć na gorącym uczynku. Niewątpliwie, byłoby to spektakularne zakończenie śledztwa, a on, komisarz O'Reary, który wpadł na ten pomysł, wykazując się przy tym niebywałym zmysłem detektywistycznym i inteligencją, sporo by na tym zyskał. 'W tym szaleństwie jest metoda' – ta myśl coraz głośniej rozbrzmiewała w uszach komisarza.

Po długich rozważaniach podjął decyzję. Postanowił dać sobie trochę czasu, na sprawdzenie wszelkich śladów o Jumainie, oględziny zwłok, znalezienie motywu. Gdyby to nie przyniosło skutku, po kilku dniach wypuści chłopaka i nie będzie odstępował go na krok, w nadziei, że do czegoś go to doprowadzi. Wydawało mu się to dobrym planem. Po długim wieczorze spędzonym w gabinecie, wyszedł z niego zadowolony.

W środku nocy Quincy obudził się zlany zimnym potem. Coś mu się śniło. Dłuższą chwilę leżał na pryczy, wyciągnięty na wznak, oddychając szybko. Czekał, aż jego świadomość także ocknie się ze snu. Próbował przypomnieć sobie o czym śnił. Ach tak... Śniło mu się, że był w mieszkaniu Jane. Był wieczór, a w zasadzie noc. Stał w drzwiach pokoju Jane. Świdrującym wzrokiem

wpatrywał się w ścianę, na której widniał złowrogi napis, który oboje zobaczyli tamtego wieczoru. Trzymał coś w ręku. Wyglądało to jak coś w rodzaju czarnej kredy, miał tym umorusane całe ręce.

Dotarło do niego, że to on napisał ten tekst. Chwilę później we śnie usłyszał swój śmiech. Śmiał się głośno, jakby zadowolony ze swego dzieła. Był to taki śmiech, który słyszy się w tanich horrorach klasy B, kiedy ktoś wypowiada jakąś kwestię, a czarny charakter zaczyna się śmiać w sposób, który wywołuje gęsią skórkę. Chwilę później sen przerwał przerażony krzyk Jane.

Za dużo o tym wszystkim myślał. Nie miał jednak wpływu na swoją podświadomość, która płatała mu figle. Jego umysł tak bardzo zasugerował się tym, co powiedział mu komisarz O'Reary, że we śnie stał się właśnie mordercą. Było to o tyleż dziwne, co przerażające.

Oddech stopniowo uspokoił się, mięśnie rozluźniły.

Tymczasem w umyśle Quincy'ego zrodziła się pewna myśl, którą chciał zrealizować coraz bardziej.

Musi być przy niej, musi pilnować, żeby nic złego jej się nie stało.

Musi uciec z więzienia, bo będąc tutaj, nie pomoże Jane w niczym.

Jak to zrobić, to było jeszcze kwestią przyszłości, jednak na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Nie spodziewał się tego po sobie, – że będzie w stanie powziąć taką decyzję. Zachowywał się nienaturalnie, bo i okoliczności były szczególne.

Myśl o ucieczce kołatała mu się głowie. Na pewno nie poprawi tym swoich notowań u komisarza O'Reary'ego, ale na dobrą sprawę: czy mogło być jeszcze gorzej? Siedział w więzieniu, zamknięty na cztery spusty. Jane była nie wiadomo gdzie, nie wiadomo, co się z nią działo.

O czym myślała.

Czy była bezpieczna?

Czy nic jej nie groziło?

Czy się bała?

Czy bała się jego?

Leżąc wciąż na łóżku, Quincy zaczął układać w głowie plan ucieczki. Zaczął właściwie od końca. Zastanawiał się, jak znaleźć Jane, bo właściwie mogła być teraz w każdym miejscu. Jedno wiedział na pewno: nie zastanie kobiety w jej własnym mieszkaniu, bo to było teraz najmniej odpowiednie dla niej miejsce. Myślał też o tym, w jaki sposób może przyczynić się do rozwiązania sprawy. Skoro komisarz O'Reary uważał go za winnego, będzie musiał przeprowadzić własne śledztwo. Znaleźć dowody na potwierdzenie swojej racji. Przy okazji może znaleźć poszlaki, które doprowadzą go do faktycznego sprawcy. Dzięki temu będzie bezpieczna.

Będzie musiał także znaleźć sposób, aby dowiedzieć się, jakimi danymi dysponują policjanci, żeby mieć jakiś punkt zaczepienia. Miejsce, od którego mógłby zacząć poszukiwania.

Im dłużej się tak zastanawiał, tym bardziej wątpił w

powodzenie swojego planu. Był jednak zdecydowany. Przyznał w duchu rację tej części jego duszy, która poddawała wszystko w wątpliwość. Jeśli jednak nie spróbuje, będzie sobie do końca życia pluł w brodę, że zabrakło mu odwagi w bodaj najważniejszym momencie życia.

'Lepiej żałować tego, co się zrobiło, niż tego, czego się nie zrobiło' – pomyślał.

Największe wyzwanie stanowił jednak problem w postaci grubych krat z hartowanej stali, które stanowiły barierę w realizacji jego zamierzeń.

– Musi być jakiś sposób – powiedział, próbując, żeby jego głos zabrzmiał przekonująco. Nie bardzo się udało. Cóż, nie był mistrzem motywacji, ale – jak to mówią – miłość zawsze znajdzie sposób. I rzeczywiście znalazła.

Następnego dnia rano, jeszcze bladym świtem, komisarz O'Reary jechał nieoznakowanym radiowozem w stronę komisariatu. W zasadzie musiał wpaść tam tylko na chwilę, aby zabrać materiały dotyczące sprawy. Jego właściwym celem było policyjne archiwum danych, znajdujące się gdzieś na przedmieściach. Tak, jak wczoraj postanowił, musiał sprawdzić trop niejakiego Jumaina. Choć jeden z podejrzanych siedział właśnie w celi na komisariacie, nie mógł wykluczyć, że wyniki analizy grafologicznej, jakkolwiek dziwne i nieprawdopodobne się wydawały, mogły go naprowadzić na inny ślad. Poza tym szczerze ciekawiło go, w jaki sposób nieżyjący osobnik napisał wiadomość specjalnie dla niego. To

pytanie spędzało mu sen z powiek. Wiedział, że jego znajomy nie mógł się mylić co do oceny charakteru pisma, jeszcze nigdy go nie zawiódł. Jednak wyniki ekspertyzy były intrygujące. Chciał załatwić wszystko jak należy, więc musiał sprawdzić wszystko dokładnie, po kolei, bez względu na to, jak bardzo niedorzeczna wydawała się ta poszlaka. Intuicja podpowiadała mu jednak, że rozwiązanie zagadki nieboszczyka może być kluczem do całej sprawy.

Jadąc już w stronę archiwum, był mocno podekscytowany. Z informacji przedstawionych mu przez Adamsa wynikało, że nadawca listu był skazany na karę śmierci, którą, co ciekawsze wykonano. Może więc pomyłka tkwiła w danych policyjnych? Musiał się tego dowiedzieć.

Kilka minut później dotarł do budynku, w którym znajdowało się archiwum. Było to wielkie gmazysko, budowane jeszcze w starym stylu. Gdy wjeżdżał na parking nieopodal, potężna bryła budowli wyłoniła się z porannej mgły. Zaparkował auto i wbiegł po długich schodach, przeskakując po kilka stopni naraz.

Wszedł przez potężne drzwi, nad którymi znajdowała się leciwa już płaskorzeźba, nadgryziona zębem czasu. Kątem oka dostrzegł jakiś napis po łacinie. Akurat tej sentencji nie mógł odszukać w swojej pamięci, lecz przyszła mu do głowy inna, przy której zaśmiał się pod nosem: *Praeclarum est latinae scire!*

Będąc już we wnętrzu, znalazł się w ogromnych

hallu, o wielkim wnętrzu i wysokim suficie, ozdobionym jakimś, zapewne starym jak sam budynek, freskiem. Dawno tutaj nie był, jednak z pamięci odtworzył drogę do stanowiska informacji. Chwilę później stanął przed solidnym, dębowym biurkiem, ozdobnym w wykwintne frezy i żłobienia. Kobieta siedząca za nim wpatrywała się usilnie w ekran komputera, najwyraźniej czymś pochłonięta. O'Reary nie grzeszył cierpliwością, a ponadto śpieszyło mu się, więc odchrząknął cicho, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Wreszcie recepcjonistka obróciła głowę w jego stronę. Małymi świdrującymi oczkami wpatrywała się w niego poprzez bardzo grube szkła w ciemnozielonych oprawkach.

– W czym mogę pomóc?

– Witam, nazywam się O'Reary, dzwoniłem wczoraj do pani z komendy miejskiej – wyuczonym ruchem dobył z kieszeni legitymację służbową i odznakę i pokazał kobiecie, która przyglądała się badawczo.

– Taaaak – powiedziała – zdaje się, że potrzebował pan informacji na temat jakiegoś skazańca.

– Tak. Chodzi o nazwisko Ragan Jumain.

Jeszcze zanim skończył wypowiadać ostatnią zgłoskę, kobieta wklepała na klawiaturze podane nazwisko.

– Muszę pana rozczarować, niestety nie mamy nikogo o tym nazwisku w naszym rejestrze.

Mógł się tego spodziewać, więc był przygotowany na drugi strzał.

– Niech pani spróbuje Andriej Strielok.

Ręce kobiety wpisały słowa z zawrotną szybkością.

– Tak, ten jest. Hmmm, to dosyć stara sprawa, tego typu dokumenty przechowujemy w postaci slajdów, na specjalnych kliszach. Jeżeli jest pan zainteresowany ich przejrzeniem, może wpisać się pan do spisu, a my przygotujemy dla pana osobny pokój z rzutnikiem.

– Byłbym niewypowiedzianie wdzięczny – powiedział uśmiechając się policjant. Cieszył się. Wreszcie zdobędzie jakieś informacje, jakiś punkt zaczepienia. 'Oby się udało' – dodał w duchu.

Dopełnił formalności, wpisując imię, nazwisko i numer legitymacji w drobne rubryczki spisu odwiedzających archiwum. Następnie przeszedł do kolejnego pomieszczenia, gdzie zobowiązany był zdeponować broń osobistą. 'Ze względów bezpieczeństwa', jak mu powiedziano. Nie miał ochoty rozstawać się ze swoim ukochanym pistoletem, ale takie były warunki.

Już rozbrojony udał się za kobietą z punktu informacji. Przeszli wąskim, słabo oświetlonym korytarzem. Poruszali się wzdłuż szeregu drzwi, oznaczonych różnymi numerkami i napisami. Wreszcie kobieta zatrzymała się przed jednymi z nich, oznaczonymi numerem 16. i prostym napisem 'Projektor', co celnie oddawało przeznaczenie tego pomieszczenia. Przekręciła klucz w zamku. Drzwi uchyliły się, odsłaniając ciemne wnętrze. Ściany pokoju pomalowane były

ciemnogrnatową farbą, za wyjątkiem jednej (białej), w stronę której skierowany był rzutnik. Poza tym, w pomieszczeniu znajdował się tylko długi stół, na którym owy przyrząd był ustawiony i kilka krzeseł. W rogu wieszak na płaszcze, na suficie jedna, nieosłonięta niczym żarówka. Tyle mu w zupełności wystarczało.

– Proszę usiąść, przygotować projektor, a nasza stażystka za chwilę przyniesie panu slajdy.

O'Reary skinął głową na znak porozumienia, zdjął płaszczyk i zarzucił go na wieszak. Usiadł na krześle, naprzeciw jedynej białej ściany. Ustawił rzutnik, włączył lampę projektora. Zgasił górne światło i cierpliwie czekał. Po chwili rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę! – powiedział głośno.

Chwilę później wyrażenie 'nasza stażystka' swe uosobienie znalazło w postaci młodziutkiej dziewczyny, o wyjątkowo powabnych kształtach. O'Reary przyłapał się na tym, że nie mógł oderwać wzroku od nieziemsko zgrabnych ud dziewczyny, które opinały starannie dopasowane jeansy. Miał tylko nadzieję, że pod kilkudniowym zarostem dało się ukryć rumieniec, który wystąpił mu na twarzy. Gdyby tylko był trochę młodszy, zaryzykowałby i poprosił ją o numer telefonu.

– Dzień dobry – odezwała się dziewczyna wyjątkowo słodkim głosem. – Zdaje się, że to dla pana.

Mówiąc to, postawiła na stoliku dosyć spore, podłużne pudełko z napisem:

'A. Strielok.1988/89'.

– Ekhm... Tak, zdaje się, że tak. Dziękuję pani bardzo.

Uśmiechnęła się promiennie.

– Nie ma za co, w końcu to należy do moich obowiązków. Nie będę panu przeszkadzać, mam nadzieję, że materiały przydadzą się. Do widzenia!

– Do zobaczenia! – odpowiedział policjant. Kiedy wychodziła, odprowadzał do drzwi każdy ruch jej ponętnych nóg. W końcu drzwi zamknęły się i został sam w pokoju. Przysunął bliżej pudełko. Podniósł wieczko kartonu i jego oczom ukazała się zawartość: kilkanaście ramek ze slajdami. Nie chcąc marnować dłużej czasu, wyjął pierwszy z nich i umieścił w rzutniku. Jeszcze tylko dopasować ostrość...

* * *

W komendzie dzień w zasadzie dopiero się rozpoczął. W pracy zjawiali się ostatni dyżurni i aspiranci. Rozbrzmiewały pierwsze telefony, nadchodziły faksy. Rozpoczął się długi dzień pracy. Pod nieobecność komisarza O'Reary'ego całym tym zamieszaniem zajmował się Tony.

Był młodym mężczyzną. Miał około dwudziestu pięciu lat i jeszcze młodzieńcze rysy twarzy. Dwa lata temu ukończył akademię policyjną z wyróżnieniem. Choć jeszcze brakowało mu potrzebnego doświadczenia, na służbie nadrabiał sumiennością i rzetelnością, a także

umiejętnością chłodnego myślenia w sytuacjach kryzysowych. W stosunkach z bezpośrednim przełożonym – O'Rearym, starał się zachowywać nad wyraz formalnie, jednak z każdym kolejnym dniem służby odczuwał łączącą ich nić cichego porozumienia i zrozumienia. Gdzieś w głębi duszy pragnął, żeby z czasem przerodziło się to w otwartą przyjaźń, bowiem podziwiał szefa zarówno jako policjanta, jak i człowieka. Dlatego właśnie odczuwał dumę z powodu tego, że to jego nieoficjalnie O'Reary wybrał na swojego zastępcę. Przyjemnie łechtało to ego młodego chłopaka.

Rozdysponował między kolegów rejony patroli, starannie udzielając uwag, co do każdego z nich. Papierkową robotę rozdzielił po równo między pozostałych funkcjonariuszy, którzy pracowali w biurze. Przy tym najcięższe zadania, wymagające szczególnej uwagi, zostawiał dla siebie. Analizę najważniejszych dokumentów przeznaczał dla swojej osoby, chciał dopilnować, żeby wszystko było jak należy, czym chciał zdobyć dodatkowe punkty w prywatnym rankingu ulubieńców komisarza.

Chwycił za telefon i wykręcił wewnętrzny numer na stołówkę. Sto czterdzieści osiem. Po chwili w słuchawce rozbrzmiał głos.

– Zanieście naszemu więźniowi coś do jedzenia. To już pora śniadania – powiedział Tony. – Tylko nie rozpieszczajcie go zbyt. Chłopak jeszcze rozmiłuje się w naszej kuchni i będzie chciał zostać tu na dłużej.

Odkładając słuchawkę słyszał zanoszącego się śmiechem kucharza.

* * *

O'Reary przekręcił obręcz obiektywu i spojrzał na oświetloną przez rzutnik ścianę. Złapał ostrość i zaczął dokładniej przyglądać się treści slajdów. Ich zawartość stanowiły zeskanowane na przezrocza dokumenty. Pierwszy slajd, który włożył, zawierał ogólne informacje pogładowe – personalia, zdjęcie, krótki życiorys. Zdjęcie policjant już znał, widział jej jakiś czas temu w teczce, którą dał mu Adams. Informacje personalne na pewno się przydadzą, będzie musiał poprosić o ich wydrukowanie. Poza oczywistymi danymi, takimi jak data i miejsce urodzenia, znalazła się tu rubryka 'ostatni znany adres', co będzie dobrym punktem zaczepienia do rozpoczęcia śledztwa. Rodzeństwo – brak. Rodzice – matka nie żyje, ojciec nieznany. Komisarz nie znalazł tu nic więcej, co mogłoby się przydać. Wyjął kliszę i włożył następną ramkę. Tym razem natrafił na fragment artykułu prasowego. Powiększył nieco tekst, aby móc przeczytać. W prawym górnym rogu zauważył datę 23 czerwca 1988 roku. Zagłębił się w treść komunikatu:

"Makabrycznego odkrycia jakiś czas temu dokonali kaladońscy śledczy. W opuszczonym magazynie w miejskich dokach odnaleziono zwłoki nieznanego mężczyzny. Ze źródeł zbliżonych do oficjalnych redakcja

dziennika "Caladon News" uzyskała informację, jakoby morderstwa dokonano ze szczególnym okrucieństwem. Wedle tych informacji ciało mężczyzny było brutalnie okaleczone, wszelkie kończyny zaś i głowa, oddzielone od reszty ciała..."

– Jasna cholera... – powiedział pod nosem O'Reary.

"...z chirurgiczną precyzją. Cięć dokonano z niezwykłą starannością. Oczy ofiary, pozbawione były powiek. Nie udało nam się uzyskać żadnych informacji na temat domniemanej tożsamości sprawcy. Policja nie chce ujawniać jakichkolwiek danych ze względu na dobro śledztwa. Nie wiadomo także, na jakich etapach są poszukiwania, ani czy ustalono już podejrzanego w tej sprawie. Śledczy zbierają wszelkie informacje na ten temat: badają miejsce zbrodni, przesłuchują pracowników doków, zbierają poszlaki. Ze względu na szczególność tej sprawy, będziemy zdawać Państwu relację z postępów w poszukiwaniach sprawcy, o ile tylko śledztwo posunie się do przodu".

Komisarz O'Reary podrapał się po głowie. Sprawa sprzed ponad dziesięciu lat. Pamiętał ją jak przez mgłę. W zasadzie przyszło mu teraz do głowy, że utkwiała mu ona w umyśle jako wyjątkowo okrutna, to wszystko. Wtedy jeszcze nie pracował w wydziale kryminalnym, nie miał styczności z wszystkimi wydarzeniami w tym okresie. Nie chcąc tracić czasu, przełożył następną ramkę ze slajdem. Kolejny fragment artykułu. Spojrzał na datę. 18 sierpnia 1988. Zaczął czytać, linijka, po linijce.

"Zgodnie z życzeniem władz policji, w dniu dzisiejszym na pierwszej stronie publikujemy portret pamięciowy domniemanego sprawcy głośnej ostatnio zbrodni, która wstrząsnęła mieszkańcami naszego miasta. Należy pamiętać przy tym, że rysunek stworzony jest na podstawie zeznań świadków, faktycznie zaś poszukiwana osoba może się nieco różnić od portretu".

O'Reary rozpoznał tę twarz, kilka minut temu oglądał ją na pierwszym ze slajdów. Z tym, że tu, na portrecie pamięciowym, była ona jakby mniej zmęczona, można rzec nawet radośniejsza. Włosy mężczyzny były jakby dłuższe, twarz bardziej żywa, spojrzenie bardziej energetyczne. Być może tak właśnie świadkowie zapamiętali sprawcę. Wrócił do czytania:

"Jak twierdzą świadkowie, jest to osoba, która prawdopodobnie dokonała zbrodni. W dniu tego zdarzenia widziana była na terenie doków, pomimo, że nie należy do grupy pracowników. Jej obecność zanotowano także kilka dni wcześniej, przed brutalnym morderstwem, jednak nic więcej nie wiadomo. Ktokolwiek widział tą osobę, proszony jest o kontakt z redakcją lub komendą główną policji w Kaladonie. Poniżej podajemy numery kontaktowe i nazwiska dyżurujących przy telefonach".

I kolejny wycinek prasowy, z 31 sierpnia 1988:

"Sensacyjne wydarzenia w naszym mieście: Rzeźnik z Kaladonu schwytany!

W dniu dzisiejszym komendant policji w Kaladonie podał podczas konferencji prasowej informację o

zakończeniu śledztwa w sprawie morderstwa sprzed dwóch miesięcy. Jak zapewniał naczelnik policji, sprawca pozostaje w areszcie pod szczególnym nadzorem, a w związku z tym mieszkańcy miasta mogą odetchnąć i poczuć się bezpiecznie.

W przygotowaniu znajduje się akt oskarżenia. Prawdopodobnie sprawcy zostanie postawiony zarzut zbrodni ze szczególnym okrucieństwem, a prokurator okręgowy już dziś zapowiedział, że w sądzie będzie wnosił o karę śmierci dla mordercy.

Ujawniono także personalia sprawcy. Jest to niejaki Andriej Strielok, obywatel Ukrainy, który nielegalnie przebywał na terenie naszego kraju. Nie wiadomo w jaki sposób, ani kiedy przekroczył granicę naszego państwa, kwestie te są wciąż wyjaśniane przez policję".

A więc faktycznie, tak jak mówił Adams, ten cały Strielok faktycznie miał coś na sumieniu. O'Reary'ego wciąż dręczyło wiele pytań.

Czy faktycznie zasądzono w tym procesie karę śmierci?

Co mogła oznaczać zmiana nazwiska, o którą starał się adwokat tego mężczyzny?

Jaki związek ma osoba Strieloka ze sprawą, którą prowadzi?

I ostatnie, najtrudniejsze: w jaki sposób ten cały Strielok zostawił mu wiadomość?

Wyjął ramkę ze slajdem z rzutnika. Bez chwili zwłoki włożył następną i zaczął przeglądać zapisane tam

informacje. Wśród nich znalazł odpowiedź na pierwsze ze swoich pytań. Klisza zawierała odpis wyroku ze sprawy sądowej, która odbyła się 23 września 1988 roku. W toku postępowania stwierdzono, że sprawca był poczytalny w momencie popełniania przestępstwa. W okresie od szóstego września do dnia rozprawy przebywał w zakładzie psychiatrycznym, pod okiem najlepszych specjalistów tej dziedziny. Zasądzono wyrok pozbawienia życia przez krzesło elektryczne. Wyrok wykonano dokładnie dwa miesiące później, czyli dwudziestego trzeciego grudnia 1988 roku.

Szpital psychiatryczny – to może być to. Musi dowiedzieć się, w jakim zakładzie umieszczony został Strielok. Może uda mu się uzyskać dostęp do dokumentacji medycznej, która na pewno musiała być obszerna. Mógłby wyczytać z niej coś, co pomoże mu w jego poszukiwaniach. W jednym momencie wszystko to wydało mu się nedorzeczne. W jakich do cholery poszukiwaniach? Poszukiwaniach nieboszczyka? Miał potwierdzenie jego śmierci, czarno na białym. Niemożliwym było, żeby martwa osoba dokonała serii morderstw ponad dziesięć lat później. Ale jak w takim razie wytłumaczyć list pozostawiony za szybą jego samochodu, analizę grafologiczną? Tego jeszcze nie wiedział. Analityczny umysł O'Reary'ego gubił się w gąszczu tych wszystkich faktów, musząc przeciwstawić sprzeczne sobie informacje.

Z jednej strony miał osobę sprawcy, która mogłaby

popęłnić przestępstwa, które starał się obecnie wyjaśnić, gdyby... no właśnie, gdyby nie był on martwy. Z drugiej strony, w jakiś niewytłumaczalny sposób ten właśnie martwy człowiek, zostawia mu wiadomość, która doprowadza do jego osoby. Całość stanowiła błędne koło i nijak komisarz nie mógł się skłonić ku przekonaniu, że gdzieś tkwił błąd i albo popełniono go przy tworzeniu dziesiątek stron dokumentów, albo faktycznie w jakiś sposób nieboszczyk powstał z martwych i mści się zza grobu. Teraz jednak, kiedy zaczął, nie mógł już przestać. Jego umysł głodny był odpowiedzi, choćby najbardziej absurdalnych. Być może, kiedy uzyska informacje do każdego pytania, może wszystko się ułoży w jakąś spójną całość, domyśli się, gdzie popełniono błąd, albo kim jest sprawca. Chcąc, nie chcąc – musiał brnąć dalej w to śledztwo, choć już w tym momencie wydawało mu się, że utknął w martwym punkcie.

Na kolejnych slajdach odnalazł adres ośrodka psychiatrycznego, w którym umieszczony został sprawca i nazwisko lekarza prowadzącego. Zamierzał udać się w to miejsce i porozmawiać z tym psychiatrą w pierwszej wolnej chwili. Wszystko zanotował skrzętnie w podręcznym kalendarzyku.

Inną informacją, której się doszukał, był wniosek adwokata o zmianę nazwiska. Przypomniawszy sobie, że mówił mu o tym Adams. Ze skanów wyczytał, że sąd przychylił się do wniosku obrońcy, traktując wniosek jako ostatnią wolę oskarżonego. Nazwisko zmieniono na

Ragan Jumain. Jakkolwiek egzotycznie brzmiało to nazwisko, wydawało się dosyć tajemnicze. I ten ślad należy sprawdzić: czy było to przypadkowo wybrane imię, a jeśli nie, co mogło oznaczać.

Pozostałe przezrocza zawierały raczej już nieprzydatne dane. Na jednym z nich ktoś nadgorliwy umieścił nekrolog, obwieszczający datę i miejsce pochówku Jumaina. Nic to nie znaczyło dla nikogo – nie miał rodziny, przyjaciół zapewne też nie, a nikt po prostu sam z siebie nie wybiera się na pogrzeb osobnika takiego jak ten.

O'Reary uznał, że tyle mu wystarczy. Miał kilka poszlak, za którymi mógł podążyć. Wyłączył więc projektor i zapalił górne światło. Odłożył wszystkie slajdy do pudełeczka, zabrał płaszcz z wieszaka i udał się w stronę recepcji. Przy wyjściu z długiego korytarza odebrał broń. Udał się do kobiety, z którą rozmawiał wcześniej. Zauważywszy mężczyznę, spojrzała na niego pytająco.

– Czy mogę w czymś jeszcze pomóc?

– Właściwie to tak. Niech pani spojrzy, na tej kartce zanotowałem numery slajdów, które mnie interesują. Jeżeli nie byłoby to zbyt dużym problemem, potrzebowałbym wydruku informacji na nich zawartych.

– Ależ oczywiście, dopilnuję, żeby zostało to zrobione jak najszybciej. Czy coś jeszcze?

– Nie, to by było na tyle.

– Świetnie. Nasza stażystka natychmiast się tym zajmie. Wszelkie dokumenty prześlemy do pana faksem.

- Wyśmienicie. Będę czekał.
- Zapewniam, że nie potrwa to długo.
- Do widzenia! – powiedział O'Reary, po czym nie czekając na odpowiedź, czym prędzej udał się do wyjścia. Zamierzał od razu pojechać do szpitala psychiatrycznego, o którym czytał. Spojrzał jeszcze raz na adres zapisany w notesie. Chwilę później, uruchomił silnik swojego służbowego Forda i ruszył przed siebie.

W tym czasie na komendzie huczało jak w ulu. Telefony dzwoniły jeden za drugim, echem rozbrzmiewały dyskusje, rozmowy, przekrzykiwania. Roboty było co niemiara. Właśnie akurat dzisiaj jakby wszyscy naraz zmówili się, aby zadzwonić ze swoimi problemami. Nie każdy ze zgłaszanych przypadków wymagał interwencji policji, jednak na wytłumaczenie tego zdawałoby się prostego faktu, dyżurni siedzący przy telefonach tracili masę czasu.

Quincy siedział w swojej celi, oparty plecami o ścianę. Chłód muru uspokajał go, chociaż w środku aż się w nim gotowało. Spędził tu niewiele czasu, ale już po pierwszej nocy nie mógł tu wytrzymać. Przyszło mu na myśl, że to dolegliwość ludzi naprawdę niewinnych. Próbował chwycić się tej myśli, żeby się jakoś podbudować. W tym samym momencie roześmiał się niemalże głośno, wyobrażając sobie sytuację, w której przedstawia ten fakt komisarzowi O'Reary'emu: nie może tutaj wytrzymać, co dowodzi jego niewinności, więc powinni go wypuścić. Wyobraził sobie też gromki

śmiech, którym wybucha policjant. Gdyby tylko dało radę tak prosto się stąd wydostać... Co miał do stracenia?

Kiedy tak siedział zamyślony, nie spostrzegł od razu, że ktoś mu się przygląda. Po chwili poczuł na sobie wzrok osoby stojącej za kratami, która badała go wzrokiem. Od razu rozpoznał, że jest to kucharz, albo ktoś taki. Oprócz charakterystycznego stroju miał przy sobie niewysoki wózek na kółkach, na którym znajdował się talerz z posiłkiem. Mężczyzna po drugiej stronie krat wlepił w Quincy'ego wzrok. Nie odzywał się. Wreszcie, przez specjalne podłużne wycięcie w kratkach przełożył talerz z jedzeniem. Skinął głową w stronę talerza, po czym wyszedł bez słowa. Quincy nie był głodny. Szczerze mówiąc nie miał na nic ochoty. Czuł się tu jakby poza światem – nie miał potrzeb, czuł się odcięty od tego wszystkiego, co działo się na zewnątrz. Jedyne o czym myślał, to wydostać się stąd jak najszybciej.

I wciąż w głowie pojawiało mu się imię Jane.

Jane w tym czasie znajdowała się w pokoju, w którym po raz ostatni widziała Quincy'ego. Pod stałym nadzorem dwóch policjantów, którzy stali pod drzwiami oznaczonymi numerem sto sześć, miała być bezpieczna. Tymczasem to ona czuła się jak w więzieniu. Nie było dane jej ruszyć się ani na krok, żeby nie ruszyli za nią ci dwoje zza drzwi. Widok młodej kobiety w towarzystwie dwóch osiłków wyglądał co najmniej dziwnie. Już sam fakt ich obecności, tego, że coś się dzieje wokół jej osoby działał na Jane drażniąco.

W pewnej chwili Jane usłyszała za drzwiami jakieś hałasy. Na korytarzu coś się działo. Podeszła do drzwi i przystawiła do nich ucho. Usłyszała jakieś stłumione głosy, nie była jednak w stanie zrozumieć, o czym się tam mówi. Starła się nasłuchiwać jeszcze uważniej – na nic to się zdało. Po krótkiej chwili zamieszanie za drzwiami ucichło i z korytarza nie dało się już słyszeć niczego.

Delikatne pukanie do drzwi odrzuciło Jane do wnętrza pokoju, jak gdyby ktoś podgrzał drzwi do niewiarygodnie wysokiej temperatury, ona zaś odskoczyła oparzona.

Jeszcze raz ktoś cichutko zastukał.

– Halo, pani Jane, czy jest tam pani?

– Tak, proszę wejść.

Drzwi otworzyły się, a do wnętrza pokoju wszedł jeden z policjantów. Jane zauważyła, że trzymał coś w dłoniach. Kiedy się zbliżył, dotarło do niej, że jest to zwykła, biała koperta. Funkcjonariusz oglądał ją ze wszystkich stron, obracał w dłoniach, przerzucał między palcami. Wyciągnął dłoń w stronę okna, wystawiając biały papier pod światło słoneczne.

– Powinno się... rozumie pani... najpierw sprawdzić... czy to jest bezpieczne – mówił policjant mrużąc oczy.

Jane nie było do śmiechu, jednak powstrzymywała się od tego, żeby nie parsknąć mężczyźnie w twarz. Rzeczywiście, koperta potrafi być zabójczym narzędziem, stanowiącym ogromne zagrożenie.

Jednocześnie zastanawiała się: kto mógł do niej napisać? Nie spodziewała się przesyłki od nikogo konkretnego.

'Quincy' – pomyślała. Ten pomysł od razu sprawił, że jej serce zabiło szybciej.

W zniecierpliwieniu oczekiwała, kiedy wreszcie policjant zakończy inspekcję skrawka papieru i będzie mogła zerknąć do wnętrza koperty.

– Wydaje mi się, że wszystko jest w porządku. Gdyby pani czego potrzebowała, jesteśmy za drzwiami, rozumie pani – mówił ze specyficznym akcentem osiłek.

'A gdzieżby indziej', pomyślała Jane.

– Dziękuję bardzo, to chyba wszystko – kobieta wskazała wyciągniętą dłonią w stronę drzwi, wyraźnie sugerując mężczyźnie, że chce zostać sama i zająć się w końcu tajemniczą przesyłką. Policjant, zupełnie się nie spiesząc opuścił wnętrze pokoju, a gdy tylko drzwi zamknęły się za nim, Jane usiadła na brzegu łóżka, bliżej okna, żeby móc dokładniej przeczytać list.

Obejrzała dokładnie kopertę z obu stron. Z jednej strony, w miejscu, w którym zwykle pisać się adres, widniało tylko jej imię, wypisane starannie równymi literami: JANE, ze szczególnie ozdobnym 'jot'. Z drugiej strony nie znalazła więcej tekstu, czegokolwiek, co wskazywałoby na nadawcę. Żadnego adresu, podpisu, pieczęci pocztowej. Pospiesznie rozerwała papier, zachowując przy tym ostrożność, żeby nie uszkodzić zawartości koperty. Okazała się nią biała, złożona na

cztery, mała kartka papieru. Rozłożyła arkusz papieru i zaczęła czytać. Z każdym przeczytanym wyrazem jej wzrok wędrował coraz szybciej i szybciej, prześlizgując się po słowach i zdaniach. Każde zaś zdanie i słowo powodowało narastanie w niej strachu i budowało poczucie zagrożenia...

Rozmowę stojących za drzwiami policjantów przerwał krzyk dobywający się z wnętrza pokoju. Bez chwili wahania, funkcjonariusze wtargnęli do środka, otwierając drzwi z hukiem. Zdziwieni rozejrzeli się po pomieszczeniu. Wnętrze wyglądało zupełnie niewinnie i nie wiadomo było, co wywołał paniczny krzyk, który rozległ się kilka sekund wcześniej. Mężczyźni zastali Jane na łóżku, zwiniętą w kłębek. Płakała głośno. Policjant, który doręczył jej list podszedł do niej i podniósł kartkę leżącą obok. Powoli przeczytał, a wyraz jego twarzy zmieniał się z każdą sekundą, aby wreszcie przybrać minę zdziwienia i zmieszania. Stał tak dłuższą chwilę, a kiedy doszedł do siebie, odwrócił się w stronę kolegi i powiedział tylko:

– Joe, dzwoń na komendę. Niech łączą z O'Rearym. Już, rusz się!

Joe tak szybko, jak tylko mógł zbiegł na dół, gdzie udał się do Barbary. Chwycił słuchawkę telefonu i wykręcił czym prędzej numer.

Pośród gwaru, jaki panował w portierni na komendzie po chwili dało się słyszeć dzwonek telefonu. Tony uniósł głowę znad biurka, a po chwili zorientował się, że to

aparat w biurze jego przełożonego domaga się, aby podnieść jego słuchawkę. Ruszył w stronę drzwi. W pęku kluczy odszukał ten pasujący do gabinetu O'Reary'ego. Będąc już w środku, rzucił się w stronę biurka w obawie, że dzwoniąca osoba zdąży się rozłączyć.

– Tak? Gabinet komisarza O'Reary'ego.

Nie, niestety go nie ma, jest na mieście.

Mówi Tony.

Joe, możesz jeszcze raz powtórzyć? Słabo cię słyszę...

Co się stało?!

Jesteś pewien?

Dobra, zabierajcie ją na komendę, ja w tym czasie ściągnę tu O'Reary'ego.

Tak. Tak. W porządku. Tylko uważajcie na siebie.

Czekam.

Tony odrzucił słuchawkę na swoje miejsce. Chwycił się za głowę, wyraźnie zdenerwowany. Wrócił do głównego pomieszczenia i podszedł do jednego z funkcjonariuszy dyżurującego przy radiostacji.

– Hej, Andrew, łącz z O'Rearym i to piorunem.

Komisarz O'Reary stał w korku na skrzyżowaniu w centrum miasta. Nic nie wynikło z jego pośpiechu, nie mógł przeskoczyć setek samochodów znajdujących się przed nim. Wtem, we wnętrzu samochodu rozbrzmiał dźwięk policyjnego radia i z głośniczka dało się słyszeć głos Tony'ego.

– Halo, szefie? Słyszysz mnie pan?

Michael chwycił za słuchawkę.

– Jestem. Co się urodziło?

– Myślę, że powinien pan jak najszybciej do nas przyjechać. Coś... coś się wydarzyło w tej noclegowni, w pokoju tej dziewczyny. Chłopaki już jadą z nią na komendę.

– Co masz do cholery na myśli mówiąc, że coś się wydarzyło?

– W zasadzie sam nie wiem dokładnie, zrozumiałem piąte przez dziesiąte. Rzekomo dziewczyna dostała jakiś list, ale o co dokładnie chodzi, nie powiem panu. W każdym razie Frank zarzekał się, że to coś strasznie ważnego, i że bez pana się nie obejdzie.

– Lepiej, żeby Frank miał dobre wytłumaczenie. Dobra, słuchaj, jak dobrze pójdzie, będę za dwadzieścia minut.

– Czekamy, szefie.

– Z dziewczyną wszystko w porządku?

– Tak, raczej tak.

– W porządku, pilnujcie jej. Jestem w drodze. Bez odbioru.

– Bez odbioru szefie – powiedział Tony i komunikat w radiostacji komisarza uciął charakterystyczny trzask.

– Tylko tego brakowało – rzekł pod nosem O'Reary. Musiał zmienić plany i odłożyć wizytę w szpitalu psychiatrycznym na inny czas. Sięgnął po sygnalizator świetlny, stojący tuż przy przedniej szybie jego służbowego Forda. Umieścił go na dachu za pomocą

magnetycznej podstawki i włączył syreny. Nacisnął na klakson kilka razy i powoli zaczął ruszać przed siebie. Stojące przed nim auta zaczęły rozsuwać się leniwie, by wreszcie utorować mu drogę. Znalazłszy się już na prostej drodze przycisnął pedał gazu do podłogi i popędził w kierunku komisariatu.

Kwadrans później stanął w hallu posterunku. Już z daleka skinął głową w stronę Tony'ego. Zauważywszy przełożonego, Tony podbiegł do niego, spiesząc z wyjaśnieniami.

– Dobrze, że pan jest.

– Wyjaśnisz mi w końcu, co się stało?

– Chłopaki przywieźli dziewczynę, są z nią w świetlicy. Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem, ale podobno dostała list od...

– Od kogo?

– Od faceta, który w ostatnim miesiącu zabił cztery osoby.

– Pierdolisz... Powiedz mi, że to żart.

– Chciałbym szefie, ale wygląda na to, że nie mogę. Jest jeszcze jeden szczegół, ale o tym porozmawia pan z chłopakami.

– Cholera jasna. Dobra, Tony. Kawa, dziewczyna, list i ci dwaj, którzy jej pilnowali, za dziesięć minut w moim gabinecie. Będę czekał. W tym czasie niech postarają się jakoś ją uspokoić.

– Się robi, szefie.

O'Reary udał się do swojego gabinetu. Z szuflady

biurka wyjął paczkę papierosów i zapalił pośpiesznie. Chwilę potem zjawił się Tony z kubkiem aromatycznej kawy. O'Reary zaciągał się głęboko, próbując ukoić nerwy.

– I rzuć tu człowieku palenie. Nie da się, normalnie się kurwa nie da – mówił sam do siebie.

Dziesięć minut, które wyznaczył do momentu spotkania minęło szybciej, niż się spodziewał. Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – powiedział komisarz.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu weszli dwaj policjanci, a zaraz za nimi dziewczyna. Jane. Szerokim gestem dłoni O'Reary zaprosił ją, ażeby usiadła przy jego biurku. Kiedy zbliżyła się, zauważył, że oczy ma wciąż czerwone i wilgotne od łez. Sięgnął do swojej szuflady i wyjął opakowanie chusteczek. Podał dziewczynie, próbując jednocześnie zdobyć się na jak najszczerzy uśmiech.

– Dziękuję – powiedziała Jane cicho.

– Wy dwaj – siadać! – wskazał O'Reary na dwóch wyrostków stojących w głębi gabinetu.

Funkcjonariusze posłusznie wypełnili polecenie, zajmując miejsca na podłużnej ławie stojącej wzdłuż ściany.

– Już lepiej? – zapytał O'Reary.

– Pyta się pan czy jest lepiej? – łamiącym się głosem mówiła Jane – Po tym, co on mi napisał, już nigdy nie będzie lepiej.

- A cóż takiego do pani napisał?
- Nie chcę o tym mówić.
- Czy wciąż ma pani przy sobie ten list?
- Tak – kobieta podała mu pogniecioną kopertę.

Michael delikatnie ujął ją w dłonie, jakby trzymał w rękach coś delikatnego. Miał na uwadze, że może być to znaczący dowód w sprawie, choć nie miał wciąż najmniejszego pojęcia, co stanowiło treść listu. Odłożył kopertę z boku biurka, zostawiając lekturę na później.

– Niech mnie pani posłucha. Wiem, że dużo pani ostatnio przeszła. Ale musi być pani dzielna. Zrobimy tak: pojedzie pani z moimi ludźmi do wybranego przez siebie hotelu, gdzie spędzi pani kilka najbliższych dni i...

– Jane. Proszę mówić mi po imieniu.

– Dobrze, Jane. Spędzisz tam kilka najbliższych dni, pod naszą opieką oczywiście. Nic ci tam nie będzie grozić. Od tej pory moi ludzie będą monitorować wszystko, co przewinie się przez twój pokój, prześwietlą nawet obsługę hotelu, jeśli będzie trzeba. Oczywiście, nie przejmuj się kosztami, wszystkie opłaty bierzemy na siebie.

– I wydaje się panu, że to załatwia sprawę? Że poczuję się bezpieczniejsza? To nie pana...

– Michael. Proszę mi mówić po imieniu.

– To nie ciebie, Michael, ściga jakiś nienormalny facet, grożąc ci na każdym kroku! To jest nie do pojęcia, nie wytrzymam tego... – znowu zaczęła płakać Jane.

– Wszystko się jakoś wyjaśni, Jane. Posłuchaj. Kiedy

wyjdiesz, ja przeczytam ten list. Być może znajdę w nim jakieś wskazówki, które naprowadzą mnie na trop. Ty będziesz pod stałą opieką moich ludzi, nic ci nie grozi. Jutro przyjadę do ciebie i porozmawiamy na spokojnie, kiedy już trochę ochłoniesz, dobrze?

Zapewniam cię, że poszukiwania tego popaprańca są na dobrej drodze. Wracam właśnie z miejsca, w którym znalazłem informacje na temat potencjalnego sprawcy całego tego zamieszania.

– Więc wiesz, kto to jest?

– To są na razie tylko przypuszczenia. Nie chciałbym niczego ci obiecywać Jane, ale jesteśmy na dobrym tropie, znajdziemy go.

– Czy... – wstrzymała na chwilę głos. Bała się zadać to pytanie. – Czy Quincy ma z tym coś wspólnego?

– Tego na razie nie możemy wykluczyć. W zasadzie nie wiążemy go bezpośrednio ze sprawą, jednak musisz wiedzieć, że tego dnia, kiedy byłaś świadkiem jego aresztowania, widziano go w pobliżu miejsca ostatniej zbrodni. Uciekał przed policjantami, dogonili go dopiero, kiedy znalazł się w tym pokoju.

– Wypuście go?

– To na razie wykluczone. Nie na tym etapie śledztwa. Chłopak nie ma żadnego alibi na to popołudnie, poza tym uciekał przed goniącymi go funkcjonariuszami, zupełnie, jak gdyby miał coś na sumieniu. Musi zostać u nas do wyjaśnienia.

– A czy ten list nic nie wyjaśnia? To przecież nie

Quincy go napisał.

– To jeszcze nic nie znaczy Jane. Jak mówiłem, porozmawiamy o tym ponownie, gdy zdobędziemy więcej informacji. Na razie chłopak zostaje u nas. Niewykluczone, że ten Quincy ma z tym wszystkim coś wspólnego.

To ostatnie zdanie zakłuło Jane niczym sztylet. Odganiała od siebie tą myśl, jednak słowa komisarza rozbrzmiewały w jej głowie głośnym echem.

– Proszę – powiedziała – znajdźcie tego człowieka szybko.

– Postaramy się uczynić, co w naszej mocy. Tymczasem zajmie się tobą Tony, to dobry chłopak, na pewno się dogadacie. A teraz, jeśli pozwolisz, zajmę się... – skierował wzrok na kopertę – ... a potem porozmawiam sobie z tymi dwoma – wskazał na policjantów cały czas przebywających w gabinecie, którzy przysłuchiwali się całej sprawie. – Spotkamy się jutro, powiedzmy o godzinie siedemnastej trzydzieści. Być może będę miał ci więcej do powiedzenia, niewykluczone, że będą to dobre wieści.

– Liczę na to – powiedziała Jane, dodając do tego ufne spojrzenie swoich zielonych oczu.

– W takim razie do zobaczenia, Jane. Zobaczymy się jutro, postaraj się odpocząć.

– Do zobaczenia. Będę na pana czekać.

Jane wstała od biurka i udała się w stronę wyjścia. Michael wstał także ze swojego krzesła i poszedł za nią.

Kiedy znaleźli się w głównej sali, O'Reary krzyknął tylko:

– Tony! – i wskazał palcem na dziewczynę. Chwilę później młody policjant stał przy nich. – Zajmij się Jane, proszę. Tu masz adres dobrego hotelu. – To mówiąc podał mu jakąś wizytówkę – weź kilku porządnych chłopaków i dopilnujcie wszystkiego. Od tej pory sprawdzajcie wszystko i wszystkich. W razie problemów dzwońcie na komendę, chłopaki mnie powiadomią.

– Się robi szefie. Proszę, odprowadzę panią do auta – powiedział Tony do Jane i już w tym samym momencie O'Reary był spokojny, wiedział, że temu chłopakowi można zaufać. Miał pewność, że wszystko będzie zorganizowane jak należy, zupełnie jakby zajął się wszystkim osobiście.

Obrócił się w stronę gabinetu. Ruszył przed siebie. Zawartość koperty wciąż stanowiła tajemnicę, a czekała go jeszcze rozmowa z tym nieszczęśliwym duetem, Frankiem i Joe. Wszedł do kancelarii. Policjanci wyprostowali się niemal na baczność, prężąc się przed Michaelem.

– Siadajcie, za chwilę porozmawiamy.

Zasiadł w fotelu i pociągnął łyk gorącej kawy. Sięgnął po kopertę. Już miał wyjąć ze środka znajdującą się w niej kartkę, gdy coś go ruszyło. Przyjrzał się kopercie jeszcze raz. Obejrzał ją z wszystkich stron, po czym powrócił do strony na której widniał wyłącznie jeden wyraz – 'JANE'. Uderzyło go, że na kopercie nie znajdował się żaden adres, znaczek, ani stempel

pocztowy, a więc w teorii taki list nie powinien w ogóle dotrzeć do adresata. Jeszcze nie spotkał się z przypadkiem, żeby przesyłka podpisana wyłącznie imieniem dotarła bez problemu do miejsca swojego przeznaczenia. Coś tu nie grało i to bardzo...

– Powiedzcie mi, kto przyniósł ten list?

Dwaj rośli policjanci spojrzeli po sobie z tępym wyrazem twarzy.

Odezwał się Frank.

– Jak to: kto? Normalnie, listonosz.

– Hm, listonosz, powiadasz. A odpowiedzcie mi, czy któryś z was, dostaje jeszcze listy od mamusi? Nie? To przyjrzyjcie się kopercie. Widzieliście, żeby kiedykolwiek listy były adresowane w ten sposób?! – krzyknął ze zdenerwowaniem w stronę osłupiałych podwładnych. Ci, nie bardzo zorientowani o co chodzi, podeszli do biurka i jeszcze raz przyjrżeli się kopercie z mlecznobiałego papieru.

– Faktycznie szefie, nie ma adresu – tym razem Joe zabrał głos.

– Niezwykle trafne spostrzeżenie. I jaką to nasuwa wam myśl?

– Nie wiem. Jaką?

– Cholera, z kim ja muszę pracować... Idioci! Albo nadawca listu dokładnie poinstruował listonosza, dokąd ma zanieść przesyłkę, albo... – O'Reary'ego naszła w tym momencie inna myśl – ... albo ktoś sam pofatygował się, żeby go przynieść. Spójrzcie na to zdjęcie – pogrzebał w

swojej wszystkozawierającej szufladzie i wydobył z niej teczkę, którą swego czasu dał mu znajomy, Adams – poznajecie tego człowieka? – zapytał, kładąc przed nimi fotografię Strieloka, vel Jumaina.

– Znaczy się, zasadniczo... – powiedział Frank, drapiąc się po głowie – ... gdyby jeszcze miał wąsy, to chyba będzie ten listonosz, cośmy od niego ten list odbierali, co nie Joe?

– Zasadniczo tak.

– Zasadniczo to należy wam się solidny opierdol. Czy wy macie pojęcie, kto to jest? Puściliście gościa, którego szukamy! Byle frajer może sobie przyjść pod pokój i wręczyć wam taki list, a wam ciężko jest powiązać odpowiednie fakty, bo macie za daleko do łba! Jasna cholera! Jesteście pewni, że to ten? – jeszcze raz uniósł w dłoni fotografię.

– Tak, szefie. To będzie on. Niech się szef nie złości, skąd mogliśmy wiedzieć, że to akurat ten...

– Cholera. Cholera! Jeszcze z wami nie skończyłem, ale nie czas teraz na to. Wypad z gabinetu i niech Andrew przydzielili wam jakąś robotę. Tylko wiecie co? Poproście o coś prostego, żebyście znowu tego nie spartaczyli! A teraz jazda stąd!

Podkulając ogony dwaj funkcjonariusze posłusznie opuścili gabinet Michaela. Został sam. Nerwowo zaczął wyciągać kolejnego papierosa z paczki. Oddychał ze zdenerwowaniem. W głowie kotłowało mu się od rozmaitych myśli. Nie mógł uwierzyć, że tych dwoje nie

odnalazło się w sytuacji i zaprzepaścili szansę schwywania Strieloka.

Po drugie: niemożliwe stało się możliwym. Oto Strielok, a.k.a. Jumain wędrował sobie wśród żywych i na dodatek bawił się w doręczyciela listów. Teraz już nie było wątpliwości, o ile Frank i Joe nie grzeszyli inteligencją, to jednak z dużą pewnością rozpoznali mężczyznę ze zdjęcia, a tym był nie kto inny, jak stracony przed dekadą Strielok. Jakkolwiek niedorzeczne się to wydawało, naraz stało się faktem. Żałował teraz tego, co będzie przed nim. Jak wytłumaczy się przed naczelnikiem w raportach. Napisze, że po mieście grasuje nieżywy od dziesięciu lat kryminalista?! Nie to było teraz jednak najważniejsze. Istotne było nie dopuścić więcej do takich sytuacji. Teraz, kiedy już wie, kogo szukać, muszą zrobić to na poważnie. Plakaty ze zdjęciem, informacje w mediach. Chociaż... z tymi mediami to mógł być nietrafiony pomysł. Tylko czekać, aż jakiś nadgorliwy reporterek dokopie się do informacji na temat poszukiwanego człowieka. Wolał nie wyobrazać sobie nagłówków prasowych.

Trzecia sprawa leżała tuż przed nim, na jego biurku. Nadeszła pora, by wziąć byka za rogi i sprawdzić zawartość koperty. Michael delikatnie wyjął arkusz papieru znajdujący się wewnątrz. Rozłożył zagięcia papieru i jego oczom ukazał się tekst pisany w sposób, który rozpoznał od razu. To był ten sam charakter pisma, którym zanotowano pierwszą wiadomość. Wystarczył

jeden rzut oka i miał pewność. Skupił się na czytaniu. List nie był długi, ale przejrzał go kilka razy, dla pewności:

Witaj Jane!

Zapewne nie spodziewałaś się listu ode mnie. O ile Ciebie znam, a znam Cię lepiej, niż może się Tobie wydawać, spodziewałaś się listu od swojego kochasia, Quincy'ego, czy jak mu tam. Niestety, z przykrością muszę Cię powiadomić, że aktualnie przebywa on w celi na komendzie miejskiej, podejrzany o zabicie czterech osób.

Cóż za okropna niesprawiedliwość Jane, nie sądzisz?

Jak można przypisywać takiemu frajerowi dzieła tak wspaniałe, jak te, które nazywają przestępstwami? Nieładnie, nieładnie.

Ale wkrótce zrozumieją, o co tak naprawdę toczy się gra. Z przykrością stwierdzam, że wtedy będzie już za późno.

Jednocześnie zapewniam Cię, że będziesz miała spektakularny udział w nadchodzących wydarzeniach.

Już niedługo Jane, spotkamy się osobiście.

Radziłbym pożegnać się z bliskimi, ze swoim kochasiem i ze światem.

Już niedługo wszystko się dla Ciebie skończy.

I dla innych także. Ale ten koniec będzie jednocześnie początkiem czegoś wspaniałego.

Do zobaczenia wkrótce.

Byłbym zapomniał się podpisać:

Ragan Jumain, choć jestem pewien, że moje imię jest

zagadką dla Ciebie.

P.S. Przekaż moje serdeczne pozdrowienia komisarzowi O'Reary'emu, kiedy już pobeigniesz do niego z płaczem i zaśmiej mu się ode mnie w twarz. Ha, ha, haha!

O'Reary odłożył kartkę papieru na blat biurka.

– Skurwysyn – wycedził przez zaciśnięte z nerwów usta.

Naturalnym posunięciem byłoby teraz uwolnić chłopaka, którego trzymali w celi. Ale nie tak szybko. Zanim uwierzy, że to nieboszczyk pisze mu listy z zaświatów, musi jeszcze porozmawiać z tym całym Quincym.

Nie chcąc z tym zwlekać wziął list, wyszedł z gabinetu i udał się do bloku więziennego.

Zastał chłopaka siedzącego na swojej pryczy i wpatrującego się w kraty, stanowiące granicę między nim, a światem zewnętrznym. Zupełnie, jakby go oczekiwał. Gdy ujrzał O'Reary'ego stojącego na wprost jego celi, bez słowa wstał i podszedł do krat. Trwali tak dłuższą chwilę w milczeniu, aż wreszcie Michael odezwał się.

– Tak cię to bawi cwaniaczku? Lubisz podszywać się pod nieboszczyków, aaa?!

Quincy zupełnie zdębiał słysząc te słowa. Nie miał najmniejszego pojęcia, co to wszystko oznacza. Zdawał sobie jednak świetnie sprawę z tego, że emocje na nic się tu nie przydadzą. Starał się zachować jak największy spokój, opanować drżenie rąk, ograniczyć wszelkie oznaki

tego, że aż pali się, aby zasypać komisarza lawiną pytań.

Powoli Quincy, spokojnie.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym pan mówi – powiedział ze stoickim spokojem.

– Nie masz pojęcia, tak? No to czytaj – O'Reary wiedział, że dużo ryzykuje, podając więźniowi najważniejszy obecnie dowód rzeczowy w sprawie. Musiał jednak podjąć to ryzyko.

Quincy'emu dłuższą chwilę zajęło czytanie zapisanej kartki papieru. Im bliżej był końca, tym mniej pozostawało w nim spokoju. Już nie był opanowany, był zdenerwowany i przerażony.

– Wie pan dobrze, że to nie ja! – krzyknął Michaelowi w twarz – Niby jak i kiedy miałem to napisać? Dobrze pan wie, że cały czas siedziałem tutaj, nie miałbym możliwości, żeby to wysłać! Niech mnie pan wypuści, nic na mnie nie macie, wypuście mnie! – Quincy zdenerwował się tak bardzo, że chwycił oburącz za kraty i zaczął nimi szarpać. List wypadł mu z dłoni na podłogę.

O'Reary przyznał w duchu, że argumenty tego chłopaka są słuszne. Zanim umieszczono go w celi, został dokładnie zrewidowany. Przebywając w areszcie nie miał dostępu do żadnych przyborów pisarskich, a już tym bardziej nie miał możliwości, żeby nadać list.

– Uspokój się! Podaj mi list. Nie patrz się, tylko podaj mi list, jeśli chcesz jej pomóc! – władcym głosem powiedział policjant.

Quincy posłusznie wypełnił to polecenie.

– Czy to nazwisko mówi Ci coś? Znasz kogoś, kto nazywa się Ragan Jumain?

– Pierwsze słyszę.

– Zastanów się dobrze, to bardzo ważne. R-a-g-a-n J-u-m-a-i-n – przeliterował dla pewności O'Reary – A może Andriej Strielok?

– Nic mi to nie mówi. Obawiam się, że nie mogę pomóc.

– To się jeszcze okaże. Zobaczymy, czy mówisz prawdę. Jeżeli kłamiesz, a naprawdę zależy Ci na tej dziewczynie, będziesz odpowiedzialny za to, co może się stać.

'Co może się stać' uderzyło Quincy'ego prosto w serce. Czytał list, wyobrażał sobie najgorsze.

Jak długo jeszcze będzie musiał tkwić w tej celi? Czy na nic zdają się jego tłumaczenia, kiedy mówi, że jest niewinny? Dowody stoją twardo po jego stronie. A raczej brak dowodów.

– Pan będzie tak samo odpowiedzialny, jak ja. Oboje wiemy, że nie powinno mnie tutaj być. Wie pan, że jestem niewinny. Powinienem być przy niej, przy Jane. Muszę ją chronić.

– Taki z ciebie chojrak? I co byś zrobił, gdyby do czegoś doszło? Zastanawiałeś się kiedyś nad tym? Spójrz na siebie. Nie jesteś nieśmiertelny. Jaki pożytek z takiego chuchra, jak ty? Jesteś taki sam jak wszyscy inni. Jak ja, jak każdy człowiek. Wystarczy pocisk z pistoletu,

pchnięcie nożem, cokolwiek. I w mgnieniu oka matka ziemia będzie dźwigać jedną duszyczkę mniej.

Taka jest właśnie śmierć. Kilka sekund i po sprawie i już cię nie ma. I już jej nie pomożesz.

– Mogę nawet zginąć w jej obronie, nie interesuje mnie to. Gdyby coś jej się stało, moje życie i tak nie miało by większego sensu. Cóż więc za różnica? Wypuście mnie.

– Cholera, romantyk mi się trafił. Wiesz dobrze, że nie mogę cię wypuścić, jeszcze nie teraz. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka dni wyjdiesz na wolność. A tymczasem siedź cicho. Pogadamy jeszcze kiedy indziej.

To powiedziawszy O'Reary udał się w stronę korytarza prowadzącego do głównej sali.

– Halo! Niech pan zaczeka!

– O co chodzi? Tylko szybko, nie mam dla Ciebie całego dnia.

– Czy ona... kiedykolwiek pytała o mnie?

Michael zmarszczył czoło, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Pytała, czy cię wypuścimy. Ale niestety nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekiwała, nie jestem jasnowidzem. A teraz już naprawdę muszę iść.

Quincy jasnowidzem także nie był, ale jego umysł i serce zaczęło karmić się nadzieją. Chciał myśleć, że Jane za nim tęskniła i nie dopuszczał do siebie innego scenariusza.

Oszaleje w zamknięciu, nie wytrzyma tu dłużej. Musi

być przy niej, choćby nie wiadomo co.

Postanowił sobie, że tej nocy obmyśli plan ucieczki. Wydostanie się stąd i jakoś to będzie.

* * *

Jane właśnie wyszła spod prysznic. Dzień był długi i męczący, a gorąca woda zmyła z niej wszystkie smutki, troski i niepokoje na jakiś czas. Miała wszystkiego dosyć – to, co działo się wokół niej, znacznie przekraczało jej siły.

Ułożyła się wygodnie na ogromnym łóżku w hotelowym pokoju. Atłasowa pościel otuliła jej ciało i poczuła się ciepło i bezpiecznie. Jej organizm potrzebował tego, był wycieńczony ciągłym życiem w stresie i pod napięciem. Myślami próbowała wybiec w czasy, kiedy jeszcze wszystko było w porządku; usilnie starała się wyobrazić sobie coś przyjemnego, co pozwoliłoby jej zasnąć.

Jeżeli można coś powiedzieć o wspomnieniach to chyba to, że warto kolekcjonować te mocne i dobre wrażenia. Przydają się w trudnych momentach w życiu. Kiedykolwiek masz problemy, wracasz myślami do tych chwil, na sercu robi się ciepło i przytulnie i zapominasz o całym bożym świecie. Istniejesz tylko ty, wspomnienie, do którego wracasz i emocje między twoją osobą a tamtym czasem i wydarzeniami. Najlepszy lek antydepresyjny w bezpostaciowej formie. Bo chyba każdy

ma do czego wracać myślami?

Jane próbowała odszukać w głowie taką myśl.

Wróciła wspomnieniami, do czasów dzieciństwa. Przypomniała sobie sytuację z czasów młodości. Ojciec Jane był marynarzem, niestety śmierć zabrała go jej przedwcześnie, kiedy miała piętnaście lat. Z racji swojej profesji, całymi miesiącami nie było go w domu. Jane każdego wieczoru wypatrywała go z okien kamienicy, w której mieszkali. Złożyło się tak, że okno jej pokoju wybiegało akurat na tą ulicę, którą jej ojciec zwykł wracać z dalekich podróży. Kiedy tak go wypatrywała, nie czekała na prezenty czy podarki, jak inne dzieci. Oczekiwała ojca dla samej jego obecności, żeby zasmakować przyjemności przebywania z tym wspaniałym człowiekiem. Nieraz obserwuje się dzieci, które potrafią uśmiechać się w niesamowity sposób w określonej sytuacji. Tak było i z małą Jane. Ilekroć udało jej się doczekać chwili powrotu ojca, cieszyła się jak oszalała. Zbiegała wtedy na dół po schodach i krzyczała, ile sił w gardle, alarmując mamę i jednocześnie pół kamienicy. Uwielbiała te wieczory. Ojciec poświęcał czas tylko dla niej, dopóki nie zasnęła. Kładł się przy niej na łóżku i czytał bajki, lub też opowiadał historie ze swoich podróży – gdzie był, co widział i czego doświadczył. Jednak Jane najbardziej zapadło w pamięć, kiedy śpiewał jej smutną, ale piękną piosenkę. Wtulała się wtedy w jego silne ramiona i wsłuchiwała się w cicho wyśpiewywane słowa:

Jeśli umrę na morzu, moja miła,
może któregoś wieczoru
przyleci do twojej chatki
śnieżnobiała gołębica.

Wtedy pośpiesz do okna,
bo to moja dusza
chce chwilę odpocząć
w drogich objęciach.

Ojciec śpiewał tę zwrotkę kilkakrotnie, aż do momentu, kiedy nie zasnęła. Słuchała tych słów i gdy wreszcie przychodził do niej sen, leżała w ramionach ojca, a w uszach cichutko brzmiały jej słowa: moja dusza chce chwilę odpocząć w drogich objęciach...

Podobnie i teraz próbowała odtworzyć w umyśle tą scenę. W głowie dalekim echem zamajaczyły jej melodyjnie słowa. Wtuliła się mocniej w aksamitną, miękką pościel i zasnęła porządym snem.

Dla komisarza O'Reary'ego dzień zaczął się wyjątkowo wcześnie. Zaczął go od mocnej kawy i solidnego śniadania, bowiem spodziewał się, że obowiązki wypełnią mu czas aż do późnych godzin wieczornych. Jedząc śniadanie w głowie układał prowizoryczny plan dnia. Jednocześnie naszła go pewna refleksja. Pomyślał o tym, jak bardzo poświęca się pracy.

Kiedy ostatni raz wziął wolny dzień?

Nie pamiętał – nie był w stanie sobie przypomnieć.

Na moment zrobiło mu się żal samego siebie. Tak bardzo popadł w codzienną rutynę, że zupełnie nie miał

czasu dla siebie, o rodzinie i znajomych nie wspominając. Próbował zastanowić się, na czym upłynęło dwadzieścia lat z okładem. Czego dokonał jako człowiek, abstrahując już od kariery policyjnej. Kiedy był czas na miłość, na rozwijanie własnych zainteresowań? Nie było go wcale.

Onegdaj lubił grać w snookera. Był w tym niezły. Teraz duży kłopot sprawiało mu wymienienie choćby podstawowych reguł. Zrezygnował też z siłowni, co znacznie odbiło się na jego kondycji. Wciąż był krzepkim, silnym mężczyzną, jednak nie mógł dorównać sobie jeszcze sprzed czterech- pięciu lat.

'Kiedy to wszystko się skończy, wrócę do swoich dawnych zainteresowań' – pomyślał.

Bzdura. Zawsze to sobie obiecywał i za każdym razem pojawiała się coś, co odwodziło go od realizacji tych zamierzeń. Czas natomiast biegł nieubłaganie. Po nieudanym małżeństwie długo nie mógł dojść do siebie. Trochę pił. Jednak w jakiś czas po tym, powinien znaleźć sobie drugą kobietę. To byłby naturalny krok dla każdego mężczyzny. On jednak nie myślał o tym. Teraz, z perspektywy czasu, okropnie żałował. Chyba tego brakowało mu najbardziej. Wśród tych wszystkich chłodnych i deszczowych dni, wieczorów przesiedzianych w gabinecie na komendzie, godzin, które spędził na Bóg wie czym, potrzebował zwykłego, domowego ciepła – osoby, której mógłby zadać zwyczajne pytania, porozmawiać o czymś błahym i nieznaczącym, spędzić miły wieczór tylko we dwoje. W ciągu swojej kariery

zawodowej widział tyłu przegranych życiowo ludzi, a teraz sam stawał się jednym z nich.

Cóż z tego, że miał pieniądze, duży dom, samochód, być może nawet w niedalekiej przyszłości czekał go awans? W imię czego to wszystko? I dla kogo?

Siedząc tak i rozmyślając czuł, że życie przecieka mu przez palce.

– Biedny, stary Michael – powiedział sam do siebie – dzień dopiero zaczął się, a on siedzi i użala się nad sobą. Jakże to typowe dla mężczyzn w twoim wieku. Michael. Co mówiłeś? Ach, tak jak sądziłem, musisz iść do pracy, tak? Ależ oczywiście, idź. I tak nikt tu na ciebie nie czeka. To tylko duży, pusty dom. Przestronna i także pusta sypialnia. Długie i samotne życie... Wystarczy już tego, Michael, dobrze ci radzę, znamy się nie od dziś, skończ biadolić i weź się wreszcie za robotę. Tylko to ci jeszcze w miarę wychodzi.

Dopił ostatni łyk kawy. Wyjrzał przez okno, aby upewnić się, jaka jest pogoda, narzucił na siebie swój przetarty płaszcz i udał się w stronę auta.

Tak jak sobie zaplanował, pierwszą rzeczą, którą powinien zrobić, będzie udanie się do lekarza zajmującego się przypadkiem Jumaina dziesięć lat temu. Szpital psychiatryczny znajdował się na obrzeżach miasta. O tej porze wszyscy zjeżdżali w stronę centrum, więc gdy tylko wyjedzie poza główne ulice miasta, będzie dobrze. Miał tylko nadzieję, że zastanie odpowiednią osobę na miejscu. Właściwie powinien zatelefonować do ośrodka i

umówić się na spotkanie, pomyślał jednak, że kiedy zjawi się tam znienacka, doktor, albo jego sekretareczka, nie będą mogli się wykpić byle wymówką i odprawić go z kwitkiem, tak jak mogliby zrobić to przez telefon. Kiedy już będzie na miejscu, będą musieli z nim porozmawiać, a to dostarczy mu nowych informacji. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Informacje, informacje i jeszcze raz informacje. Konkrety, fakty, rzeczowe dane. Tego teraz najbardziej potrzebował. W gąszczu półprawd i niedomówień, niejasnych sytuacji, fakty były dla niego zbawieniem.

Ruszył. Jego celem były przedmieścia. Jadąc mijał wiele aut, a w nich ludzi spieszących się do pracy. Kiedy już wjechał w jakąś boczną ulicę ruch znacznie się przerzedził, więc mógł się nieco odprężyć. Nastawił radio na częstotliwość swojej ulubionej stacji. Kilkanaście minut później był u celu. Zatrzymał auto pod potężnym, podłużnym budynkiem. Wszedł do środka i udał się do recepcji. Spojrzał na zegar wiszący w hallu. Ósma piętnaście rano.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. Słucham? Mogę czymś służyć? – zapytała sekretarka.

– Witam, nazywam się Michael O'Reary – okazał kobiecie swoją służbową legitymację. Uwielbiał ten moment, w którym wyraz twarzy osób, z którymi rozmawiał zmieniał się jakoś dziwnie. Niektórzy bardzo interesująco reagowali na widok policyjnej odznaki. –

Proszę wybaczyć mi pośpiech i bezpośredniość, ale muszę zobaczyć się z doktorem Robertem Bradleyem i to jak najszybciej.

– Czy... czy coś nie tak z doktorem Bradleyem? – zapytała wyraźnie zaniepokojona kobieta.

Michael roześmiał się.

– Nie, źle mnie pani zrozumiała, szukam doktora Bradleya, ale bardziej chodzi mi o jego wiedzę lekarską niż to, że coś przeszkrobał. Proszę się nie martwić. Zatem? Gdzie go mogę znaleźć?

– Przyznam się szczerze, że trochę nas pan zaskoczył. Gdyby tylko poinformował pan nas wcześniej, na przykład telefonicznie, jestem pewna, że...

'Znaleźlibyście jakąś wymówkę' – dokończył w myślach O'Reary.

– ... że nietrudno byłoby zorganizować spotkanie o tej porze. Niestety będzie musiał pan chwilę poczekać. Doktor zaczyna pracę dokładnie za kwadrans. To wzór jeżeli chodzi o punktualność, jestem pewna, że za piętnaście minut będziecie już rozmawiać. A tymczasem zaprowadzę pana do jego gabinetu, tam może pan na niego zaczekać.

– Wspaniale.

– W takim razie proszę za mną.

Policjant podążył za kobietą w stronę windy. Gabinet Bradleya znajdował się na trzecim piętrze. Po wyjściu z windy udali się długim korytarzem, na końcu których znajdowały się śnieżnobiałe drzwi z tabliczką, na której

srebrnymi literami odcinał się napis:

Prof. Robert Bradley

Dyrektor.

Szycha, pomyślał O'Reary. Psychiatrizy i psychologowie zawsze są skorzy porozmawiać o naszych problemach. Zobaczymy, czy równie chętny będzie profesor, gdy w grę wchodzi problemy osób trzecich. Recepcjonistka otworzyła drzwi i gestem ręki zaprosiła Michaela do wnętrza gabinetu. Gdy wszedł do środka, jego oczom ukazało się pomieszczenie urządzone w bardzo surowy i minimalistyczny sposób. Wewnątrz znajdowały się wyłącznie niezbędne rzeczy.

Solidne biurko, aby pomieścić wszelkie potrzebne dokumenty i zorganizować bieżące sprawy.

Wygodny fotel – elegancki, skórzany, błyszczący, z rzeźbionymi podparciami pod ramiona. Wszystko po to, aby móc wygodnie pracować długimi godzinami i komfortowo przyjmować interesantów, takich jak on.

Kilka szaf z szufladami. Podobne było one do tych, które używane były na komendzie do gromadzenia akt. Jeden rzut oka wystarczył, aby zrozumieć przeznaczenie każdej z nich. Różne plakietki ilustrowały porządek organizacji dokumentów wewnątrz regałów, odpowiednio: alfabetycznie, według przypadłości i rocznikami.

Wreszcie, pod jedną ze ścian kilka krzeseł, na ścianie oprawiony w czarną ramkę dyplom ukończenia Uniwersytetu Taranckiego² w roku 1959, kilka obrazów

równie abstrakcyjnych, co intrygujących. Poza tym, O'Reary'emu w oczy rzuciło się zdjęcie, jak się domyślał, profesora Bradleya i jego rodziny.

Wystarczyło pozbierać fakty do kupy, aby otrzymać pobieżną charakterystykę doktora.

Był to lekarz z czterdziestoletnim stażem, ceniący sobie sztukę abstrakcyjną, jak i wartości rodzinne, co można wnosić po zdjęciu ustawionym na biurku. Osobę tą cechowała zbytńia skłonność do organizacji wszystkiego – te wszystkie plakietki i oznaczenia na szafkach z dokumentacją zdradzały, że ponad wszystko Bradley cenił sobie pedantyczny porządek i przewidywalność – być może, a nawet z dużą pewnością stanowiło to kompensację burzliwego i niepoukładanego życia prywatnego. Poza tym, był to dżentelmen lubiący eleganckie, ale funkcjonalne meble, traktujący osoby przychodzące do niego z dużym dystansem, co chyba można uznać za cechę szczególną wszystkich psychiatrów. Na tym Michael zakończył wstępną psychoanalizę osoby, z którą miał rozmawiać dokładnie za jedenaście minut.

'Też mi coś' – pomyślał – 'Gdybym w młodości zdecydował się na karierę lekarza psychiatry, też miałbym teraz taki fotel'.

– Halo? – z transu wyrwały go słowa sekretarki i lekkie szturchnięcie w ramię. – Pytałam, czy poradzi sobie pan sam? Ja muszę wracać już na dół, profesor byłby bardzo niezadowolony widząc, że pozostawiłam recepcję

bez opieki. Proszę się rozgościć, za jakiś czas zjawi się dyrektor i będziecie panowie mogli sobie porozmawiać po dżentelmeńsku. Aha i proszę niczego nie ruszać.

– Absolutnie nie miałem takiego zamiaru. Usiądę sobie po prostu na jednym z tych wygodnych krzeseł i cierpliwie poczekam na profesora. Proszę spokojnie wracać do swoich obowiązków.

– Dobrze. Do zobaczenia.

O'Reary zdobył się na jak najszczerzy uśmiech i odpowiedział tym samym. Drzwi zamknęły się. Tylko na to czekał.

– Tylko proszę niczego nie ruszać! Pfff, zaraz zobaczymy, co stary Bradley chowa po szafkach.

Szczerze powiedziawszy nie było to zbyt etyczne, zaglądać do dokumentacji medycznej pacjentów pod nieobecność dyrektora, a już zwłaszcza w jego gabinecie i tym bardziej pomimo wyraźnej prośby ze strony recepcjonistki. Ale kto u licha powiedział, że praca gliniarza jest etyczna?

W swojej karierze nieraz spotkał się z dziwną przypadłością zatajania istotnych faktów przez osoby, u których ich poszukiwał. A zwłaszcza u lekarzy, którzy na każdym kroku i przy każdej sposobności zasłaniaли się tajemnicą lekarską. Nie miał więc nic przeciwko temu, żeby pomyszkować pod nieobecność starego kocura. A nuż znajdzie coś interesującego.

Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Czas niestety nie był jego sprzymierzeńcem. Poza tym wszelkie

okoliczności były wprost wymarzone.

Przysłowie mówi, że okazja czyni złodzieja.

Czy to była kradzież? Być może, ale musiał sprawdzić. Najtrudniejsze okazało się wybranie odpowiedniej szafki. Podział dokumentów ze względu na diagnozę odpadał, obce były mu wszystkie te dziwne nazwy powypisywane na maleńkich karteczkach. Uznał, że najszybciej odnajdzie to, czego szuka, zaglądając do szuflady z etykietką: '1987/88'. Wysunął głęboką na półtora łokcia szufladę. Wewnątrz pełno było teczek i skoroszytów poznaczonych fiszkami i zakładkami.

Wiedział, że ma mało czasu.

Pospiesznie zaczął przeglądać dokumenty z roku '88. Przerzucał między palcami kolejne stronice dokumentów, aż wreszcie natrafił na niezwykle cenne znalezisko. Strona zadrukowana była pismem maszynowym, u góry arkusza znajdowała się data, pod nią pieczęć szpitala, w którym się teraz znajdował. Wreszcie, kilka linijek poniżej zauważył nazwisko Strieloka i kilka magicznie zatytułowanych akapitów, takich jak: 'Diagnoza', 'Analiza zachowań', czy 'Uwagi specjalne'. Dalsza inspekcja zawartości szuflady wykazała, że dokument ten zarchiwizowany został w kilku egzemplarzach. Na pewno nikt nie zauważy, jeśli pożyczycy sobie jeden...

Wyciągnął go ze zbioru papierzysk i w tym samym momencie, kiedy chował go za pazuchą płaszcza usłyszał odbijające się echem w długim korytarzu czyjeś kroki i dziwne stukanie. Szybki rzut oka a wskazówki zegara

wystarczył, żeby upewnić się, że to Bradley stawiał się jak zwykle, niech go cholera weźmie, punktualnie do pracy.

O'Reary upewnił się, że dokument bezpiecznie spoczywa w wewnętrznej kieszeni, zasunął szufladę z dokumentami i z miną niewinnego dziecka zasiadł na krześle przy biurku, jednocześnie udając niesamowite zainteresowanie bohomasami, które znajdowały się na ścianach. Okropny gust.

Z drugiej strony drzwi ktoś nacisnął na klamkę. Otworzył się one szeroko i w tej samej chwili O'Reary zerwał się na równe nogi, żeby przywitać właściciela tego gabinetu. Z wyciągniętą ręką pospieszył w stronę profesora Bradleya.

Okazał się on starym, pomarszczonym mężczyzną. Skóra jego twarzy usiana była ciemnymi punktami i znamionami, co wyglądało dość osobliwie. Nos miał garbaty i zadarty ku górze, usta skrzywione w dziwnym grymasie. Jedynie oczy odróżniały się od reszty. Było to żywe, badawcze, wciąż pełne wigoru spojrzenie. Michael zauważył, że staruszek poruszał się o lasce, zapewne to ona była źródłem stukania, które usłyszał zza drzwi.

– Dzień dobry, moje nazwisko O'Reary – przedstawił się.

– Profesor Bradley – z niebywałą dumą staruszek zaakcentował swój stopień naukowy – Bardzo mi miło. Proszę siadać. W czym mogę panu pomóc.

– Taaak – policjant mignął staruszkowi służbową odznaką, jednak nie zauważył, żeby zrobiło to na nim

jakiegokolwiek wrażenie. – Reprezentuję kaladońską policję, dokładniej mówiąc wydział kryminalny. Wierzę, że może być pan w posiadaniu informacji, które mogą wspomóc nasze działania w zakresie obecnie prowadzonego śledztwa – postanowił zdobyć się na zabiegi krasomówcze, żeby staruszek szybciej mu zaufał i zaczął udzielać potrzebnych informacji.

– Och, doprawdy? Jeżeli tylko mogę pomóc, niech tak będzie. Porozmawiajmy zatem o pana problemach.

'Zaczyna się' – pomyślał O' Reary.

– Chodzi o człowieka, który jakiś czas temu był pańskim pacjentem. Miałem nadzieję, że mógłby mi pan opowiedzieć coś na jego temat, podzielić się wynikami obserwacji, które przeprowadzone były w pańskiej placówce. Myślę, że bardzo pomogłoby to nam w określeniu profilu psychologicznego osoby, której szukamy.

– Proszę, proszę się otworzyć, niech pan opowie, co to za sprawa, zaintrygował mnie pan.

– Niestety, nie mogę zdradzić zbyt wiele szczegółów na temat śledztwa...

– Proszę pana – przerwał mu staruszek – mnie pan może zaufać, jestem przecież pańskim przyjacielem...

Michael odetchnął głęboko, aby nie dać się wyprowadzić z równowagi.

– Zapewne śledzi pan na bieżąco wydarzenia w mieście. Niewątpliwie zatem czytuje pan lokalną prasę. Domyślam się więc, że nie raz rzuciły się panu w oczy

nagłówki dotyczące serii zabójstw w naszym mieście. To właśnie informacji na temat domniemanego sprawcy szukam u pana.

– Proszę kontynuować, zaciekał mnie pan. Więc powiada pan, że to może być jeden z naszych ostatnich pacjentów?

– Właściwieeee... sęk w tym, że to nie było tak 'ostatnio', jak pan myśli, profesorze. W toku postępowania natrafiliśmy na ślady prowadzące do osoby, która przebywała tutaj kilka lat temu. Dokładniej... w 1988 roku.

– Fiu, fiu, to kawał czasu. Zasmucił mnie pan, zdaje pan sobie z tego sprawę? Wychodzi bowiem na to, że terapia, którą zastosowaliśmy wobec tego przypadku, okazała się nieskuteczna. A niech mnie... Jak brzmi nazwisko tej osoby?

– W zasadzie, to nie jestem do końca pewien. Pierwotnie nazywał się Andriej Strielok, jednak w późniejszym okresie swojego życia zmienił nazwisko na dosyć dziwnie brzmiące: Ragan Jumain.

– Co pan powie... Strielok, Strielok. Coś mówi mi to nazwisko. Niech no zajrzę do archiwum – to mówiąc staruszek wstał i wsparł się drżącą ręką na lasce. Udał się w stronę regałów. Ku olbrzymiej uldze O'Reary'ego, sięgnął nie do tej, oznaczonej rocznikami, lecz do alfabetycznego wykazu pacjentów. Dłuższą chwilę zajęło mu wertowanie dziesiątek stronic, aż wreszcie wydobył to, czego szukał. Ponownie rozsiadł się w wygodnym

fotelu, położył przed sobą arkusz papieru i założył na nos potężne, grube okulary.

– Spójrzmy tylko... – staruszek wczytywał się w treść dokumentu dobrych kilka minut. – Tak, tak. Hmmm, ciekawe... – mówił co jakiś czas pod nosem.

Wreszcie zakończył lekturę, zdjął okulary i zwrócił się do policjanta.

– Pan wybaczy, stary człowiek, taki jak ja, musi sobie odświeżyć pamięć. To był bardzo ciekawy przypadek, ten mężczyzna, którego pan szuka.

– Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Cóż... Kiedy do nas przybył na obserwację, był bardzo zamknięty w sobie. Ciężko było do niego dotrzeć. Przypominam sobie teraz, że po raz pierwszy odezwał się do nas po tygodniu swojego pobytu u nas.

O'Reary skrzętnie zaczął notować wszelkie informacje, które podawał mu staruszek. Przeanalizuje je później, a nigdy nie wiadomo, co może być przydatne, a co nie.

– Jeżeli chodzi o mnie, od razu wiedziałem, że jest to szczególny przypadek – kontynuował staruszek.

– Tak?

– Dało się to zauważyć w jego... hmmm... ekstrawaganckim sposobie bycia. Mam na myśli to, jak się zachowywał w stosunku do nas – personelu i innych pacjentów. Mówił, że nie jesteśmy godni, żeby z nim przebywać i że nadejdzie czas, kiedy boleśnie zrozumiemy ten fakt. Nikt z nas początkowo nie miał

pojęcia, o co może chodzić. Jak zapewne pan wie, pacjent został poddany obserwacji z powodu zbrodni, której się dopuścił. Jej celem było stwierdzenie, czy w momencie popełniania czynu, był poczytalny. W wyniku obserwacji doszliśmy do wniosku, że był. Co prawda zauważyliśmy pewne nieprawidłowości i odchylenia w jego zachowaniu. Jedną z nich było to, o czym wspominałem. W umyśle pana Strieloka wykształciło się dziwne przeświadczenie o własnej wyjątkowości. Było to połączone z poczuciem niezwyklej dumy z powodu czynu, którego dokonał – zabicia człowieka. Uznawał, że było to coś wspaniałego, godnego uwagi, coś, co sprawiało, że był w jakiś sposób ponad nami wszystkimi. Chełpił się tym i szczycił.

– To bardzo interesujące, co pan mówi. Proszę mówić dalej.

– Zaobserwowaliśmy również inne ciekawe zjawisko. Z czasem pan Strielok stawał się coraz... dziwniejszy. Zachowywał się inaczej, niż do tej pory, wypowiadał się w inny sposób.

Tłumaczył nam, że to ze względu na przemianę, która się w nim dokonuje. Że to okres przejściowy, a kiedy się zakończy, poznamy jego prawdziwe oblicze. Niestety nigdy nie dowiedzieliśmy się, co to ma oznaczać. Co prawda, mieliśmy pewną hipotezę, która co prawda nie sprawdzała się w stu procentach, ale jednak... Uważaliśmy, że pan Strielok cierpi na szczególny przypadek. Wydawać się mogło, że w tamtym okresie w umyśle tego mężczyzny funkcjonowały dwie różne

świadomości. Niestety nie byliśmy w stanie stwierdzić, która z nich była tą urojoną. Często wypowiadał się zwięźle, enigmatycznie, mówił zagadkami. Ciężko było cokolwiek coś z tego zrozumieć. A on jakby zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Wyjaśniał nam, że w odpowiednim czasie prawda nas oświeci. Niestety nie zabawił u nas długo, z tego, co pamiętam.

W tym okresie występowały liczne problemy w kwestii komunikacji. Jego umysł zaczął wariować. Raz przedstawiał się nam jako Andriej Strielok, raz jako Ragan Jumain. Następnie nawet zmienił nazwisko na to drugie. Coraz ciężiej było nam, żeby do niego dotrzeć. Zaczął opowiadać straszne rzeczy. Mówił, że rozmawia z nami tylko dlatego, że nie jest w stanie dokonać niczego więcej, że jest zbyt słaby, żeby zrobić nam krzywdę. W tym czasie podawaliśmy mu duże dawki leków. Faktycznie, jego organizm był bardzo słaby – miał problemy z samodzielnym poruszaniem się, mało jadł, jeszcze mniej spał. Wyglądał jak strzęp człowieka – był wychudzony, mięśnie w większości zanikły. Pod koniec swojego pobytu u nas jakby się wyłączył, przestał z nami rozmawiać. Tak zostało już do końca obserwacji.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi. Nie można tak z dnia na dzień stać się innym człowiekiem. Tożsamość to nie jest coś pożyczonego, to coś najbardziej osobistego w ludzkiej naturze.

– Zgodzę się z panem w całej rozciągłości pana krótkiego wywodu. Jednakże przypadek Strieloka, jak

mówiłem, był dosyć niezwykły i interesujący.

O'Reary starając się nadążyć za słowami Bradleya, notował pospiesznie. Zanim skończył, w gabinecie dyrektora na kilkanaście sekund zapadła cisza.

– Dobrze. Proszę mi powiedzieć, jak w takim razie potrafili państwo stwierdzić, czy był poczytalny w momencie popełniania zbrodni?

– Zdziwi się pan, kiedy panu powiem. Po prostu zapytaliśmy go o to. Często najprostsze metody okazują się najskuteczniejsze. Nie mieliśmy powodu, żeby mu nie wierzyć – potrafił z pamięci odtworzyć przebieg zdarzenia, wdawał się w szczegółowe opisy, wskazał miejsce i sposób dokonania zbrodni z najdrobniejszymi detalami. Pamiętał wszystko dokładnie, mówił, że zrobił to, bo tego chciał, i że jest świadom swojego czynu. Mówił, że to go zmieniło i od tego momentu narodził się na nowo. Co prawda jego późniejsze zachowanie wskazywało na pewne zaburzenia w sferze osobowości, jednak w momencie popełnienia czynu jego umysł był trzeźwy, wiedział, co robi. Nie mogliśmy wydać wtedy innej opinii.

– A czy wspominał coś o człowieku, którego zabił?

– Niewiele. W zasadzie cały czas powtarzał jedno: że musiał go zabić, ponieważ ten człowiek posiadał coś, co należało do niego i musiał odebrać to siłą.

– Czy ustalono, co to było?

– Nie uwierzy mi pan, ale dopóki chętny był z nami rozmawiać, odpowiadał na wszelkie pytania bez

większego sprzeciwu. Jeżeli dobrze sobie przypominam, chodziło o jakiś wartościowy przedmiot, chyba jakiś fragment biżuterii. Ale nie było to zabójstwo na tle rabunkowym. Zdawać się mogło, że ten przedmiot miał jakąś inną, niewypowiedzianą wartość dla Andrieja Strieloka.

– Dobrze, niech pan chwilę poczeka, zanotuję to, co pan powiedział.

Sędziwy staruszek skinął głową i cierpliwie czekał.

– Zadam panu teraz pytanie, które może wydać się cokolwiek dziwne. Czy wie pan, że w wyniku procesu sądowego, na podstawie opinii, którą wydał pański ośrodek, Andrieja Strieloka skazano na karę śmierci, którą następnie wykonano?

Profesor Bradley uśmiechnął się tajemniczo.

– Wie pan, to jest pytanie, które i ja chciałem zadać od samego początku. Odpowiedź brzmi: tak, wiem, wszystko jest tu, w dokumentacji – popukał palcem w arkusz papieru leżący przed nim. – To implikuje kolejne pytanie: dlaczego policja poszukuje człowieka, który nie żyje od ponad dekady?

* * *

Dla Quincy'ego czas spędzony w więzieniu był szczególnie nieznośny od ostatniego wieczoru. Wtedy to właśnie dowiedział się o tym nieszczęsnym liście, który został dostarczony Jane. Przez co ta biedna kobieta

musiała przechodzić, mógł sobie tylko wyobrazać.

Z racji tego, że miał mnóstwo niczym nie zakłóconego czasu, odtwarzał sobie w głowie treści listu, raz za razem. Słowa te wryły mu się mocno w pamięć – bez problemu potrafił je wyrecytować bez zająknięcia, gdyby ktoś go porosił. Zastanawiał się, jak okrutnym człowiekiem musiał być ten, który te słowa napisał. Czy celowo to zrobił? Czy zrobił to tylko dla perfidnej przyjemności wyrządzenia krzywdy Jane? W tej chwili Quincy nienawidził go całym sobą. Gdyby tylko wiedział kto to, gdyby mógł się stąd wydostać...

Zaraz zaraz, a może... Może w treści listu tkwił jakiś klucz? Coś, co byłoby jakąś wskazówką, doprowadziłoby do osoby nadawcy. Powtarzał te słowa raz za razem, doszukując się (być może na siłę) jakiegoś ukrytego przekazu.

– Cholera, skup się Quincy, słyszysz! – powtarzał raz za razem, jak gdyby dzięki temu rozwiązanie miało samo przyjść.

Mijały kolejne minuty. Nic, żadnego pomysłu, żadnego punktu zaczepienia. Gdyby chociaż miał kopertę, kartkę papieru, na której te słowa zostały zapisane, może byłby w stanie znaleźć jakiś ślad. Jeszcze raz odtworzył w głowie słowo za słowem. I ponownie. I znowu. I wtem... Eureka! Naszła go pewna myśl. Był to niezły początek do zrozumienia głębszej całości. Czyżby osoba pisząca list celowo ukryła w nim pewną wiadomość? Czy to możliwe? Czy tylko doszukiwał się czegoś na siłę, byleby

tylko zająć czymś swój umysł i wypełnić upływający czas na poszukiwaniach czegoś, co nie istnieje? Czuł, że odkrył coś ważnego. Teraz już nie powtarzał w myślach całej treści listu, a jedynie wyselekcjonowane jedno zdanie, które według niego zawierał jakąś wskazówkę.

Byłbym zapomniał się podpisać:

Ragan Jumain, choć jestem pewien, że moje imię jest zagadką dla Ciebie.

Uwagę Quincy'ego zwrócił szczególny szyk wyrazów na końcu tego zdania. Dlaczego autor listu nie zapisał tych wyrazów w bardziej logiczny, naturalny sposób: 'moje imię jest dla Ciebie zagadką'?

'Moje imię jest zagadką dla Ciebie'.

'Moje imię jest zagadką'.

'Jest zagadką dla Ciebie'.

Dla kogo? Dla Jane?

Tego jeszcze nie wiedział, ale jak najszybciej musiał porozmawiać z komisarzem O'Rearym.

Błogi spokój na posterunku i wszechobecną ciszę zmaćcił krzyk Quincy'ego:

– Strażnik! Strażnik!

* * *

– ... i właśnie dlatego poszukujemy tego człowieka – skończył obszerne tłumaczenie komisarz O'Reary. Koniec końców musiał zdradzić Bradleyowi więcej szczegółów niż był początkowo skłonny. Staruszek pokiwał znacząco

głową.

– To bardzo ciekawe, co pan mówi. Chętnie zająłbym się tą kobietą, Jane, gdyby tylko potrzebowała specjalistycznej opieki.

– Rozważymy to. Na razie radzimy sobie we własnym zakresie.

– Och, nie wątpię. Jednak im szybciej zapadnie decyzja o terapii, tym lepiej dla niej. Ta sytuacja może pozostawić duży ślad w jej psychice.

– Zapewniam pana, że Jane jest silniejsza, niż może to wynikać z mojego opowiadania.

– Skoro pan tak twierdzi... Czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania?

O'Reary przeanalizował pospiesznie w głowie wszystko to, co usłyszał tego poranka w gabinecie dyrektora. Przypomniawszy sobie o pożyczonym fragmencie dokumentacji, który bezpiecznie spoczywał w wewnętrznej kieszeni płaszcza. Zastanawiał się, czy znajdzie tam jakieś informacje, coś ponad to, co wyjawiał mu staruszek Bradley.

– W zasadzie, to by było na tyle. Gdyby dręczyły mnie jakieś dodatkowe pytania, nie omieszkałbym do pana zadzwonić.

– Może pan dzwonić do mnie, gdyby dręczyło pana cokolwiek. Chętnie poświęcę panu jeszcze więcej czasu. Proszę, oto moja wizytówka, na wypadek, gdyby pan zmienił zdanie.

– Dziękuję. Będziemy w kontakcie. Dziękuję panu

bardzo za poświęcony czas, informacje, których pan udzielił na pewno bardzo mi się przydadzą.

– Ależ proszę. Jeśli tylko mogłem w jakikolwiek sposób pomóc, będę bardzo zadowolony.

– Do widzenia.

– Do widzenia – zawtórował mu staruszek i odprowadził go spojrzeniem do drzwi.

O'Reary wręcz wybiegł z gabinetu profesora. Czym prędzej udał się do windy, zjechał na sam dół, pożegnał się z recepcjonistką i już kilka minut później pędził swoim służbowym autem w stronę centrum miasta.

Następnym punktem w jego dzisiejszym planie dnia miała być wizyta w kostnicy. Miał nadzieję, że i doktor Haighley dorzuci swoje trzy grosze i zaoferuje mu jakieś przydatne informacje. Kiedy tak jechał przed siebie, w radiostacji odezwał się głos Tony'ego.

– Szefie, halo?

– Co tam, Tony?

– Mam dla pana pewną informację.

– No to wal śmiało, o co chodzi?

– Nie spodoba się to panu.

O'Reary zacisnął nerwowo usta, wykrzywiając je nienaturalnie. W głębi ducha podejrzewał, że może chodzić o nową ofiarę Jumaina. To z pewnością przysporzyłoby mu wielu kłopotów. Już w tym momencie musiał gęsto tłumaczyć się przed przełożonymi. Gdyby wydarzyło się coś jeszcze, miał by poważne kłopoty, a kto wie, czy nie zapadłyby jakieś znaczące decyzje.

– No mówże wreszcie! Co się stało?

– Myślę, że lepiej będzie, jak pan przyjedzie i powiem to panu osobiście.

– Żartujesz sobie, Tony? Wiesz przecież, że mam dziś napięty grafik.

– Mimo wszystko nalegam. Czekamy na pana, to naprawdę ważne.

– Cholera... No dobra. Ale lepiej dla ciebie, żeby to było naprawdę istotne.

– Zapewniam pana, że jest. Czekamy. Bez odbioru.

O'Reary zastanawiał się, o co też może chodzić Tony'emu. Gdyby chodziło o kolejną ofiarę, byłby mu powiedział, nie było sensu bawić się w jakieś gierki i tajemnice.

Dodał gazu, przyciskając pedał niemalże do podłogi. Cokolwiek to było, nie chciał zaniechać obowiązków, które wyznaczył sobie na ten dzień, a czas odgrywał w tym wszystkim znaczącą rolę. Wpadnie na chwilę na komisariat, pogada z Tonym, a potem pędem do kostnicy, tak jak to sobie wcześniej zaplanował. Kilka minut później parkował już swoje auto przy komendzie. Energicznie wbiegł po schodach i czym prędzej udał się do głównej sali.

Już z daleka wypatrzył twarz Tony'ego i od razu spostrzegł, że coś jest nie tak. Zauważywszy przełożonego wyłaniającego się z korytarza, pozostali pracownicy jakby ucichli, ich oczy zaś skierowały się na kolegę, jakby w oczekiwaniu na to, co powie. Świeciło się coś poważnego.

– Cześć Tony. No więc, powiesz mi wreszcie, po co mnie tu ściągnąłeś?

– Chodźmy do pana gabinetu, muszę powiedzieć panu coś ważnego.

Wstąpili zatem do gabinetu Michaela.

– No więc? Mów wreszcie, nie mam całego dnia.

– Chodzi o to, że pod pana nieobecność... eeee... dzisiaj rano... w bliżej nieokreślonych okolicznościach... ten chłopak, Quincy...

– Co z nim, coś mu się stało?

– Nie, wszystko z nim w porządku, to znaczy, tak nam się wydaje, o ile... eeee... można tak powiedzieć. Chodzi o to, że dzisiaj rano, w jakiś sposób udało mu się uciec z celi, w której przebywał – Tony zacisnął zęby na dolnej wardze i oczekiwał na reakcję przełożonego.

O'Reary zdziwiony wybałuszył oczy, jakby nie przyjął do wiadomości tego, co właśnie usłyszał.

– Mam nadzieję Tony, że to jakieś cholerne przejęzyczenie...

ROZDZIAŁ IV

"BOGOWIE CHADZAJĄ PO ZIEMI"

– No? Słucham, Tony. Powiedz mi, że to jakieś wielkie nieporozumienie, bo to właśnie chciałbym usłyszeć.

– Niestety, nie mogę powiedzieć nic innego, chłopak uciekł dzisiaj rano, kiedy pan był u tego profesora.

– Jasna cholera! Jak mogliście do tego dopuścić?! Jak w ogóle do tego doszło? – O'Reary grzmiał głosem. – Albo nie, wiesz co? Nie interesuje mnie to. Nie wiem jak, ale macie go znaleźć. Kiedy wrócę porozmawiamy, teraz nie mam na to czasu.

– W zasadzie, to musiałby pan porozmawiać ze Stevenem.

– Ze Stevenem? – zapytał ze zdziwieniem Michael – nie przypominam sobie... To jakiś nowy?

– Nie, szefie, Steven pracuje u nas na kuchni. Musi pan pamiętać. Taki niski, ze śmiesznym wyrazem twarzy.

– Zobaczymy czy będzie mu tak wesoło, kiedy będzie musiał się tłumaczyć. Dawaj go tu do mnie, może i masz rację, żeby załatwić to od razu.

– Ta-jest szefie, zaraz go tu przyślę – powiedział Tony po czym wyszedł z gabinetu.

O'Reary nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

W czasie, gdy on dwoił się i troił, żeby zdobyć jakiegokolwiek informacje dopuszczono, żeby jedna z kluczowych dla śledztwa osób nawiała z celi. Ciekaw był, jakie tłumaczenia przedstawi mu ten cały Steven. W momencie, kiedy zadał sobie to pytanie, rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Proszę!

Drzwi otworzyły się i do gabinetu nieśmiało wkroczył niski, krępy, dosyć pulchny młody mężczyzna. Unikał wzroku Michaela jak tylko mógł.

– Jak się domyślam, Steven?

– Tak, to ja – powiedział zdenerwowany.

– Usiądź Steven, porozmawiamy.

Mężczyzna posłusznie usiadł. Szczerze mówiąc, przypominał teraz małą dziewczynkę, która coś przeskrobała. Zasiadł na samym brzegu krzesła, nogi miał złączone ze sobą i palcami prawej ręki usilnie starał się zrobić dziurę w przepoconej koszulce.

– Więc, Steven – zaczął O'Reary – może opowiedz, co się wydarzyło dzisiaj rano, bo strasznie jestem ciekaw. Czyżbyś gotował aż tak źle, że nasz więzień postanowił uciec z celi?

Ale mężczyźnie wcale nie było do śmiechu. Widać było, że nie może się zebrać i zacząć gadać.

– Nie... To znaczy... Ja... to ja go wypuściłem.

– Co takiego?! – wykrzyknął O'Reary.

– To znaczy, nie dokładnie... Była pora śniadania, więc zapakowałem żarcie na wózek no i jadę do tego, jak

mu tam, Klemensa...

– Quincy'ego – poprawił O'Reary.

– Noooo... no i jadę do niego, zajeżdżam pod celę i paczę i widzę, że leży sobie na pryczy i chyba sobie smacznie drzemie. To żem wziął, zapukałem, co by się obudził, bo żarcie stygnie, a ja musiałem wracać do kuchni.

– I co było dalej?

– Dalej to ja czekałem. I stoję i czekam, aż wstanie, a on nic, nie rusza się. To się pytam gościa, czy mu co nie dolega. Na to on mi odpowiada, że strasznie się czuje, naprawdę okropnie i czy mógłbym mu postawić jedzenie na stoliku, bo on jest w takim fatalnym stanie, że nie może się ruszyć. To ja mu na to, że w porządku.

Poszedłem na dyżurkę, a że akurat chłopaki byli czymś zajęci, to wziąłem sobie klucze. Myślę sobie, że jak mają robotę, to nie będę im przeszkadzał, tylko raz-dwa załatwię sprawę i odłożę klucze na miejsce. Wracam pod celę, paczę, że leży dalej nieborak. Tak mi się go szkoda zrobiło, że wziąłem te klucze, no i otwieram celę. Wjeżdżam tam z wózkiem, żeby postawić mu to żarcie.

– Naprawdę można być takim głupim? Nieważne, mów co było dalej – O'Reary odpuścił, bo widział, że chłopak naprawdę zbiera się do odpowiedzi na to pytanie.

– No dalej to było tak, że jak się okazało, on wcale nie był chory, ani nic z tych rzeczy.

– Och, doprawdy? To zaskakujące. Zupełnie nie do przewidzenia. I?

– I ja podchodzę, stawiam żarełko na stoliku, miałem już wychodzić, no to wyjeżdżam z wózczykiem. A on wtedy jak się nie zerwie z tej pryczy i nie rzuci się na mnie! Pchnął mnie na ten stół, żem aż ręce poparzył od gorącej herbaty, o niech pan zobaczy... No a dalej to uderzył mnie czymś ciężkim w karczycho i z tego co się potem działo, to już tylko pamiętam, że zabrał te klucze i zamknął mnie w tej celi. Później to mnie chłopaki znaleźli, bo zaczęli szukać kluczy. Przychodzą pod cele, paczą, a tam ja zamknięty siedzę. Okazało się, że ten cały Ksawery...

– Quincy, na miłość boską.

– No, to że uciekł tylnym wyjściem, tam koło magazynku. I tyle żeśmy go widzieli. Okazało się, że z niego to niezły cwaniaczek, a wcale nie wyglądał na takiego, co to się orientuje.

– Niedługo okaże się, co zrobi z tobą góra. Gdyby to zależało ode mnie, poleciałbyś ze stanowiska już dzisiaj. Może szefostwo wymyśli dla ciebie coś ciekawszego. Cholera, przez takich jak ty te wszystkie dowcipy o inteligencji policjantów wcale nie są przesadzone.

– Ha, a zna pan ten, jak idzie dwóch poli...

– Spieprzaj stąd, zanim jeszcze bardziej mnie zdenerwujesz. I lepiej nie pokazuj mi się kilka dni na oczy.

– To... to do widzenia.

– Idź już, dobrze ci radzę.

Drzwi zamknęły się.

– Nie, nie mogę po prostu w to uwierzyć! –
wykrzyknął na całe gardło O'Reary.

Przez dłuższą chwilę próbował się uspokoić. Sposobem okazało się wypalenie dwóch papierosów, jeden za drugim. Kiedy wreszcie nieco się opanował, ponownie wezwał do siebie Tony'ego.

– Słucham szefie?

– Mam dzisiaj sporo spraw na mieście. Dopilnujesz spraw pod moją nieobecność. Tylko upewnij się, żeby ten imbecyl, Steven, nawet nie wytknął nosa poza kuchnię. Mam nadzieję, że zapadnie decyzja o jego zwolnieniu. Nie mieści mi się w głowie, jak można tak spieprzyć sprawę. Jak się okazuje, można. Nieważne. Przygotuj krótki raport o tym, co się stało dzisiaj rano i od razu wyślij go faksem do Robertsona. Niech zdecydują, co z tym fantem zrobić. Wyślij też kilka patroli, niech zaczną szukać chłopaka, może, jeśli będziemy mieli więcej szczęścia niż Steven rozumu, uda się uratować sytuację. Niech chłopaki zaczną szukać w pobliżu miejsca ostatniego zabójstwa, niewykluczone, że może się tam kręcić. Nie zaszkodzi sprawdzić także mieszkania tej kobiety, Jane. Niech jeden z naszych 'po cywilnemu' obserwuje to miejsce, ten Quincy może tam zajrzeć. Poza tym wyślij dwóch dodatkowych ludzi do hotelu, niech strzegą pokoju Jane, jak ojciec cnoty swojej jedynej córki. Nie wiadomo, co chłopakowi może chodzić po głowie, może w jakiś sposób wszedł w posiadanie informacji dotyczących miejsca jej pobytu. To chyba tyle. Jadę teraz

do kostnicy, później do tej dziewczyny, a potem wstąpię do Robertsona, spróbuję załagodzić sytuację. W razie czego możecie mnie złapać pod telefonami w tych miejscach, albo przez radio. Jakies pytania?

– Nie, wszystko jasne. W razie czego będziemy informować pana na bieżąco.

– Mam nadzieję, że będą to lepsze informacje niż w ostatnim czasie.

– Niech się pan nie martwi, wszystkiego dopilnuję. Jakoś wyjaśni pan tę sprawę.

– Dzięki Tony, wiem, że mogę na tobie polegać i że dasz sobie radę – poklepał go po ramieniu. – Dobry z ciebie chłopak.

– Dziękuję szefie.

– No nic, tylko nie obrastaj mi tu w piórka – powiedział O'Reary i porozumiewawczo mrugnął okiem, uśmiechając się.

Wyszedł z gabinetu i udał się na parking, gdzie zostawił swojego pocziwego, służbowego Forda. Usiadł w wygodnie w fotelu i zamknął oczy. Jeszcze raz głęboko odetchnął, próbując przetrwać to wszystko, czego właśnie się dowiedział. Zastanowił się dłużej: czy to, że chłopak uciekł, mogło świadczyć o jego winie? Tego jeszcze nie wiedział, ale musiał się tego dowiedzieć. A jeszcze lepiej – znaleźć chłopaka i zapytać go o to osobiście.

Tymczasem musiał jechać do kostnicy. Czekąco go małe spotkanie z Haighleyem i czwórką jego oziębłych gości. W końcu dotarł pod budynek kostnicy. Nie było to

zbyt przyjemne miejsce, ale cóż – nie miał wyjścia, miał nadzieję że, o ile można tak powiedzieć, zwłoki czterech zabitych mężczyzn rzuca trochę światła na całą sprawę. Skierował się na schody prowadzące do piwnic budynku, gdzie miał zamiar spotkać się z Haighleyem. Przechodząc przez korytarz poczuł, jak do jego nozdrzy dobiega ten sam, szpitalny, sterylny zapach, który zapamiętał z poprzedniej wizyty. Kiedy już witał się z doktorem, bukiet zapachów uzupełniła specyficzna woń, jakby szarego mydła.

– Witam, doktorze Haighley, mam nadzieję, że nie jestem spóźniony? Miałem, wie pan jak to jest, pewną pilną sprawę u nas na komisariacie.

– Witam, witam komisarzu, wszystko w porządku, nie musi się pan przede mną tłumaczyć. Najlepiej będzie, jeżeli od razu przejdziemy do rzeczy.

– Tak, naturalnie. Co nowego może mi pan powiedzieć?

– Proszę za mną. Zdaje się, że mam dla pana kilka ciekawych informacji.

Gestem ręki Haighley wskazał Michaelowi drogę do specjalnego, bocznego pomieszczenia, do którego wchodziło się przez błyszczące, metalowe drzwi. Była to wąska, za to bardzo długa salka. Wewnątrz poustawiane były równoległe cztery stoły, takie, jakich używa się do operacji w szpitalach, na nich zaś rozmieszczone ciała zabitych osób. O'Reary i doktor stanęli dokładnie pośrodku nich w ten sposób, że po obu stronach mieli po

dwa ciała.

– Tych dżentelmenów poznał pan już wcześniej – Haighley wskazał na stoły stojące po ich lewej stronie. Co się zaś tyczy tych dwóch... – powiedział, odsłaniając ciała denatów – w wyniku przeprowadzonych ekspertyz doszliśmy do ciekawych wniosków.

– Mianowicie? – zapytał O'Reary z niemałym zainteresowaniem.

– Z raportu z miejsca zabójstwa tych dwóch, który nadesłał mi pan jakiś czas temu, wynika ciekawa rzecz. Otóż, w prawdopodobnej wersji zdarzeń, którą na podstawie zebranych materiałów ustalili pańscy ludzie, wynika, że ciała zostały zabite w następującej kolejności: najpierw ten – obcokrajowiec znaleziony w mieszkaniu na piętrze, następnie dozorca budynku, niejaki George Foley, który dokonał żywota kilkanaście metrów poniżej pierwszego – w piwnicy, czy nie tak?

– Tak, to już ustaliliśmy, co powie mi pan ponadto?

– A powiem panu, że wasze ustalenia były błędne. Jednym z podstawowych zadań lekarza medycyny sądowej, w przypadku gdy zajmuje się ciałami ofiar, jest ustalenie przybliżonej godziny zgonu. Jest to w znacznej części wypadków kluczowe właśnie ze względu na ustalenie scenariusza zdarzeń jak najbardziej zgodnego z prawdą. Otóż, w wyniku przeprowadzonych badań z dużym prawdopodobieństwem, dodam, że bliskim pewnością, mogę stwierdzić, że kolejność zgonów była odwrotna, niż się państwu początkowo wydawało.

Domyśla się pan o czym to może świadczyć?

– Tak, mniej więcej tak. Na miejscu zdarzenia zastaliśmy straszny bałagan. Z tego co pan mi właśnie powiedział wynikałoby, że zdarzenia miały się nieco inaczej, niż pierwotnie sądziłem. Foley siedzi sobie w mieszkaniu, kiedy z sąsiedniego lokalu dobiegają go jakieś hałasy. Zaniepokojony próbuje sprawdzić co to takiego. Gdy dociera do mieszkania tego tutaj – wskazał palcem na obcokrajowca o azjatyckich rysach twarzy – przyłapuję sprawcę na gorącym uczynku. Z dużą pewnością można stwierdzić, że kimkolwiek on był – szukał czegoś w tym mieszkaniu. W związku z tym, że Foley zginął jako pierwszy – co potwierdzają pańskie badania, na tym etapie zdarzeń lokator tego mieszkania musiał być ogłuszony lub nieprzytomny.

– Dokładnie tak. Bezpośrednią przyczyną zgonu, co można zaobserwować nie będąc ekspertem w tej dziedzinie, jest to paskudne cięcie. Jednakże badając włoki natknąłem się na silne stłuczenie w okolicach tyłu głowy. Gdyby zjawił się pan trochę wcześniej, mógłby pan sam to zobaczyć. Teraz, gdy ciało już ostygło, to niestety niemożliwe. Zrobiłem dla pana kilka zdjęć, są dołączone do wyników analizy.

– Taaaak. No więc sprawcę nakrywa dozorca Foley. Ale dlaczego sprawca nie załatwił go na miejscu, od razu?

– Tego nie wiem. Może spanikował i zaczął uciekać? Widać nie znał dobrze budynku, a może w stanie szczególnego zdenerwowania pomylił drzwi i zbiegł do

piwnicy.

– Lub zrobił to celowo. Raczej nigdy się tego nie dowiemy. A kiedy już załatwił sprawę z Foleyem, wrócił na górę i dokończył, co zaczął. Zastanawia mnie tylko, czego tak usilnie szukał w mieszkaniu tego faceta?

– A wie pan, że wiem coś, co chyba może być przydatne.

– Co to takiego?

– Zabawna historia, o ile można użyć takiego określenia w sprawie dotyczącej czterech trupów, rozumie pan. Musi pan zostać poinformowany, że w sekcji zwłok tych dwóch tutaj, pomagał mi mój asystent. Gdy tylko zobaczył twarz tego mężczyzny twierdził, że skądś go kojarzy, jednak nie mógł sobie za nic przypomnieć skąd. Wie pan, wszyscy Chińczycy, Japończycy i Hindusi są do siebie łądząco podobni. Jest ich tak dużo, że naturze skończyły się pomysły na to, jak mają wyglądać, he, hehe. Mniejsza o to. W końcu ten mój asystent przypomniał sobie, gdzie widział tego mężczyznę.

– I co powiedział?

– Opowiadał, że nie dalej jak tydzień przed znalezieniem zwłok tego faceta, obchodził dziesiątą rocznicę ślubu ze swoją żoną. Niezrozumiałe to dla mnie, wytrzymać tyle czasu z jedną kobietą. Z kobietą w ogóle!

– No dobrze, ale jaki to ma związek z tym mężczyzną? Niech pan mówi dalej – nalegał O'Reary.

– Spokojnie, co pan taki w gorącej wodzie kąpany? Ucz się pan cierpliwości od weźmy na to świętej pamięci

pocziwego Foleya. Widzisz pan? Im się nigdzie nie spieszy, leżą sobie i wysłuchają wszystkiego, co człowiek chce z siebie wyrzucić. Mówię panu, nie ma lepszych słuchaczy niż nieboszczyki i jeżeli czegoś można się od nich nauczyć, to właśnie cierpliwości. A wy wszyscy tacy jacyś zaganiani, wszędzie wam spieszo i wszystko byście chcieli na już.

– Powiem panu dlaczego. Dlatego, że śledztwo nie posuwa się wcale do przodu od dłuższego czasu, więc wszelkie informacje mogą być dla mnie niezwykle potrzebne. Dla pana to może oznacza więcej pracy, ale mnie kolejny trup nie jest potrzebny.

– Dobrze, już dobrze, niech się pan tak nie piekli. No więc w związku z tym, że mój współpracownik miał tą rocznicę, musiał kupić coś dla żony z tej okazji. Wie pan, rocznice małżeńskie wcale nie są po to, żeby przypominać mężczyznom o czymś miłym. To tylko wymysł naszych żon, pretekst do tego, żeby otrzymać coś ładnego niby to z okazji i powód, żeby sobie ponarzekać, gdy jakiś nieszczęśliwiec zapomni o tym dniu. Ale do rzeczy. Więc Mitch, mój asystent, wpadł na pomysł kupienia żonce czegoś z biżuterii. I wypatrzył tego tutaj, gdzieś na bazarze. Opowiadał mi coś o tym, że miał tanie i ładne rzeczy. Właściwie to zbyt tanie, jak na tego rodzaju przedmioty. I stąd go właśnie kojarzył. Dziwny zbieg okoliczności, nieprawdaż?

– Zbieg okoliczności, powiada pan... – O'Reary zastanowił się chwilę dłużej. Coś świtało mu w głowie...

tak! Przecież dzisiaj rano rozmawiał z tym psychiatrą, Bradleyem, który opowiadał o sprawie, w której udział brał Jumain dziesięć lat temu. Staruszek wspominał coś o jakimś łańcuszku, jakiejś biżuterii... Czyżby więc obecne śledztwo jak i wydarzenia sprzed dziesięciu lat wreszcie znalazły punkt wspólny? Na to wyglądało.

– No tak, zbieg okoliczności, mówię przecież – słowa Haighleya wyrwały policjanta z transu. – Chyba, że wie pan więcej ode mnie?

– Cóż, z panem chyba mogę się z tym podzielić, pod warunkiem, że ta rozmowa zostanie między nami.

– Ja nie zamierzam się wygadać. Ci czterej raczej też nie, prawda? No widzi pan przecież, że nic nikomu nie powiedzą. Więc?

– Udało mi się ustalić pewne fakty. Jeżeli wszystko dobrze rozumiem, to zdaje mi się, że znalazłem klucz, którego bardzo długo szukałem. Wszelkie ślady prowadzą do człowieka, który z jakiegoś dziwnego powodu bardzo interesuje się wyrobami jubilerskimi. Kilka dobrych lat temu był zamieszany w sprawę, której elementem był właśnie tego typu przedmiot.

– Patrz pan, to faktycznie szczęśliwie się złożyło, że Mitch nie zapomniał o rocznicy! Kto by pomyślał – zaśmiał się pod nosem Haighley.

– Tak, to naprawdę duże szczęście. Muszę się teraz dowiedzieć, co to wszystko znaczy. Dlaczego głównemu podejrzanemu tak zależy na tych błyskotkach.

– Tego to już panu nie powiem. Ale... zaraz zaraz.

Niech pomyślę... O ile mnie pamięć nie myli... Przypomina pan sobie ostatnią wizytę u mnie? Wtedy, kiedy przywieźli mi tych dwóch, z pociągu. Kojarzy pan?

– Tak, pamiętam dokładnie ten wieczór, kiedy rozmawialiśmy. Co w związku z tym?

– Pamięta pan tego Rosjanina, jak mu tam było, Sieriożka jakiś tam.

– Zgadza się. Siergiej Lebiediew, o ile mnie pamięć nie zawodzi.

– Nie wiem, czy to może mieć jakiś związek, ale w tych rzeczach, które przy nim znaleziono... czy przypadkiem wśród nich nie znajdował się jakiś pierścień, obrączka, coś takiego?

– A niech mnie cholera, Haighley, faktycznie! Teraz sobie przypominam. Zatem niewątpliwie mamy zagadkowy klucz do śmierci dwóch z czwórki zamordowanych. A pozostali dwaj?

– Gdybym miał strzelać, powiedziałbym, że to zwykły przypadek.

– Sądzi pan?

– No bo tak: stary Foley napatoczył się, gdy ten morderca zaczął robić za dużo hałasu. Widział sprawcę, więc nie mogło mu to ujść na sucho. I pach! Skończył jako zimny trup w piwnicy.

– A drugi ze znalezionych w pociągu, ten barman?

– Nie wiem, może też widział tych dwóch razem? W końcu i tego ruska i barmana znaleziono w przedziale restauracyjnym. Kto wie? Mnie to wygląda na to, że tym

dwóm oberwało się za nic, przypadkiem.

– To by miało nawet ręce i nogi. Nadszedł Foley, więc sprawca wykończył go, zwabiając go do piwnicy i biorąc z zaskoczenia. Być może nie miałby szans w bezpośrednim starciu, z tego Foleya kawał chłopca. Cholera, gdybym nie był na służbie, postawiłbym panu solidnego drinka Haighley!

– To nic takiego. Nic by się nie ułożyło w całość, gdyby pan nie zadawał tylu pytań. A dobrej wódeczki jeszcze zdążymy się napić.

– Przy pierwszej możliwej okazji, zapewniam pana. Dobra, zabieram te wyniki od pana i muszę lecieć. Z tymi nowymi informacjami, może się udać. Jeszcze raz dziękuję!

– Ach, nie ma za co. Życzę owocnego śledztwa, sam jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Do widzenia!

Rozmowę zakończył męski uścisk dłoni i wymiana uśmiechów.

O'Reary wychodząc zgarnął z biurka teczkę zawierającą pokaźną liczbę arkuszy papieru, na których znajdowały się efekty ekspertyzy medycznej. Przeczyta to później, teraz był zbyt podekscytowany. Myślał tylko o tym, co właśnie usłyszał od starego Haighleya. Wreszcie miał coś konkretnego, coś wymiernego – element, który łączył dwie z ofiar. Przyznał teraz w duchu, że liczba ciał była myląca. Usilnie poszukiwał części wspólnej dla wszystkich czterech osób, jednak o ile wierzyć wersji zaproponowanej przez Haighleya (a ta wydawała się nad

wyraz prawdopodobna, przynajmniej w tej chwili) związek ze sobą miały jedynie dwie ofiary, pozostałe dwie, jeśli można tak to ująć, były dziełem przypadku.

Nie zamierzał dłużej czekać, musiał zbadać poszlaki, którymi na tą chwilę były sygnet znaleziony przy jednej z ofiar i bliżej nieokreślona biżuteria sprzed dziesięciu lat. Wprzód jednak musiał złożyć wizytę Jane. Zapewniał ją jakiś czas temu, że osobiście przyjedzie, aby się z nią spotkać. Nie mógł jej zawieść. Zresztą nie zaszkodzi, jak pokręci się trochę wokół tego hotelu.

Skierował auto w stronę tego miejsca. Kilka minut później dostrzegł policyjny radiowóz stojący przed budynkiem. Było jeszcze wczesnie, spojrzął na zegarek – 11.30. Wsiadł z auta i udał się do recepcji. Przedstawił się, wylegitymował i udał się pod wskazane przez obsługę miejsce. Czwarte piętro, pokój czterysta siedemnaście. Mógł jechać windą, ale postanowił użyć schodów. Wpadł na pomysł, żeby sprawdzić, jak jego ludzie pilnują tej dziewczyny. Na pewno spodziewali się, że ewentualne zagrożenie może nadejść od strony windy. Ciekaw był, czy równie dobrze przypilnują wejście do klatki schodowej.

Po kilku minutach, z nieukrywaną lekką zadyszka, znalazł się na czwartym piętrze. Gdy tylko otworzył drzwi do głównego korytarza, natknął się na Jacka, który na widok przełożonego wyprostował się na baczność, wypowiadając tylko krótkie:

– Dzień dobry szefie!

– Dzień dobry, widzę, że się staracie, bardzo dobrze, miejcie wszystko na oku. Czy dziewczyna jest u siebie?

– Tak, Tommy pilnuje jej pod drzwiami.

– Tak trzymać chłopaki, tak trzymać – O'Reary wyraźnie był zadowolony z postawy młodych pracowników. Miał nikłą nadzieję (choć prawdopodobieństwo było niewielkie), że uda im się złapać tego chłopaka, Quincy'ego, gdyby w jakiś sposób dowiedział się o miejscu pobytu Jane i postanowił ją odwiedzić.

Przeszedł długim korytarzem mijając kolejne pary drzwi. Wreszcie dotarł do tych oznaczonych numerem czterysta siedemnaście. Wygładził ruchem ręki poły płaszcza, przeczesał palcami zmierzwione włosy i zapukał. Otworzył mu Tommy, drugi z policjantów, który miał strzec bezpieczeństwa kobiety.

– Ach, to pan – powiedział wyraźnie zdziwiony – Przepraszam, nie spodziewałem się.

– I dobrze. Miałeś pilnować na zewnątrz, z tego co mi wiadomo?

– Wie pan... musiałem za potrzebą. Żeby zbytnio się nie oddalać, skorzystałem z toalety tutaj.

– Niech będzie, ten jeden raz ci daruję. A teraz wracaj do obowiązków i zachowaj czujność.

O'Reary wszedł do pokoju. Był to przestronny apartament, wyłożony jasnym, jednolitym dywanem i także pomalowanymi ścianami. Wnętrze było umeblowane skromnie, ale elegancko. Szerokie,

panoramyczne okna wpuszczały do środka dużo światła, dzięki czemu było tu bardziej żywo, słonecznie. W pokoju pachniało świeżo ściętymi kwiatami.

– Halo, Jane? Jesteś tutaj? – powiedział, szukając wzrokiem kobiety. Po chwili wyłoniła się z jakiegoś pomieszczenia, trzymając w dłoniach ozdobny wazon z kwiatami.

– Halo! Dzień dobry, tutaj jestem. Potrzebowałam wody do kwiatów. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się pana. To znaczy, spodziewałam, ale nieco później.

– Tak, w zasadzie umawialiśmy się na popołudnie. Ale mam wiele innych spraw, którymi muszę się zająć. Mam nowe ślady dotyczące śledztwa, więc wstąpiłem tylko zapytać, jak się dzisiaj czujesz i zaraz lecę dalej.

– I nie napije się pan ze mną dobrej kawy? Świeżo parzona – zaproponowała Jane.

– Ech, znamy się tak krótko, a ty już wiesz, jak mnie podejść – zaśmiał się Michael. – Dobrej kawy nigdy nie odmawiam, szczególnie pięknym kobietom.

W chwilę po tych słowach zauważył, jak na twarzy kobiety wystąpił rumieniec.

– Widzę, że sztuka prawienia komplementów jeszcze całkowicie nie wymarła.

– Ano jeszcze nie. W tej parszywej robocie człowiek od czasu do czasu musi poczuć się dżentelmenem, a ma tak niewiele okazji, że wykorzystuje każdą z nich.

– Cieszę się zatem, że to na mnie padło. Proszę, niech pan siada. Proszę zrzucić płaszcz, o tam, na tą sofę.

– Dziękuję. Więc, jak się pani dziś miewa?

– Troszeczkę lepiej, potrzebowałam nieco odpoczynku. Dzisiaj naprawdę jest lepiej. Miejsce jest bardzo piękne, widok z okna niesamowity, tak tu przestronnie i słonecznie, ale wie pan... Ach, byłabym zapomniała, że przeszliśmy na ty.

– Faktycznie. I moja pamięć już nie ta, co kiedyś.

– Wiesz, tu jest naprawdę świetnie, ale wciąż nie mogę zapomnieć, dlaczego się tu znalazłam. Ciągłe po głowie krążą mi rozmaite myśli: o tym nieszczęsnym liście, o tym, że Quincy siedzi zamknięty w celi...

– Właśnie, co do tego ostatniego... Obawiam się, że już nie siedzi.

– Naprawdę? To znaczy, że go wypuściliście? – Jane powiedziała to w ten sposób, że O'Reary nie wiedział, jakie emocje zawarte były w tym krótkim pytaniu. Nie potrafił określić, czy ucieszyła się na tą wiadomość, czy zaniepokoiła. A bardzo chciałby to wiedzieć...

– Niezupełnie. On... najwidoczniej mu się u nas nie podobało, bo dziś rano uciekł z aresztu.

– Coś takiego... – powiedziała Jane podając filiżanki z kawą.

– A właśnie, przy okazji. Gdyby w jakiś sposób próbował się z tobą kontaktować, powiedziałaś mi?

– Ależ oczywiście!

– Daj mi znać, gdyby do tego doszło – O'Reary wcale nie był pewien tego entuzjastycznego 'oczywiście'. Mimo, że dziewczyna wydawała się być szczerą i uczciwą, nie

mógł brać za pewnik tego, jak zachowa się w tej nowej sytuacji.

– Zaskoczyłeś mnie tą informacją Michael. To zastanawiające. Dlaczego Quincy miałby uciekać? Nie wiem... Czy to może oznaczać, że faktycznie ma coś na sumieniu?

– Nie wykluczamy takiej możliwości. Prawdę mówiąc... gdybym to ja miał oceniać, to wydaje mi się, że coś jest na rzeczy, Nikt nie ucieka z więzienia ot tak. Może i nie jest to zbyt sympatyczne miejsce, ale gdyby był naprawdę niewinny, to spokojnie poczekałby do końca odsiadki. W ten sposób tylko pogorszył swoją sytuację.

– Mam tylko nadzieję, że jest bezpieczny i zdrowy.

– Pożyjemy, zobaczymy. A ja mam nadzieję, że szybko go znajdziemy. Wiesz, jak to wygląda. Góra naciska, my właściwie drepczemy w miejscu, a nasz podejrzany ucieka z celi. A niezadowolenie wszystkich skupia się na mojej osobie. Zupełnie, jakbym to ja zawinił.

– No tak, na pewno nie masz lekko, Michael.

O'Reary lubił ten moment. Chodziło o te chwile, kiedy przebywał w towarzystwie młodych, pięknych kobiet i słyszał swoje imię wypowiedane ich głosem. Gdyby tylko mógł jakoś się do tego przygotować, najchętniej kolekcjonował by te wszystkie momenty, kiedy z kobiecych ust padało jego imię. Szczególnie ten przypadek, tu i teraz. Znowu się na tym przyłapał, że obecność młodej kobiety działała na niego pobudzająco.

Zwłaszcza, że ta Jane miała tak dźwięczny, miękki i przyjemny głos. Ogólnie rzecz biorąc, była bardzo atrakcyjną kobietą. Dziwił się sam sobie, że nie zauważył tego wcześniej. Przyjrzał się jej teraz dokładnie. Wodził oczami po jej gładkiej, aksamitnej skórze. Jego uwagę zwrócił srebrny łańcuszek, który beztrąsko zwisał pomiędzy jej...

– Jasna cholera! – niemalże wykrzyknął O'Reary.

– Co takiego? Co się stało? – Jane wyglądała na poważnie zaniepokojoną.

– Nie wiem, muszę chwilę pomyśleć. Eeee... skąd to masz?

– Co? To? Ten wisiołek? Quincy mi go podarował jakiś czas temu.

– Quincy, mówisz?

– No tak, co w tym takiego dziwnego?

– Dobra, porozmawiajmy na serio. Wiem, że to nie będzie przyjemne, ale to konieczne. Posłuchaj mnie uważnie. Czy potwierdzasz, że ten łańcuszek otrzymałaś od Quincy'ego, tak?

– Tak, zgadza się, przecież już powiedziałam.

– Czy kiedykolwiek w twojej obecności ten Quincy wymieniał nazwisko Ragana Jumaina?

– Nie. Jestem pewna, że nie. To ten człowiek, który przysłał mi list.

– Tak. A może mówił coś o Andrieju Strieloku?

– Nie, tym bardziej nie. Dlaczego pan pyta?

– Dzisiaj rano rozmawiałem z pewną osobą.

Wychodzi na to, że te wszystkie morderstwa, ten cały Jumain i Strielok, zresztą, to jedna i ta sama osoba...

– Nic z tego nie rozumiem, jak to ta sama osoba?

– Za długo by tłumaczyć. W każdym razie on, oni... mają jakiś związek z różnymi elementami biżuterii. Pojawia się ona w kontekście dwóch z czterech zabitych dotychczas osób. A teraz to... Jestem pewien, że to wszystko łączy się ze sobą.

– Ale w jaki sposób? Co to ma wspólnego ze mną?

– To właśnie obecnie próbuję ustalić. Posłuchaj, musisz coś dla mnie zrobić. Potrzebuję tego – wskazał na łańcuszek zawieszony na szyi Jane – będę musiał ustalić gdzie zostało kupione, przez kogo wyprodukowane, przez czyje ręce przeszło, dosłownie wszystko.

– Ale...! To prezent, pamiątka, nie mogę tak po prostu...

– Jane! To naprawdę ważne. To może być to, to może być klucz do wszystkiego. Musisz mi pomóc! Proszę cię. Jeśli chcesz pomóc Quincy'emu daj mi to.

– Dlaczego wiedziałam, że użyjesz tego argumentu? Jak mogłeś! Dobrze... skoro nie ma innego wyjścia, to proszę.

Zręcznym ruchem ręki odpięła niewielką zawleczkę z tyłu szyi. Wisiołek delikatnie osunął się na jej otwartą dłoń.

– Jeżeli tego potrzebujesz, jeśli to pomoże – weź. Mam nadzieję, że się przyda. Tylko bądź ostrożny, Michael. Może to i zwykłe świecełko, ale wiele dla

mnie znaczy.

– Dziękuję, jestem ci naprawdę wdzięczny. Nie mam wątpliwości, że to nam naprawdę pomoże. Zobaczysz Jane, nie minie wiele czasu, a to wszystko się skończy.

O'Reary obejrzał uważnie błyszczący przedmiot zawieszony na jego palcu wskazującym.

– Muszę już iść Jane. Ale nie martw się, niedługo znowu cię odwiedzę. Być może będę miał dla ciebie dobre wieści. Czeka mnie teraz dużo pracy. Tyle niewiadomych. Ale z pomocą tego cacuszka – powinienem wszystko ustalić w okamgnieniu.

– Będę czekała na dalsze informacje.

– Do zobaczenia Jane.

– Do zobaczenia.

O'Reary udał się w stronę drzwi. Przeszedł ponownie długim korytarzem, tym razem decydując się na skorzystanie z windy.

Czas gonił go, a on nie miał ani chwili do stracenia.

Nurtowała go tylko jedna kwestia. Jeżeli przedmiot, który wziął od Jane coś oznaczał, gdzie znajdzie kogoś, kto potrafi te informacje odczytać? 'Na kłopoty – stary Adams' – pomyślał i czym prędzej udał się do swojego służbowego Forda i ruszył z piskiem opon.

Jakiś czas później zatrzymał się pod domem Adama. Domem, który starzał się wespół ze swoim właścicielem, co niestety widać było na pierwszy rzut oka. Podeszedł do drzwi i zastukał solidnie. Adams był znany z tego, że często tkwił pochłonięty pracą w gabinecie znajdującym

się na tyłach domu, przez co często goście zwykli całować klamkę. Słuch już też miał nie ten, co kiedyś...

Ku zdziwieniu Michaela drzwi otworzyły się niemal natychmiast po tym, jak zapukał. W progu stanął jego stary przyjaciel, nieogolony i z podkrążonymi oczami – pewnie znowu kilka nocy spędził badając 'coś ważnego'.

– Michael, to ty! Stało się co? – zapytał z dużym zdziwieniem.

– I tak, i nie. W każdym razie mam coś, na co chciałbym, żebyś rzucił okiem. Masz czas?

– Dla ciebie zawsze. Wchodź. Przejdźmy do gabinetu.

O'Reary podążył za Adamsem do gabinetu. W korytarzach i kolejnych pomieszczeniach unosił się zapach tych wszystkich opasłych tomów, które poustawiane były tu i ówdzie. Wreszcie dotarli do gabinetu. Adams rozsiadł się za wielkim biurkiem. Michael poczuł się, jak gdyby przybył do jakiegoś urzędu, próbując coś załatwić. Im większe biurko, tym mniejszy się czujesz się ze swoim problemem.

– Więc, co to za rzecz?

Policjant sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i delikatnie wyjął łańcuszek, który wypożyczył od Jane.

– Fiu, fiu! Piękna rzecz! – zaświergotał Adams, a jego niewyspane oczy natychmiast się ożywiły. Badawczo zaczął się przyglądać zawieszce wykonanej z ciemnego srebrna. Geometryczna blaszka w kształcie rombu zaśniła tajemniczo.

– I co o tym sądzisz?

– To zależy, czego się szuka. Jeśli cię interesuje moja opinia – to skromny, ale bardzo dobry kawałek jubilerskiej roboty. Świetne szlify, starannie dobrany materiał – efektowne świecidełko.

– Adams, cholera, przestań się zgrywać. Wiesz dobrze, że nie o to mi chodzi. Nie przyszedłem słuchać tu twojej opinii na temat tego, czy ci się ta błyskotka podoba, czy nie. W zasadzie... chodzi mi o nieco inne informacje. Pamiętasz, jak jakiś czas temu prosiłem cię o analizę pisma pewnego faceta?

– Tego, który pisał do ciebie z zaświatów? Kurwa, stary, tego się nie zapomina! Hahaha! – zaśmiał się głośno.

– Adams, skup się!

– Dobra, już dobra. W tej policji straciłeś resztki dawnego poczucia humoru. No i co z tym gościem?

– Przedmiot, który właśnie trzymasz w ręku jest z nim w jakiś sposób związany. Jestem tego pewien. Tyle, że ja nie znam się na tego typu sprawach, więc...

– ... więc pomyślałeś, że mógłbym za ciebie to obejrzeć?

– Nie za mnie, a dla mnie. To zasadnicza różnica.

– Ach, no tak. Niech no pomyślę, daj mi chwilę. Przybliżmy sobie nieco sprawę.

To powiedziawszy wyciągnął nie wiadomo skąd olbrzymią lupę z dużym szkłem powiększającym. Nadstawił rękę z naszyjnikiem ku promieniom słońca i

zaczął uważnie oglądać.

– Z tego, co widzę jest to ciemne srebro wysokiej próby. Zastanawiają mnie te grawerunki przy brzegach. Czytałem kiedyś o staronordyckim piśmie runicznym. Wyglądało to dosyć podobnie, ale jednak trochę różniło się od tego tutaj. Ale... to może być coś w tym stylu, to może być coś w rodzaju jakiegoś egzotycznego pisma, alfabetu. Kto wie, co może być tutaj zapisane.

– Orientujesz się może, kto mógłby mi pomóc rozszyfrować te hieroglify?

– Czy stary Adams kiedykolwiek cię zawiódł?

Wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Dam ci adres do mojego znajomego. Siedzi w tym temacie od prawie pół wieku. Jeśli on tobie nie pomoże, to nikt ci nie pomoże.

– Można mu zaufać?

– A czy mnie można zaufać?

– W porządku, nie było pytania.

– Ja myślę. W zamian za te niezwykle cenne wskazówki zobowiązany będziesz napić się ze mną! – z radością w głosie oznajmił Adams.

– Hank, nie dzisiaj, nie mogę teraz. Obiecuję ci, że jak tylko zakończę śledztwo, urządzimy sobie porządną popijawę. Zresztą, po tym co mi dałeś ostatnio chodziłem jak struty.

– Po prostu nie potrafisz docenić smaku dobrego trunku.

– Trunek. Trucizna raczej!

– Jakoś wtedy nie narzekałeś. No powiedz mi, dalej uganiaasz się za nieboszczykiem?

– Śmieję się, śmieję. A ja już jestem prawie pewien, że to właśnie ten facet. Trafiłem na pewne ślady, które prowadzą do niego.

– Ciekawi mnie, ile może być w tym prawdy. Cóż, pożyjemy, zobaczymy. Daj znać, gdybym mógł jeszcze w czymś pomóc – wyciągnął w stronę O'Reary'ego wizytówkę.

– Schultz. Jubiler. Cholera, to na drugim końcu miasta! – z żalem w głosie powiedział Michael odczytując adres.

– Więc chyba na ciebie już pora, he he.

– Od kiedy z ciebie taki żartowniś?

– Od kiedy z ciebie zrobił się straszny gbur. Nie zauważasz już drobnych przyjemności życia, mój stary przyjacielu. Tylko to nam zostało na tym świecie. Jakże wobec tego mam się powstrzymać, żeby nie pożartować sobie z kumpla?

– Znajdź sobie inny obiekt żartów. Cóż, dzięki. Chyba naprawdę będę uciekał. Mam nadzieję, że ten Schultz okaże się pomocny.

– Jak mówiłem: albo on, albo nikt!

– Do zobaczenia. Powinieneś się trochę wyspać, dobrze ci radzę.

– Przesypiamy jedną trzecią życia, to straszne marnotrawstwo czasu. A są ciekawsze zajęcia, jeśli wiesz, co mam na myśli.

O'Reary zupełnie nie wiedział, co Adams ma na myśli i szczerze mówiąc, wolał się nie domyślać. Z wizytówką w rękę i sercem pełnym nadziei wyszedł z domu Adamsa.

Pędził autem obwodnicą miasta. O tej porze centrum było zakorkowane, a on nie miał zamiaru spędzić długich godzin stojąc na zablokowanych ulicach. Czas, zawsze czas. Dlaczego zawsze mamy go tak mało? – pomyślał. Jak tak dalej pójdzie, czas stanie się oficjalną walutą i wtedy nasze życie podporządkujemy tylko jemu. Będziemy spędzać czas na zarabianiu czasu. Błędne koło. Chociaż jeżeli się zastanowić... i tak nie robimy nic innego. Kupujemy kolejne dni za papierki z farbką i cyferkami. Czas. Czas naglił O'Reary'ego. Jeżeli się nie spręży, zaczną się naciski z góry. I teraz jego sytuacja nie wyglądała najciekawiej. Musiał postarać się o nowe informacje, zanim złoży wizytę Robertsonowi, swojemu przełożonemu. Każdy się musi komuś tłumaczyć, co tworzy swoisty łańcuch nieszczęść. Aby zapobiec kolejnym, potrzebował wydobyć jak najwięcej informacji od Schultza.

* * *

Quincy czuł się jak zaszczuty pies. Znał życie – nie tylko od tej dobrej strony i wiedział, że wieści szybko się rozchodzą. Na pewno informacje o jego ucieczce z więzienia obiegały miasto z prędkością błyskawicy i teraz szuka go sztab ludzi. Wobec tego musiał być bardzo

ostrożny, a jednocześnie działać.

Po głowie krążyły mu rozmaite myśli. Najgłośniejszą w umyśle rozbrzmiewała jedna: spotkać się z Jane. Nie widział niestety, jak ją znaleźć, a szczerze mówiąc i tak nie był to najlepszy pomysł. Jeżeli policjanci mieliby go szukać gdziekolwiek, to miejsce pobytu Jane będzie pierwszym na liście.

Jakoś będzie musiał sobie poradzić. W jakiś sposób będzie musiał zdobyć informacje na temat nadawcy listu i skontaktować się z Jane. To były dwa priorytety. W nieco bliższej perspektywie musiał pomyśleć nad bardziej przyziemnymi sprawami – gdzie spędzi noc i jak zdoła ukryć się przed całym miastem. Nie mając lepszego pomysłu, postanowił, że uda się do Barbary. Wiedział, że tam też może roić się od policjantów, jednak najciemniej często bywa pod latarnią.

W duchu Quincy przyznawał, że dziwne to było uczucie: przekradać się bocznymi alejkami, unikać wzroku przechodniów, starać się przejść niezauważonym przez zatłoczone centrum Caladonu. Ani na moment nie opuszczało go złudne (a może nie?) przeświadczenie, że ktoś go obserwuje. Dla spokoju ducha zrzucił winę na własną wyobraźnię.

Po kilkunastu minutach dotarł wreszcie do miejsca pracy Barbary. Wracał tu po raz kolejny, choć jeszcze kilka dni temu miał nadzieję nigdy więcej nie przychodzić do tego miejsca w potrzebie. Obszedł budynek szerokim łukiem, po czym zbliżył się do tylnych drzwi. Zajrzał

przez okienko i zastukał cicho. Barbara odwróciła głowę w jego stronę. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha, wyraźnie zaskoczona. Podeszła do drzwi i uchyliła je, by Quincy mógł dostać się do środka.

– Quincy?! Co ty tutaj robisz?

– Wiem, wiem, sprowadzam na ciebie niepotrzebne kłopoty, ale uwierz mi, nie miałem innego wyjścia. Musiałem tu przyjść. Porozmawiać z kimś... z kimś, kto mi uwierzy. Nic tak nie pokrzepia człowieka, który znalazł się w mojej sytuacji, jak zrozumienie kogoś bliskiego.

– Całe miasto huczy o twoim zniknięciu. Wszędzie pełno policjantów. Byli tutaj, pytali o ciebie. W coś ty się wpakował? Tylko mów szczerze – powiedziała stanowczo.

– W zasadzie, można rzec, że jestem niewinny.

– W zasadzie?

– No może ucieczka z więzienia to nie jest najlepszy pomysł. Ale musiałem, naprawdę. Posłuchaj, możesz mnie tu gdzieś ukryć, chociaż na jedną noc? Rano zniknę i nie będzie po mnie śladu.

– Jeżeli potrafisz siedzieć cicho, to znajdzie się miejsce. Na razie musisz zostać w kuchni. Później znajdziemy ci jakiś pokój, kiedy się ściemni.

– Dziękuję ci. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

– Nie dziękuj, tylko zastanów się co dalej zrobić. Później porozmawiamy. Pamiętaj: nie wychodź z kuchni i bądź cicho.

– Nie ma sprawy. Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie.

Quincy został sam w pomieszczeniu, a Barbara wróciła do swoich obowiązków. Mijały kolejne godziny, a on nie wiedział co ze sobą zrobić. Wreszcie, kiedy gwar na głównej sali powoli ucichł, zjawiła się Barbara.

– Proszę, oto kolacja i gorąca herbata dla ciebie.

– Dziękuję.

– No więc? Opowiesz mi co takiego się stało?

Quincy opowiedział jej wszystko od początku do końca, nie pomijając żadnych szczegółów. Wiedział, że Barbarze może zaufać.

– Nieźle narozrabiałeś – powiedziała Barbara śmiejąc się. – Co zamierzasz zrobić?

– Sam jeszcze nie wiem. Muszę skontaktować się z Jane i odszukać nadawcę tego listu. Chyba tylko w ten sposób mogę pomóc sobie i Jane.

– Jane pewnie pilnuje policja. Nie będzie łatwym zadaniem się do niej dostać. Tym bardziej, że nie wiesz, gdzie ona jest.

– Zdaje się, że chyba miałaś pomóc?

– Bądź realistą Quincy. Od teraz naprzód już nic nie będzie proste. Swoją drogą, policja naprawdę myśli, że to wszystko twoja sprawka? Zabicie tych wszystkich osób, ten list, prześladowanie Jane? W liście czarno na białym widać, że to nie ty za tym stoisz. Czy oni w ogóle nie myślą?

– Myślący policjanci. Piękny oksymoron.

– No tak. Ale... co ty właściwie wiesz o tym facecie? Tym Jumainie, czy jak mu tam?

– Wiem tyle, że oficjalnie nie żyje. Jednocześnie aktywnie koresponduje z kobietą, którą kocham i zabił cztery osoby.

– To niewiele nam daje. Zupełnie nic. A co z tą zagadką, rzekomo ukrytą w liście? Wpadłeś już na jakiś pomysł?

– Jeszcze nie, ale jestem prawie pewien, że to imię coś znaczy. Muszę się tego dowiedzieć jak najszybciej.

– Nie wydaje ci się to nieco dziwne? Postaw się na miejscu tego faceta. Czy w jego sytuacji celowo zdradzałbyś jakiegokolwiek informacje o sobie? Po co miałby to robić?

– Tego nie wiem. Albo jest tak bardzo pewny siebie, albo szalony.

– Posłuchaj Quincy, mam pewnego znajomego, który pracuje w ratuszu, w urzędzie miejskim. Jeśli kiedyś ten Jumain tu mieszkał, to może uda się zdobyć o nim jakieś informacje? Czym się zajmował, w jakich kręgach się obracał?

– A czy twój znajomy nie będzie lekko zaskoczony faktem, że pytasz o nieboszczyka? Jeżeli mają informacje o nim, to również i tą, że facet zmarł.

– Nie zaszkodzi spróbować. Ten znajomy ma u mnie dług wdzięczności.

* * *

Sklep starego jubilera Schultza okazał się dosyć zmyślnie ukryty w bocznej wąskiej alejce. Wielki szyld wisiał nad wejściem, zaś w przeszklonej przedniej ścianie widać było wszelkie kosztowności, które sprzedawał Schultz. Michael wszedł do środka. Do jego uszu dotarł dźwięk muzyki wydobywającej się ze starego gramofonu. Dało się słyszeć charakterystyczny trzask płyty winylowej.

Gdy tak rozglądał się po wszelkich półkach, podszedł do niego niski, pomarszczony staruszek, o zakrzywionym nosie i grubych szklach okularów. Ubrany był w śnieżnobiałą koszulę, kamizelkę i odpowiednio dobrany krawat.

– Witam w sklepie Schultza! Tylko u mnie znajdzie pan złoto i srebro najwyższej próby, kamienie szlachetne najlepszego szlif! Czego szanowny pan poszukuje?

– Domyślam się, że pana, o ile nazywa się pan Schultz?

– Maurycy Klemens Schultz – zawsze do usług, w czym mogę panu pomóc?

– Michael O'Reary, policja kaladońska. Możemy chwilę porozmawiać?

– Policja? Czy coś się stało?

– Prowadzę bardzo delikatną sprawę. Wydaje mi się, że mógłby pan przysłużyć się śledztwu swoją wiedzą.

– Jeżeli tak się sprawy mają, zapraszam na zaplecze. I tak miałem zrobić sobie przerwę.

Zamknawszy uprzednio drzwi przeszli przez drzwi znajdujące się za jednym z kontuarów. Pokoik na zapleczu był małym pomieszczeniem, zastawionym regałami, na których znajdowały się pudełka i pudełeczka w olbrzymich ilościach. Schultz zasiadł na jednym z krzeseł znajdujących się przy stole i wyraźnie podekscytowany zapytał:

– W czym mogę panu pomóc?

O'Reary sięgnął głębiej do kieszeni płaszcza i dobył z niej naszyjnik, który wziął od Jane. Ostrożnie podał go jubilerowi. Kiedy błyskotka przeszła do jego rąk, Michael zauważył błysk w oku staruszka, który momentalnie się ożywił.

– Chciałbym dowiedzieć się jak najwięcej na temat tego przedmiotu. I tego także – powiedział podając mu sygnet zdjęty z dłoni nieboszczyka z pociągu.

Stary Schultz wyjął z kieszeni szkło powiększające, które stosuje się w jubilerstwie. Długo oglądał obydwa przedmioty – najpierw pierścień, później naszyjnik. Trwało to dobrych kilka minut. Policjant zaczął się już niecierpliwić, kiedy zauważył, że na twarzy Schultza da się zauważyć niemałe zdumienie.

– Skąd pochodzi ten przedmiot? – zapytał z drżeniem w głosie jubiler.

– To właśnie próbuję ustalić.

– Nie nie, chodzi mi o to, gdzie go pan zdobył – mówił coraz bardziej podniecony.

– Ten naszyjnik stanowi jeden z dowodów w

śledztwie, które prowadzę. Zdaje się, że został kupiony na tutejszym jarmarku świątecznym.

– Jarmark świąteczny. Wielkie nieba! – wykrzyknął Schultz. – Niebywałe, wprost niebywałe – powtarzał Schultz.

– Powie mi pan wreszcie, o co chodzi?

– Nie rozumiem, jak to mogło się stać, ale z tego co tu widzę, to mamy do czynienia z bardzo starym przedmiotem.

O'Reary pokiwał głową.

– Zgadza się, jedna z poszlak w śledztwie prowadzi do wydarzeń sprzed około dekady.

– Z całym szacunkiem, ale nie zrozumieliśmy się. Musi pan wiedzieć, że kiedy w jubilerstwie mówimy o bardzo starym przedmiocie, to proszę mi wierzyć: jest on bardzo stary. Czas mierzymy w tym przypadku w stuleciach.

– Stuleciach?!

– Jeżeli nie więcej. Nie chciałbym wprowadzać pana w błąd, ale na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że mamy tu do czynienia ze staroperską biżuterią. Ten przedmiot może liczyć sobie kilka, a nawet kilkanaście setek lat.

– I był pan to w stanie stwierdzić w ciągu kilku minut? – zapytał ze zdziwieniem Michael.

– Niech pan spojrzy. Niewprawionemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że przedmiot ten jest wykonany z ciemnego srebra. Nic bardziej mylnego. Ciemny koloryt to efekt oddziaływania czasu: osad, nalot.

Nie można się spierać, na pewno wygląda to bardzo estetycznie, ale to czas działał swoje.

– Teraz to zabił mi pan ćwieka. Nie wiedziałem, że takie rzeczy można kupić na przedświątecznym bazarze.

– Bo nie można. To bezcenna rzecz. Praktycznie nie do zdobycia. Nieliczne egzemplarze tego typu biżuterii można znaleźć w zaledwie kilku muzeach na całym świecie. Prawdopodobieństwo, że coś takiego trafi panu w ręce graniczy z cudem.

– A jednak to się stało. Doprawdy, niewiarygodne, co pan mówi.

– Sam nie jestem w stanie w to uwierzyć. Ale ten kształt, te szlify... inskrypcje. To wszystko mówi samo za siebie.

– Inskrypcje? – zainteresował się policjant – Chce mi pan powiedzieć, że jest pan w stanie odczytać, co zostało wygrawerowane na tym wisiorku?

– Proszę pana. Rozumiem, że jest pan laikiem w tych sprawach, ale muszę uświadomić panu pewien fakt. Otóż, jak przypuszczam, napisy te wygrawerowane zostały w jednym z martwych już dzisiaj języków. Jeżeli moje potwierdzenia co do okresu i miejsca pochodzenia są słuszne, to zapewne napis stanowi jakiś dialekt lub sanskryt. W praktyce oznacza to, że zaledwie garstka – kilku, no może kilkunastu specjalistów na świecie potrafi to odczytać.

– Tylko tego mi było trzeba... – powiedział z żalem O'Reary.

– Jednakże, muszę pana pocieszyć. Okazuje się, że ma pan wyjątkowe szczęście.

– To znaczy?

– W dniu jutrzejszym w naszym mieście ma miejsce zjazd profesorów z całego świata. Archeologów, historyków, badaczy. Tutejsze muzeum organizuje coroczne Zgromadzenie Archeologiczne, w ramach którego odbędzie się seria wykładów. Jako, że jestem honorowym członkiem tego Zgromadzenia, przy odrobinie szczęścia uda mi się porozmawiać z kilkoma znajomymi z dawnych czasów. Jestem pewien, że nie będą kazali zbyt długo się przekonywać, aby rozpocząć badania nad tym przedmiotem. To bezcenne znalezisko w skali światowej!

– Miałbym rozstać się z tym bezcennym znaleziskiem?

– Jeżeli tylko ma pan chęci, może się pan wybrać ze mną.

– Cóż... czy można panu zaufać?

– A jak pan uważa?

– Uważam, że skoro Adams za pana ręczył, to tak.

– Aaaa, Adams! Proszę go pozdrowić przy najbliższej okazji. Że też od razu pan nie powiedział, że przychodzi od niego. No więc jak będzie?

O'Reary widział, że Schultzowi oczy aż płoną z podekscytowania. Pomyślał chwilę i zrozumiał, że jest to jedyna droga, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o tym przedmiocie.

– W porządku, proszę dać mi swoje słowo, że dopilnuje pan wszystkiego, jak należy.

– Zatem umowa. Niech pan zostawi mi swój numer telefonu, abym mógł się z panem skontaktować, kiedy zdobędę jakieś informacje.

– Naturalnie. Proszę – O'Reary wygrzebał gdzieś w wewnętrznej kieszeni pomiętą wizytówkę.

– Znakomicie.

– Oczekuję więc informacji od pana. Tymczasem będę się zbierał, mam jeszcze kilka miejsc do odwiedzenia.

– Tak tak. Odprowadzę pana – niechętnie powiedział to Schultz. O'Reary widział po jego zachowaniu, że nie może doczekać się chwili, kiedy zostanie sam na sam z tą błyskotką.

– Byłbym zapomniał, jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– A ten drugi przedmiot? Ten pierścień?

– Ach, to – Schultz wrócił na zaplecze i przyniósł mu sygnet – Może pan to zabrać. To zwykły złom. Polerowane srebro niskiej próby. Jakaś nędzna podróbka. Miała przypominać prawdziwą biżuterię z czasów starożytnej Persji, ha, ha! Ktoś wyjątkowo się nie postarał. Mógłby pan sobie darować ten sygnet i zaoszczędzić mi czasu, szczególnie, kiedy jednocześnie przynosi pan prawdziwy skarb.

– Podróbka, powiada pan? Intrygujące. Do zobaczenia zatem!

Kiedy już opuścił skromne podwoje sklepu starego jubilera wsiadł do auta i postanowił pojechać do Robertsona – swojego przełożonego. Wolał nie odkładać tej wizyty na później. Jakiegokolwiek przedłużanie tego w czasie nie wpłynie z pewnością pozytywnie na ich wzajemne stosunki. Uruchomił silnik i ruszył z piskiem opon. W głowie układał sobie poszczególne wątki. Próbował ze strzępków informacji poskładać jakąś spójną całość. Nie udawało mu się. Nie pozostawało mu nic innego, jak czekać na informacje od Schultza lub czekać, aż wydarzy się coś nieoczekiwanego. Nie widział jednak, że wkrótce czeka go i jedno, i drugie. Rozmyślał także nad tym, co Schultz powiedział na temat pierścienia. Okazał się on zwykłą podróbką, imitacją bardzo starego przedmiotu. Czy to możliwe, że ktoś zabrał oryginalny przedmiot, a następnie zastąpił go drugim? Niewykluczone. A to by oznaczało, że ktoś działał według ściśle określonego schematu, według zasad: wiedział dokładnie, czego szukał. Teraz Michael zrozumiał, dlaczego ktoś prześladował Jane. Dopóki była w posiadaniu naszyjnika, groziło jej niebezpieczeństwo. Tyle, że teraz biżuteria znajdowała się u starego Schultza. Dręczyło go jeszcze jedno pytanie: skąd u licha bezcenne przedmioty znalazły się na świątecznym bazarze i serdecznym palcu jakiegoś Ukraińca?

Dotarł wreszcie do budynku, w którym znajdowały się biura wydziału śledczego. Wjechał windą na trzecie piętro i udał się w kierunku gabinetu Robertsona.

Szczerze nie znosił tego typu, jednak nie miał wyjścia, musiał z nim porozmawiać. Zastukał delikatnie w ciemne, lakierowane drzwi. Po chwili wszedł do środka.

Robertson jak zwykle siedział przy swoim olbrzymim biurku. Był tłustym, nieprzyjemnym facetem, którego obłe ciało rozlewało się w objęciach ramion fotela. Na wąsach dało się zauważyć resztki lukru z pączka, którym zapychał się łapczywie, niczym pięcioletnie dziecko.

– O'Reary! Dawno u nas nie gościłeś. Najwyższa pora wypowiedać się. Mów, coś tam zbroił i jak idzie śledztwo. Macie coś nowego? Siadaj, co tak stoisz jak niemota.

Michael posłusznie wypełnił polecenie.

– Witam – powiedział oschle. Nie znajdował przyjemności w uścisku ręki wstrętnego grubasa i dorobkiewicza, toteż obyło się bez tego.

– Powiesz coś wreszcie?

– Tak. No więc, wreszcie trafiliśmy na pewien ślad. Co prawda jest on trochę niepewny, ale...

– Niepewny? Nie rób ze mnie głupka, O'Reary! – zagrzemiał tłuszczoch i okrzyk przetoczył się falą przez całe cielsko. – Czytałem raporty! Nie chcesz mi wmówić chyba, że dalej uganasz się za nieboszczykiem?

– Wedle moich informacji ten człowiek żyje i ma się świetnie. Wszelkie ślady prowadzą do niego, nasi ludzie rozpoznali go w mężczyźnie, który przyniósł list z pogrózkami skierowanymi do tej kobiety – Jane. Co więcej, chyba znaleźliśmy klucz, wedle którego działa...

– Gówno znaleźliście, tyle wam powiem! Chcesz mnie ośmieszyć, zrobić ze mnie idiotę? Wiesz, jak będę wyglądał przed dyrektorem, kiedy mu o tym powiem? Wiesz?!

– Rozumiem, że...

– Nie przerywaj mi O'Reary! Co ty sobie myślisz, że wszystko ujdzie ci na sucho? Dobra sława nie ciągnie się za człowiekiem wiecznie. To, że kiedyś byłeś pupilkiem kierownictwa nie oznacza, że możesz robić co ci się żywnie podoba. Ty nawet więźnia nie potrafisz upilnować, spieprzył przy pierwszej nadarzającej się okazji. Jak się z tego wytłumaczysz?

– To nie moja wina, nie było mnie wtedy na komisariacie... Mam natomiast nowy ślad. Właśnie wracam od jubilera, któremu zostawiłem do analizy naszyjnik Jane. Myślę, że może mieć on znaczenie dla sprawy.

– I co ci powiedział ten cały Schultz?

Michaela jakby ktoś oblał strumieniem zimnej wody.

– Skąd pan zna nazwisko tego mężczyzny? Nie zdradziłem ani słowem, że nazywa się Schultz.

Grubas momentalnie spuścił z tonu i jakby nieco się uspokoił. Milczenie trwało dłuższą chwilę i widać było, że wszelkie trybiki w maleńkiej główce Robertsona pracują nad odpowiedzią.

– Ja... eee... ja po prostu wiem. Nie myśl sobie, że nie miałem na ciebie oka. Jeden z naszych chłopaków cię obserwował. Tak na wszelki wypadek, gdyby coś miało ci

się stać. Niewiele jest powodów, żeby mówić prawdę, za to jest ich bez liku, żeby kłamać... W tym momencie O'Reary zastanawiał się, jaką przyczynę ma łgarstwo, które wyszło z ust jego przełożonego. Czyżby szukali na niego haka?

– Ach... Jeszcze nic mi nie powiedział.

– A naszyjnik, gdzie go masz? Czego się o nim dowiedziałeś?

Michael znowu poczuł się nieprzyjemnie. Robertson zbyt usilnie domagał się informacji, które nie powinny go interesować.

– Jest w dobrych rękach. Za dzień lub dwa powinienem uzyskać trochę informacji – była to wymijająca odpowiedź, aczkolwiek zgodna z prawdą.

– O'Reary, powiedz mi proszę, jak długo jesteś policjantem?

– Dość długo.

– Nie bawimy się w żadne pyskówki, komisarzu! Jak można tak partolić robotę, ja się pytam?! Mamy cztery trupy, a ty stoisz w miejscu, pozwalasz uciec jedynemu podejrzanemu, a potem oddajesz w obce ręce dowód w sprawie? Dostyc tego dobrego! Jesteś zwolniony!

Michael miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Co takiego? – zapytał z niedowierzaniem.

– Czy ja niewyraźnie mówię, do ciężkiej cholery? Wylatujesz z interesu, sprawę poprowadzi kto inny, skoro ty nie jesteś w stanie sobie z tym poradzić. A teraz zostaw służbową odznakę, broń i wynoś się sprzed moich oczu!

– Nie ma pan prawa...

– Nie zapominaj, że ja tu rządzę! Wynocha stąd, albo każę cię wyprowadzić.

O'Reary nie szukał problemów, odłożył odznakę i broń na biurko Robertsona. Na odchodne rzucił mu wymowne spojrzenie, po czym wyszedł trzaskając drzwiami.

Był wściekły.

Nigdy jeszcze nie był tak wściekły.

– To się tak nie zakończy – powiedział sam do siebie.

Wyszedł z budynku, wsiadł do samochodu i ruszył z piskiem opon. W drodze powrotnej do domu wstąpił do marketu. Kupił coś do jedzenia i dwie przyzwoite butelki whisky, w sam raz na samotny wieczór po zwolnieniu.

Po kilkunastu minutach wszedł do mieszkania. Nerwowo zrzucił płaszcz, zostawiając go gdzie bądź. Rozluźnił więzy krawata pod szyją i odetchnął głębiej. Podszedł do jednego z regałów w salonie i sięgnął po swoją ulubioną płytę z muzyką. Podkreślił głośność i po chwili w całym domu rozległy się znajome dźwięki albumu "Crises" Oldfielda.

Usiadł głęboko w sofie. Nie miał na nic ochoty. Nie wyobrażał sobie najbliższych dni. Dawał z siebie wszystko, a w jednej chwili cały jego wysiłek, cały trud jaki sobie zadał został przekreślony. To była sprawa honoru, nie mógł tego tak zostawić. Poza tym, coś nie grało w dziwnym zachowaniu Robertsona. Coś było na rzeczy. Pozostawało się tylko dowiedzieć co.

Michael ani się spostrzegł, a zasnął na kanapie pogrążony w rozmyślaniach. Ze snu wyrwał go dźwięk dzwoniącego telefonu. Kiedy się obudził, nie wiedział, która jest godzina, ale musiał być wieczór. Za oknami już zmierzchało. Niebo było stalowoszare, przy chodnikach paliły się latarnie. Jeszcze mocno zaspany sięgnął po słuchawkę.

– Słucham?

– Komisarz O'Reary?

– Tak, zgadza się. Kto mówi? – zniekształcony telefonicznie głos wydał się policjantowi dziwnie znajomy.

– Mówi Quincy.

– Quincy?! Cholera, skąd dzwonicz?

– Nie tak szybko. Zresztą, skoro został pan zwolniony, już nie powinno to pana interesować.

– Skąd o tym wiesz?

– Wieści szybko się rozchodzą. Ale powiem szczerze. Początkowo próbowałem się dodzwonić do pana na komendę. Tam powiedzieli mi, że już pan nie pracuje.

– Sukinsyny, już mnie skreślili. Po co dzwonicz? Wielu ludzi cię szuka.

– Wiem, że nie odpuści pan tej sprawy. Można panu zaufać?

– Zależy o co chodzi.

– Niech mnie pan posłucha, od początku wiedział pan, że jestem niewinny.

– Powiedzmy, że miałem pewne przypuszczenia.

- Mam dla pana pewne ciekawe informacje.
- Mianowicie?
- Chciałbym porozmawiać o tym z panem osobiście. Musi pan dać słowo, że kiedy się u pana zjawie, nie wezwie pan policji.
- Dużo ryzykuję. Co dostanę w zamian?
- Nie pożałuje pan. Więc jak będzie?
- Nie jesteś w tak dobrej sytuacji, żeby stawiać warunki – powiedział stanowczo O'Reary.
- Tak myślałem. Cóż, żegnam zatem...
- Zaczekaj! Znasz mój adres?
- Wiem, gdzie to jest.
- W takim razie czekam. Możesz być spokojny, o ile będzie warto, nie pisnę ani słowa.
- Będę za kwadrans.

W słuchawce rozległ się przerywany sygnał zakończonego połączenia. Michael podszedł do barku i sięgnął po szklankę i butelkę whisky. Nalał sobie i wypił jednym łykiem. Pałace ciepło alkoholu rozeszło się po jego ciele, rozbudzając go do reszty. Nalał jeszcze raz. Opuścił żaluzje w oknach, żeby nikt wścibski nie zauważył jego gościa. Zapalił światło i zmrużył oczy. Usiadł ponownie na kanapie i sączył ze szklaneczki.

Minęło kilka dobrych minut. Rozległo się pukanie do drzwi. O'Reary otworzył. W drzwiach stał Quincy.

- Przyszedłeś sam? – podejrzliwie zapytał Michael.
- Tak. Mogę wejść?

O'Reary gestem ręki zaprosił go do środka. Wyjrzał

jeszcze przed dom. Przeciągnął wzrokiem wzdłuż chodnika, było pusto.

– Napijesz się? – zapytał Michael, kiedy już znaleźli się w salonie.

– Dziękuję. Albo... niech pan naleje.

– Michael – powiedział do Quincy'ego jedną ręką podając szklankę, drugą wyciągając do uścisku.

– Quincy. Dziękuję.

– Część oficjalną mamy już za sobą. Teraz do rzeczy. Z czym przychodzisz? Jak się już zdążyłeś zorientować, właśnie wywalili mnie z roboty. Jestem na cenzurowanym. Twoja obecność tutaj, jakby to delikatnie ująć... jest mi nie na rękę.

Quincy wziął głęboki łyk whisky. Michael zauważył, jak powstrzymuje się, żeby nie wypluć wszystkiego z powrotem.

– Mocne, co?

– Taaaak – powiedział zachrypniętym głosem chłopak. – Mam dla pana pewną informację. Chodzi o Jumaina.

– Wiesz dobrze, że już nie prowadzę tej sprawy.

– Wiesz dobrze, że nie zostawisz tak tego śledztwa. Przyniosłem ci adres Jumaina. Strieloka. Wiesz, o kim mówię.

– To wszystko? Cały ten teatrzyk, konspiracja z powodu adresu? Myślisz, że nie sprawdziliśmy ostatniego adresu jego zamieszkania?

– Ciekaw jestem, czy sprawdziliście jego dom z

czasów, kiedy pojawił się w Caladonie. A wcale niełatwo go zdobyć. Z pewnych źródeł wiem, że kilkakrotnie zmieniał miejsce swojego zamieszkania, jednak wiem coś, co powinno pana zaciekawić.

– Co takiego?

– Około dziesięć lat temu. Wie pan co się wydarzyło?

– Oczywiście, że wiem. Był podejrzany o morderstwo, osądzony, skazany i stracony.

Quincy uniósł znacząco brwi.

– Racja, co do tego ostatniego nie jestem pewien.

– Właśnie. Okazuje się, że mimo częstych przeprowadzek Jumaina, nigdy nie porzucił on swojego pierwszego domu tu, w Caladonie. I nie zgadniesz co?

– Nawet nie będę próbował. Strzelaj.

– Okazuje się, że czynsz za ten dom płacony jest do dzisiaj. Mimo, że po takim czasie to już kompletna rudera.

– Skąd to wszystko wiesz? Nawet nam nie udało się zdobyć takich informacji.

– Dzisiaj już ludzie coraz mniej ufają policjantom. Odznaka nie ma już takiej siły przebicia, jak kiedyś.

– Bardzo zabawne. A tak poważnie?

– Obiecałem mojemu informatorowi, że pozostanie anonimowy – Quincy uśmiechnął się na znak triumfu. Poczul się ważny, przynosząc nowe, znaczące informacje.

– No tak, mogłem się tego spodziewać. Interesujące jest to, co mówisz. Jeszcze whisky?

– Chyba mi wystarczy. Nie mam mocnej głowy.

– A ja sobie należę. W policji chłopie, musisz mieć

mocną głowę. Bez tego ani rusz. Przynosisz jeszcze jakieś rewelacje? Masz coś jeszcze?

– Niewiele więcej. Tylko adres tego miejsca, o którym rozmawiamy i nazwisko najemcy.

– Gdzie to jest?

– Hendale 17.

– Pierwsze słyszę.

– Właściwie to prawie za miastem. Kilka kilometrów za miejskim cmentarzem.

– Bardzo przyjemna lokalizacja. A nazwisko?

– Ruthford. John Ruthford. Ale niestety nic więcej o nim nie wiem.

– Ruthford powiadasz? Gdzieś mi się obiło o uszy to nazwisko. Ruthford. Cholera jasna, nie pamiętam. Trzeba będzie go namierzyć.

– A co z tym domem? Myślisz o tym samym, co ja?

– Pojadę tam sam.

– Ale jak to?! Tak się odpłacasz za informacje? Jadę z tobą, tak będzie bezpieczniej. Dla mnie ta sprawa jest równie ważna!

– Ach, już rozumiem. Chodzi o nią, tak? Zakochany. Cóż, z miłością nie wygram. Powiedz no, miałeś kiedy broń w ręku?

– Zdarzyło się raz czy dwa.

– Chodź ze mną. Musimy się przygotować.

* * *

Był już późny wieczór. Jane siedziała w swoim hotelowym pokoju słuchając muzyki wydobywającej się z radia. Myślami była jednak gdzie indziej. Są takie wieczory, a na pewno ten był jeden z nich, kiedy rozmyśla się o wszystkim. Tego wieczoru kobiecie towarzyszyły same czarne myśli. Podobno rozmyślanie o przyszłych nieszczęściach łagodzi je, gdy nadejdą. W tej chwili w swojej głowie Jane snuła wszystkie najczarniejsze scenariusze dotyczące jej przyszłości. Jak bumerang powracało także imię Quincy'ego. Tak bardzo chciałyby dowiedzieć się, co się z nim teraz dzieje, co u niego, czy jest bezpieczny i nic mu nie grozi. Z perspektywy czasu dobrze rozumiała to, co zrobił. Całe dni spędzała w pokoju. Miała wszystko na zawołanie, jednakże jej wolność została, niby to dla jej własnego dobra, poważnie ograniczona. Dzień i noc była otoczona kordonem strażników – nie mogła wytknąć nosa poza budynek hotelu. Sama teraz czuła się jak w więzieniu. Kiedy ten koszmar się skończy?

* * *

– Quincy, przedstawiam ci Walthera P99. Solidna, niemiecka robota – powiedział Michael podając mu do ręki pistolet. – Poradzisz sobie z tym?

– Myślę, że tak – powiedział niepewnym głosem chłopak.

– Pamiętaj, masz piętnaście kul w magazynku. Ze

strzelaniem czekasz na mój rozkaz, chociaż mam nadzieję, że nasza wieczorna ekspedycja pójdzie gładko i obędzie się bez użycia broni. Weź jeszcze latarkę. Łykniesz sobie na odwagę? – zaproponował Michael.

– Nie, może lepiej nie.

– Dobra. Zadzwonimy jeszcze do Adamsa i zbieramy się.

O'Reary podszedł do aparatu i wykręcił numer. Po chwili powiedział do mikrofonu w słuchawce:

– Dlaczego spodziewałem się, że nie będziesz spał? Dobra, dobra. Posłuchaj, potrzebuję informacji o pewnym człowieku. Możesz coś dla mnie załatwić?

– ...

– Ruthford. John Ruthford – skierował wzrok w stronę Quincy'ego, aby upewnić się, że przekazuje odpowiednie informacje. Chłopak skinął głową.

– ...

– W takim razie czekam na wieści. Posłuchaj, Adams. Wybieram się z pewnym znajomym na małą akcję. Gdybym nie zadzwonił do ciebie do północy, możesz zacząć się martwić, wiesz o co mi chodzi. Jedziemy do pewnego miejsca przy Hendale 17.

– ...

– Ach, słyszałeś już o tym. Wieści szybko się rozchodzą. Muszę lecieć. Liczę na ciebie Adams. Do usłyszenia.

Odłożył słuchawkę i ponownie spojrzał na Quincy'ego.

– Dobra, zbieramy się.

Wyszli z domu bocznym wyjściem przekradając się w ciemności jak dwóch złodziei. Przeszli wzdłuż ściany pod garaż i wsiedli do auta. Ruszyli powoli, a gdy tylko wyjechali za miasto, O'Reary wcisnął gaz do dechy.

– Nie ma czasu do stracenia – usprawiedliwił pośpiech Michael – posłuchaj, kiedy będziemy już na miejscu musisz się bardzo pilnować. Najlepiej trzymaj się blisko mnie, staraj się zachowywać jak najciszej i nie wykonuj żadnych gwałtownych ruchów. Może to i jest stara opuszczona rudera, ale licho wie, co tam znajdziemy. I kogo. Mam nadzieję, że nie ryzykujemy bez potrzeby. Obyśmy coś tam znaleźli.

– Mogę cię o coś spytać?

– Wał śmiało. Wychodzi na to, że teraz jesteśmy po jednej stronie.

– Jak się miewa Jane? Co z nią?

– Naprawdę uważasz, że teraz na to pora? Ok, powiem ci – spasował O'Reary, kiedy napotkał stanowcze spojrzenie Quincy'ego. – Z wami zakochanymi... Wszystko z nią w porządku. Jest bezpieczna. Pilnuje ją połowa policjantów w mieście.

– Będę się mógł z nią zobaczyć?

– Nie sądzę. Nie będzie to łatwe. Pomyślimy nad tym później. A teraz skup się. Dojeżdżamy.

W świetle księżycy na niewielkim wzniesieniu zaczęło się wyłaniać ponure gmaszysko jakiegoś budynku. O'Reary wyłączył reflektory w samochodzie i

wyraźnie zwolnił. Skręcili na jakąś piaszczystą drogę. Kiedy podjechali nieco bliżej, Quincy był w stanie dostrzec więcej szczegółów. Dom, o ile można tak powiedzieć wyglądał dosyć nietypowo. Całe otoczenie wydało mu się nieco groteskowe, niby z filmu grozy niskiej klasy. Było to jednak niczym w porównaniu z budynkiem, który wyglądał wprost demonicznie, nie z tej ziemi. Nad całym terenem unosiły się ciemne, ołowiane chmury, oświetlane księżycową łuną. Sam dom wyglądał niczym potężne zamczysko. Po obu stronach dumnie wyciągały się w niebo ciemne, strzeliste wieże. W centrum znajdowały się szerokie schody, prowadzące do wielkich dębowych drzwi, które stanowiły główne wejście. Na fasadzie budynku błyszczącym szkłem odcinały się prostokątne, szerokie okna. Z boku dało się dostrzec niewielką, sypiącą się już drewnutnię i inne budynki gospodarcze.

– Przyjemna miejscówka – stwierdził O'Reary. – Chodź za mną i na razie nie włączaj latarki, przyda nam się dopiero w środku.

Wysiedli z auta. W świetle księżycy pod swoimi stopami ujrzeli wąską ścieżkę wydeptaną w wysokiej trawie. A to znaczyło, że ktoś jakiś czas temu tędy przechodził. O'Reary sięgnął do kabury i wyciągnął broń. Skinął na Quincy'ego, aby podążył za nim. Ku zaskoczeniu młodzieńca, nie skierowali się do potężnych, frontowych drzwi. Obeszli budynek z lewej strony,

przechodząc obok starej, sypiącej się szopy. Wreszcie, na tyłach domu znaleźli wejście do piwnicy, jak na złość zabezpieczone kłódką. O'Reary nachylił się i silnie szarpnął za metalowy skobel. Siła i czas zrobiły swoje. Skorodowane żelastwo ustąpiły pod naporem mięśni, wydając przy tym nieprzyjemny, metaliczny zgrzyt, który zgasł głucho w ciemności. Drzwi pozbijane z przegnitych już desek otworzyły się, skrzypiąc cicho. Ostrożnie zeszli po schodach. Kiedy Quincy stanął na solidnym gruncie piwnicznej podłogi, dobył z kieszeni latarkę i włączył ją. Snop światła rozjaśnił wnętrze pomieszczenia. Jasność wyglądała niemalże materialnie, prześlizgując się po drobinkach pyłu i kurzu, który wzbił się w powietrze na skutek ich kroków.

Wnętrze było zagracone. Wzdłuż jednej ściany zrzucone na kupę było jakieś żelastwo, zaraz obok jakieś skrzynie o nieznannej zawartości. Sterty gazet i papierzysek. Wszystkiemu towarzyszył zapach stęchlizny i zepsucia. Rozejrzeli się dookoła, po czym spojrzeli po sobie. Zgodnie, w milczącym porozumieniu uznali, że pora skierować się na górę. Odnaleźli schody, na końcu których znajdowały się białe drzwi, od których długimi wstęgami odpadała wyschnięta farba. Pozostawało mieć nadzieję, że drzwi nie są zabezpieczone z drugiej strony. Ostrożnie, żeby nie spowodować żadnego hałasu zaczęli wspinać się po stopniach. Dotarli do drzwi. O'Reary nacisnął delikatnie klamkę i rygielek w zamku ustąpił. Oboje znaleźli się w przedsionku domu, tuż obok

dębowych drzwi wejściowych. Nie pokonali więc o wiele więcej drogi, jednak zdecydowanie narobili mniej hałasu, niżby to miało miejsce przy próbie sforsowania solidnego dębu. Światła latarek przeskakiwały z miejsca na miejsce, wyławiając z ciemności kolejne elementy wyposażenia domu. Większość z nich stanowiły zakurzone meble, część z nich okryta była ciemnym płótnem. Niektóre przedmioty w półświecie wyglądały dosyć upiornie, jak na przykład wysoka lampa, czy wieszak na płaszcze.

Małymi kroczkami Quincy i Michael posuwali się naprzód. Dotarli wreszcie do wielkiego pomieszczenia w centrum domu. Nie znajdowało się w nim nic, było pusto. Na przeciwległych sobie ścianach znaleźli bliźniaczą parę drzwi. Gestem ręki O'Reary nakazał sprawdzić Quincy'emu jedną z nich, sam zaś udał się w przeciwną stronę. Quincy sięgnął wreszcie do kieszeni i wydobyl z niej pistolet. Jedną ręką trzymał latarkę, drugą nerwowo zaciskał na rękojeści pistoletu. Ku zdziwieniu chłopaka, drzwi do których podszedł ustąpiły bez najmniejszego oporu, pchnięte jedynie lekko przed siebie. Podążył długim korytarzem znajdującym się za nim, aż wreszcie, mijając rozmaite boczne pomieszczenia, które jednak nie kryły w sobie niczego ponad stertę zakurzonych szpargałów, dotarł do schodów prowadzących na górę, zapewne do jednej z wież, które Quincy widział z zewnątrz.

Kręta ścieżka trzeszczących ze starości stopni prowadziła go na górę. Przejście było niesamowicie

wąskie, toteż kiedy szedł na górę, plecami ocierał się o jedną ze ścian. Gdy był już u szczytu wieży, ponownie drogę zagroziły mu drzwi. Tym razem ponownie otworzył je bez problemu. Znalazł się w jakimś pokoju na poddaszu. Przez przeszkloną witrynę do środka wpadało światło księżyca. Snop światła padał na jedno z wielu biurk ustawionych w pokoju. Quincy wyłączył latarkę. Rozejrzał się dookoła. Nie dostrzegł nikogo, nic też nie wydało mu się podejrzane. Podeszedł do jednego z blatów, na którym porozrzucane były sterty ręcznie zapisanych kartek. Było to pismo rozchwiane, rozwlekłe i na tyle zamaszyste, że w wątłym świetle księżyca nie dało się ich odczytać. Quincy nie chciał tracić czasu na czytanie ich przy latarce. Zabrał kilka arkuszy z biurka. Uwagę jego zwrócił pewien przedmiot. W odróżnieniu od bezładnie porozrzucanych wokół papierów, szczególne miejsce zajmował niewielki notatnik, w czarnej, twardej oprawie, formatu a5. Otworzywszy go, Quincy ujrzał to samo pismo, którym zapisane były kartki. W odróżnieniu jednak od nich, każda kolejna kartka oznaczona była datą. Było to coś w formie dziennika. Na pierwszej z kartek Quincy dostrzegł wypisane czarnym atramentem, dużymi literami imię i nazwisko: Ragan Jumain.

Nagle, gdzieś z oddali, do Quincy'ego doszedł głośny huk wystrzału. Nie myśląc wiele włożył dziennik za pazuchę, po czym zbiegł schodami w dół, poszukując źródła hałasu. Chłopak wyciągnął przed siebie broń. Jego oddech był szybki i nieregularny, bicie serca z pewnością

można było usłyszeć. Wrócił do wielkiego, pustego pomieszczenia. Drzwi naprzeciwko, którymi udał się Michael były uchylone. Za nimi ciemność, nie można było nic dostrzec. Quincy skierował swe kroki w tamtą stronę. Ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony podszedł do drzwi. Przekroczył próg.

– PSsstT! – usłyszał gdzieś z końca pokoju, w którym się znajdował.

To był O'Reary. Quincy dostrzegł go przy jednym z okien, w którym szyba była wybita. O'Reary kucał przy parapecie, co chwila nerwowo zerkając przez ramę okna.

– Co się stało? – zapytał szeptem Quincy.

– Widziałem kogoś, ktoś tu był. Kręcił się przy samochodzie.

– Kto to był?

– Nie mam pojęcia, jakiś facet w długim płaszczu i kapeluszu. Twarzy nie byłem w stanie dostrzec. Strzeliłem, żeby go przestraszyć – w głosie O'Reary'ego również dało się odszukać podekscytowanie, jednak nie był to rodzaj zdenerwowania, który towarzyszył Quincy'emu. – Niewykluczone, że to właściciel tego pięknego przybytku. Tak czy siak, musimy stąd spływać.

W tym samym momencie, w którym Michael wypowiedział te słowa, dało się słyszeć trzask, który dobiegał od strony wejścia do budynku. Ktokolwiek kręcił się przy ich aucie, był w środku. Oznaczało to, że drogą, którą tu przybyli była odcięta. Spojrzeli po sobie, wytrzeszczając oczy. Z głębi budynku dało się słyszeć

spokojne, miarowe kroki.

– Dobra, spadamy stąd. Nie możemy tak tutaj siedzieć. Idź za mną i miej oczy dookoła głowy.

Nie czekając ani chwili na odpowiedź, O'Reary ruszył przed siebie. Niemalże biegiem pokonali pustą salę i skierowali się do wieży, w której jakiś czas temu był Quincy. Może i nie był to najlepszy pomysł – wszelkie reguły zachowań w takich przypadkach odradzają ucieczki na górę – ale nie mieli innego wyjścia. Prawdopodobnie jedyna droga wyjścia z domu była odcięta, a było zbyt wysoko, żeby skakać z okien.

O'Reary rozejrzał się po poddaszu. Kątem oka dostrzegł ciemny, zacieniony narożnik, niemal całkowicie niewidoczny z miejsca, w którym stali. Naturalną osłoną była ogromna szafa lub regał. Udali się z Quincym w to miejsce mając nadzieję, że nie będą dostrzeżeni, ani że ich prześladowca nie będzie ich tutaj szukał. Ostatnim dźwiękiem zanim oboje wstrzymali oddechy był szcęk odbezpieczanej broni O'Reary'ego.

Zapadła głucha cisza, trwająca dobrych kilka minut.

Ukrywający się w ciemności w myślach rozważali już opuszczenie swojego schronienia, kiedy z dołu schodów ponownie rozległy się te same kroki. Mocne uderzenia solidnej podeszwy, w równych odstępach czasu. Niczym zegar odliczający sekundy do jakiegoś wydarzenia.

Drzwi na poddasze otworzyły się. Stojąc w kącie O'Reary nie mógł dostrzec sylwetki ich prześladowcy. Ktokolwiek to był, ruszył przed siebie, wchodząc głębiej

na podstrysze. Kilka kroków później postać nadal pozostawała anonimowa, stojąc tyłem do nich. Wprawdzie znajdowała się w miejscu, do którego docierało już światło odbite przez księżyc, wciąż jednak nie można było nic dostrzec.

Oboje z Quincym wstrzymali oddech. Postać obróciła się, rozglądając się po całym pomieszczeniu. O'Reary i Quincy musieli powstrzymać się, żeby z ich ust nie wydostał się zduszony krzyk. Przed nimi, jak żywy, stał nie kto inny, jak Jumain! Usłyszeć można było jego ciężki oddech. Oczy były puste i bez wyrazu, zaś usta jak zwykle zaciśnięte wąsko. Takiej okazji O'Reary nie mógł przepuścić. Teraz, albo nigdy... Jednym zręcznym skokiem opuścił ich kryjówkę i znalazł się kilka metrów od Jumaina.

– Nie ruszaj się! – krzyknął celując w niego z pistoletu.

Jumain nie wyglądał na zaskoczonego. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, który zdradziłby jakiegokolwiek emocje.

– Komisarz O'Reary – powiedział niskim, spokojnym głosem. – Zapomniałbym. Były komisarz.

– Zamknij się i na ziemię.

Całą scenę Quincy obserwował wciąż z ukrycia.

– Quincy, pomóż mi! – zawołał w jego stronę Michael. Chłopak wyszedł z kryjówki trzęsącymi rękami celując w Jumaina. – Miej go na oku.

– Widzę, że przygotowaliście cały komitet powitalny

– powiedział z przekąsem Jumain.

– Dosyć tych gierek. Jak na trupa ładnie sobie poczynasz, Strielok – O'Reary chciał sprawdzić, jak zareaguje on na to nazwisko.

– Hahaha! Strielok. Jak dawno nie słyszałem tego nazwiska. Ale Strielok to już przeszłość. To co teraz oglądacie, to nowy, lepszy ja. A właściwie nie do końca ja.

– O czym ty bredzisz?

– Po co te kąśliwości, Michael. Nieładnie. Mów lepiej, gdzie masz naszyjnik.

O'Reary osłupiał.

– Nie wiem, czy zauważyłeś, ale jesteś na celowniku dwóch gniewnych ludzi, nie wywiniesz się z tego. To nie ty jesteś od stawiania warunków.

– To się jeszcze okaże. Gdzie naszyjnik? – syknął jadowicie Jumain.

– Po co ci on?

– On należy do mnie. Od zawsze należał do mnie. Potrzebuję go.

– Co ty pierdolisz?

– Mówiłem już, byś zważał na słowa. Naszyjnik to ostatnie ogniwo, żeby zadomowić się w waszym świecie. Dzięki niemu odzyskam pełnię sił, a wtedy nic was nie uratuje. Naszyjnik to część mnie. Gdzie on jest, gadaj! Pytam po raz ostatni, moja cierpliwość się kończy... – powiedział Jumain zaciskając pięści.

– Ty jesteś naprawdę szurnięty. A teraz na ziemię i

ani drgnij!

Jumain zaśmiał się szatańsko.

– Ostrzegam cię, nie ruszaj się!

Ale Jumain nie posłuchał. Jednym ruchem doskoczył do Quincy'ego tak szybko, że O'Reary nie był w stanie zareagować. Chwilę później błyszczące ostrze sztyletu przecięło ciemność, a pistolet Quincy'ego upadł na ziemię. Chłopak trzymał się za dłoń, a na ziemię szkarłatne krople krwi spływały co chwilę z końca jego palców. O'Reary próbował wycelować i oddać strzał, jednak Jumain zasłaniał się chłopakiem, używając go jako żywej tarczy.

– Puść go, Jumain.

– Ostrzegałem cię, nie słuchałeś. Teraz będziesz winny śmierci tego chłopaka – mówił Jumain jednocześnie wycofując się w stronę wyjścia. Quincy rozpaczliwie patrzył na Michaela, szukając ratunku.

– Zostaw go! Będę strzelał! – krzyczał O'Reary.

– To strzelaj, na co czekasz.

– Nie ruszaj się! – ku zdziwieniu wszystkich głos dobiegł z kierunku drzwi prowadzących na poddasze.

– Cholera, Adams!

– Tak niewiele prawdziwych powodów ma człowiek, żeby wyrwać się z domu. Pomyślałem jednak, że zjawię się trochę wcześniej.

Sytuacja przybrała nieco inny obrót. Rozkład sił uległ zmianie. Wprawdzie Quincy wciąż tkwił w zabójczym uścisku Jumaina zaciśniętym na jego szyi, jednak teraz Jumain nie miał prostej drogi ucieczki, znalazł się między

młotem a kowadłem.

– Poddaj się Jumain, nie masz dokąd uciec.

– Nigdy nie mów nigdy. Jeszcze się spotkamy, zapewniam – kiedy to powiedział, pchnął Quincy'ego z całej siły w stronę Michaela. W tym samym momencie wszystkich oślepił niesamowity błysk. Postać Jumaina znalazła się w samym środku ognistej eksplozji, zaś fala uderzeniowa powaliła wszystkich na ziemię. Kiedy Quincy doszedł do siebie całe poddasze spowite było kłębamii dymu. Jak przez mgłę dostrzegł sylwetki pozostałych mężczyzn. Jumain rozplynał się wraz z pachnącymi siarką i saletrą oparami.

– Nikomu nic nie jest?! – krzyczał O'Reary.

– W porządku – odrzekł Adams.

Gdy powietrze nieco się przerzedziło wszyscy udali się schodami w dół.

– Jak ręka?

– Poradzę sobie – Quincy próbował zgrywać twardego, choć na jego twarzy malował się grymas bólu.

– Spektakularne wyjście – skwitował całą sytuację Adams.

– Daj spokój Adams. Nie pora na żarty. Swoją drogą, dobrze, że się zjawiłeś. Było już z nami krucho.

– Od czego ma się przyjaciół. I jak tam, znaleźliście coś?

– Miałem nadzieję, że znajdziemy tu coś oprócz kłopotów. Ogromnie się przeliczyłem.

– Nie do końca. Znalazłem to – powiedział Quincy

wyciągając zza pazuchy oprawiony w czarną okładkę dziennik.

– Niech mnie kule biją. Niezła zdobycz! – zakrzyknął niemal radośnie O'Reary – A już myślałem, że nie będzie z ciebie pożytku. Dobra, teraz wynośmy się stąd. Przejrzemy to w bezpieczniejszym miejscu.

Rozgwieżdzone niebo górowało nad drogą krajową numer 67. Wstęga czarnego asfaltu wciniała się w ziemię tworząc coś w rodzaju małego kanionu. Atramentowy Ford O'Reary'ego pędził przez noc. Podróż upływała mężczyznom na milczeniu. Adams odjechał swoim autem. Wszyscy troje mieli spotkać się w domu Michaela.

Po jakimś czasie zasiedli przy stole w salonie O'Reary'ego. Gospodarz domu przygotował na szybko coś do jedzenia, każdemu nalał szklanek whisky.

– Dobrze ci zrobi. Trzymaj apteczkę. Zrób sobie porządny opatrunek – powiedział Quincy'emu.

– Dzięki.

– Więc, Adams. Co mi powiesz ciekawego? Znalazłeś coś na tego Ruthforda?

– Ludzie dobrze wychowani unikają mówienia oczywistości. Ale pieprzyć dobre wychowanie. Jasne, że znalazłem.

– No więc?

– Usiądź. Okazuje się, że być może jesteś na tropie jakiegoś grubego szwindlu. Powiedz mi najpierw, po co ci jego nazwisko?

– Ten dom... budynek, w którym byliśmy dziś w

nocy. Ruthford opłaca ten teren. A kilka dobrych lat temu mieszkał tam Jumain.

– Hmm. Wiedziałem, że zrobi się ciekawie. Naprawdę nie kojarzysz tego nazwiska?

– A powinienem?

– Widzę, że nie czytujesz gazet. Jakiś czas temu w twoim wydziale była głośna afera. To było... jakieś pięć, sześć tygodni temu. Twój szefuńcio Robertson, miał wtedy niezłego pietra. Jakaś młoda siksa oskarżyła go o molestowanie seksualne. Widocznie termin 'objąć kogoś programem ochrony świadków' zmienił nieco znaczenie, hehe. Więc twój szefuńcio musiał się jakoś z tego wykaraskać. A łatwo nie było. Wiesz, jak to dzisiaj jest. Chcesz komuś zniszczyć karierę lub życie – powiedz, że cię molestował, zgwałcił albo nawet dziwnie na ciebie spojrzał. Sprzedaj tą historyjkę mediom, wymyśl kilka faktów, udawaj niewiniątko i możesz się ustawić do końca życia, jeśli trafisz na frajera. Słono się płaci za milczenie. Robertson to też frajer, ale nie aż taki, na jakiego wygląda. Nie próbował kupić jej milczenia. Ruthford. Ruthford był jego prawnikiem w tej sprawie. Wygląda na to, że postanowili nawiązać współpracę na dłużej. Ruthford został jego doradcą finansowym.

– Niech mnie szlag! Zaraz zaraz... Coś mi tu nie gra. Myślisz, że to ma jakiś związek? Ten dom, Jumain, Robertson, cała ta sprawa?

– Cholera, Michael, coś mi tu śmierdzi. Raczej nie jest to rodzaj nieruchomości, w który się inwestuje. To

rudera. Jeśli mnie pytasz, trafiliśmy na jakiś grubszy szwindel.

– W porządku, uspokójmy to. Zastanówmy się na spokojnie, co może łączyć Jumaina, który rzekomo nie żyje od dziesięciu lat, Robertsona, cztery trupy i tajemniczy naszyjnik?

– Kurwa, Michael. Sam chciałbym wiedzieć. Ale ta tłusta świnia niejedno ma na sumieniu. Kto wie, co tym razem wymyślił.

– A ty co myślisz, Quincy? – tym razem Michael zwrócił się do niego.

Quincy był wyraźnie zaskoczony i jednocześnie zadowolony faktem, że wreszcie zaczął liczyć się w tej grze. Że ktokolwiek liczy się z jego zdaniem.

– Nie wiem. Nie wiem, co myśleć. A ten naszyjnik, co o nim wiadomo?

– Według opinii pewnego jubilera, to bezcenny starożytny artefakt.

– Co takiego? Kupiłem go na świątecznym bazarze!

– Mów mi jeszcze. Sam byłem zaskoczony. Podobno jest wart krocie.

– Więc może ten cały Robertson połasił się na to świecidełko? – wtrącił się Adams.

– Gdyby o to chodziło, już dawno miałby go w swoich tłustych łapskach. Obserwował mnie. Wie, gdzie byłem. Mógłby przycisnąć tego jubilera, Schultza, albo i mnie, jeśliby zechciał. Mógłby zdobyć ten naszyjnik w prosty sposób.

– Skąd pewność, że jeszcze tego nie zrobił? – zapytał Quincy i czuł, że było to właściwe pytanie, sądząc po minach pozostałych dwóch dżentelmenów i spojrzeniach, które wymienili.

– Chłopak ma rację. Nie wiesz, co się działo, kiedy naszyjnik opuścił twoje ręce. Nie oszukujmy się, jeżeli to o niego chodzi, a chodzi o niego z całą pewnością, Robertson mógł zacząć działać w tej sprawie.

– Może i tak. Ale jaką rolę w tym wszystkim odgrywa Jumain? On też poszukuje tego wisiora. Bredził coś, że naszyjnik należy do niego, że...

– Wiem – powiedział Adams i okraślił to haustem whisky. – Słyszałem co nieco ze schodów.

– Nie mogłeś zjawić się wcześniej? Quincy prawie stracił rękę, a ty...

– Nie jest tak źle. Zagoi się. – powiedział Quincy. Nie mieli czasu na kłótnie, wołał więc zdusić konflikt w zarodku. – Ale co o mu właściwie chodziło?

– A cholera go wie! Z tego, co mi wiadomo, to niezły świr. Myślę, że bardziej powinniśmy skupić się na Robertsonie. Musimy przeświecić jego związek z Jumainem, o ile takowy istnieje. Trzeba mu się będzie bacznie przyjrzeć. Po drugie – kontynuował Michael – jutro z samego rana pojedę do Schultza. Może będzie miał więcej informacji o tym nieszczęsnym naszyjniku.

– No i mamy jeszcze to – zabrał głos Quincy i rzucił na środek stołu dziennik znaleziony na poddaszu ponurego domu.

– Przyjrzymy się temu jutro. Tymczasem panowie, myślę, że wystarczy wrażeń na dziś. Jutro czeka nas pracowity dzień. Czuję, że jesteśmy na tropie czegoś grubego.

– Raczej kurwa, nie inaczej. No co...? – powiedział Adams napotykając wzrok O'Reary'ego.

– Masz niewyparzoną gębę Adams. Szczególnie po alkoholu.

– ... rzekł złotousty komisarz O'Reary. Opuzczam szacowne zgromadzenie. Do zobaczenia jutro panowie.

Adams wstał od stołu i mamrocząc coś pod nosem podreptał w stronę swojego auta. Był już nieźle wstawiony, ale nie pierwszy raz miał prowadzić po alkoholu.

– Na nas też chyba już pora. Chodź pokażę ci, gdzie będziesz spał.

– Michael...

– Tak?

– Tak sobie myślę... jeżeli Robertson ma coś wspólnego z Jumainem... chodzi mi o Jane. Sądzisz, że może być w niebezpieczeństwie?

– Nie pomyślałem o tym w ten sposób. Jeszcze nie wiem jak, ale będziemy musieli się z nią skontaktować. Ta świnią Robertson... stać go na wszystko. Jutro będziemy się nad tym głowić. Dobrej nocy.

– Dobranoc – powiedział Quincy, a drzwi pokoju gościnnego zamknęły się. Chłopak usiadł na skraju łóżka. Zrzucił z siebie koszulę i spodnie i rzucił się na łóżko. Był

wykończony. Nie wiedział kiedy zmorzył go sen. Zasnął niemal natychmiast, rozmyślając o Jane.

'Oby tylko nic jej się nie stało. Oby była bezpieczna' – powtarzał sobie w myślach, leżąc na chłodnym pościeliu.

* * *

Rankiem Quincy'ego obudziło silne potrząśnięcie za ramię. Gdy uniósł głowę ujrzał nad sobą O'Reary'ego. Przeniósł wzrok na budzik stojący na komodzie. Była ósma rano.

– Wstawaj. Zbieramy się. I bez żadnego 'ale' – powiedział Michael i wyszedł z pokoju.

Kwadrans później Quincy był już ubrany i obudzony. Nie pytając o nic podążył za Michaeliem. Wsiedli do auta i ruszyli.

– Trzymaj głowę nisko i nie wychylaj się. Ktoś może nas śledzić.

– Dobrze wiedzieć. Miły początek dnia, nie ma co – powiedział pod nosem Quincy.

Granatowy Ford Michaela zatrzymał się za budynkiem, w którym znajdował się zakład jubilerski Schultza. Wizyta była umówiona telefonicznie tego ranka. Udali się do tylnego wyjścia, zapukali i po chwili w drzwiach zjawił się sędziwy staruszek Schultz.

– Ach tak, to pan. Proszę wejść.

Przeszli za staruszką na zaplecze jego sklepu.

Usiedli przy stole.

– Bez owijania w bawełnę. Co pan dla nas ma, panie Schultz? Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale czas nagli.

– Rozumiem, rozumiem. Proszę mi powiedzieć, czy interesowali się panowie kiedykolwiek mitologią perską?

Oboje znacząco zaprzeczyli ruchem głowy.

– A może religiami takimi jak zoroastryzm lub mazdaizm?

– Panie Schultz, nawet nie potrafię wymówić tych słów. Niech pan nam po prostu wyjaśni, czego się pan dowiedział.

– Tak, jak panu obiecywałem, wraz z zespołem profesorów podjęliśmy badania nad przedmiotem, który nam pan oddał w opiekę. W dalszym ciągu nie ulega wątpliwości, że przedmiot pochodzi z czasów starożytnej Persji i jest ewenementem na skalę światową.

– To już wstępnie ustaliliśmy. A co nowego?

– Moich kolegów, co zrozumiało w zaistniałej sytuacji, zainteresowały inskrypcje wygrawerowane na naszymniku. Odczytanie ich przysporzyło nam sporo trudu.

– Ale ostatecznie udało się państwu? – dopytywał się zniecierpliwiony O'Reary.

– Nad rozwiązaniem zagadki pracowały najtęższe umysły dziedziny archeologii i historii. Musiało się udać – dumnie odpowiedział Schultz. – W trakcie badań udało nam się określić, że grawerunek został wykonany w języku awestyjskim. Był to klasyczny język używany w starożytnej Persji. Dzisiaj włada nim niewiele osób. Jedną z nich jest profesor Langley, to dzięki niemu odczytaliśmy

napis.

– I?

– Napis na naszyjniku głosi: "Kroczcie śladami Arymana".

– Dalej nic nie rozumiem.

– Oczywiście, należą się panom wyjaśnienia. Musicie wiedzieć, że w czasach starożytnych Aryman był uosobieniem największego zła i zniszczenia. W języku awestyjskim, który był użyty przy grawerunku, używa się nieco innej formy jego imienia: Angra Mainju, co oznacza 'zły duch'. Aryman to krótsza forma. To staroperski pan ciemności, Książę Podziemi, jeżeli wolno mi tak powiedzieć. Inny z moich przyjaciół, profesor Tabert zwrócił uwagę na pewną legendę, z którą związany jest ten przedmiot.

– Legendę? – zapytał Quincy.

– Zgadza się, legendę. To niesamowite, co zaraz panom powiem. Dzięki temu ten przedmiot staje się jeszcze bardziej wartościowy i intrygujący. Niecodzienny. Arcyciekawy.

Na twarzach Quincy'ego i Michaela pojawiało się coraz więcej zmarszczek, kiedy w zdziwieniu wyczekiwali dalszej części niesamowitej opowieści, którą snuł stary Schultz.

– Otóż, legenda głosi, że na początku były dwa duchy: Ormuzd – Ahura Mazda i Aryman – Angra Mainju. Ormuzd przebywał w górze, w nieskończonym blasku. Aryman w dole, w mroku nieprzeniknionym.

Wszystko co dobre: mądrość, prawość, jasność, piękno – zawarte było w Ormuzdzie, wszystko co złe, w Arymanie. I tak było od nieskończoności. Aryman pragnął zapanować nad światem. Od niepamiętnych czasów toczyli więc ze sobą wojny, trwało to wieki wieków. Ormuzd jednak przemądry rzucił w niego słowem modlitwy, które odebrało siły władcy ciemności, tak, że spadł w przepaść i przebywał tam przez tysiące lat.

– I to koniec?

– W zasadzie i koniec i początek, mości panowie. Na kanwie tej legendy powstała inna, nie mniej fascynująca. Otóż jak dobrze wiecie, na świecie zasadniczo rozróżniamy dwie grupy ludzi: dobrych i złych. Tak więc ci, którzy kroczyli mrocznymi ścieżkami, stali się wyznawcami Arymana. Uważali, że jego moc i chwała nie przeminęły, a jedynie zostały na jakiś czas uśpione. Wedle ich podań, Aryman został strącony w przepaść zaś jego moc zaklęta w Insygniach Nocy.

– Insygniach Nocy?! – zgodnym chórem zawołali Quincy i Michael.

– Tak, Insygniach Nocy. Wedle starożytnych manuskryptów wokół Arymana wykształciła się niemała grupa wyznawców, nazywająca samych siebie Dziećmi Nocy. Wierzyli oni, że ich pan w cudowny sposób odrodzi się 'na skrzydłach ognia', jak głoszą podania, cokolwiek ma to znaczyć. Moc ich mrocznego mistrza miała zostać zaklęta w Insygniach Nocy. Były to trzy przedmioty, nasycone magiczną mocą. Pierścień, naszyjnik i sztylet,

które symbolizowały władzę, potęgę i śmierć.

– Zalewa pan... To znaczy – zrewidował swoje słownictwo Michael – raczy pan sobie żartować, tak? Nie próbuje mi pan chyba wmówić, że mamy tu do czynienia z jakimś okultyzmem, czarami i starożytną magią?

– Uwierzy pan, w co zechce. To, co opowiadam, to tylko legenda. Ale to jeszcze nie jej koniec. Zapiski mówią także o wybrańcu, który zostanie wydzielony spośród kroczących ścieżką Arymana. Wedle wierzeń tej grupy ludzi, ich pan odrodzi się jeszcze potężniejszy i zawładnie światem.

– W jaki sposób miałby się odrodzić? To było tysiące lat temu...

– Według legendy Mroczny Pan – Angra Mainju zreinkarnuje się w ciele osoby, która zdoła zgromadzić wszystkie trzy Insygnia. Dzięki nim zyska nieograniczoną moc i nieśmiertelność.

Szczęki słuchaczy były szeroko rozdziawione, kiedy stary Schultz zawiesił głos. Pierwszy odezwał się Quincy, zwracając się do O'Reary'ego:

– Pamiętasz wczorajszy wieczór? Pamiętasz, co powiedział? 'Od zawsze należał do mnie. Dzięki niemu odzyskam pełnię sił'.

O'Reary utkwiał wzrok gdzieś na ścianie znajdującej się za plecami jubilera.

– Zobacz, co to się porobiło Quincy. Starożytni bogowie chadzają po ziemi.

– Przepraszam, o czym panowie rozmawiają? –

pytanie Schultza wyrwało Michaela z transu – Dobrze się pan czuje?

– Nic nic, tak tylko dyskutujemy. Wszystko... ze... mną w porządku. Czy to koniec legendy?

– Tak, w zasadzie to koniec. Czy satysfakcjonują panów informacje, które udało mi się zdobyć?

– Aż nadto, niech pan mi wierzy.

Quincy'emu jednak wciąż coś nie dawało spokoju.

– Jeśli mógłbym o coś zapytać... Jak pan mówił wcześniej? O tym Arymanie... Jak brzmiało jego pełne imię?

– Angra Mainju. Cieszę się, że wykazuje pan takie zainteresowanie tematem.

Quincy zamyślił się na chwilę. W pewnym momencie, błyskotliwa myśl przeszła mu umysł, niczym strzała.

List, imię, zagadka, Angra Mainju. Wszystko układało się w całość.

– To chyba wszystko, czego potrzebowaliśmy, prawda Michael?

– Tak? Ach, tak. Nie będziemy już panu zawracać głowy. Dziękujemy za cenne informacje. Czy... jeśli mogę zapytać... czy naszyjnik będzie bezpieczny w muzeum?

– Tak, myślę, że niektórzy z profesorów z chęcią jeszcze mu się przyjrzą.

– W takim razie niech ma pan na niego oko i dopilnuje, żeby poza pana zaufanymi przyjaciółmi nikt się

o nim nie dowiedział. W stosownym czasie wynagrodzę to panu.

– Robię to z przyjemnością, proszę mi wierzyć.

– Do widzenia zatem!

– Do widzenia panowie!

Z zaplecza sklepu Schultza wrócili prosto do samochodu Michaela.

Mieli już odjeżdżać, kiedy O'Reary zapytał:

– A ty coś taki dociekliwy, co się tak dopytywałeś o tego Armana?

– ARYmana. Nie kapujesz, czy nie słuchałeś tego, co mówił staruszek?

– Ale czego?

– Angra Mainju. Nie mówi ci to nic?

– Nie.

– Masz kawałek papieru?

O'Reary sięgnął do schowka i wyciągnął z niego niewielki notes i zużyty już nieco ołówek.

– A teraz patrz – powiedział Quincy.

O'Reary uważnie śledził wszystkie ruchy ołówka po kartce papieru. U góry arkusika Quincy zapisał drukowanymi literami:

ANGRA MAINJU

Następnie zaczął wykreślać kolejne litery, poczynając od 'J' i zapisując je kilka linijek niżej w innej kolejności. Kiedy skończył, szczeka Michaela zdawała się być jeszcze niżej, niż podczas opowieści Schultza.

Przestawione litery ułożyły się w bliźniacze, znajomo

brzmiące imię i nazwisko:

RAGAN JUMAIN

– Teraz rozumiesz?

– Neeeeeeeeee... To zwyczajnie nie może być prawda!

– Jak dla mnie wszystko trzyma się kupy – powiedział Quincy.

– Nie wiem jak ty, Quincy, ale ja nigdy nie wierzyłem w żadnego boga. Tym bardziej takiego z czasów starożytnej Persji.

– Życie. Chyba będzie pan musiał zacząć coś wierzyć.

– Kurrrrrrrwa!

– No już, nie denerwuj się tak – powiedział spokojnie Quincy.

Ale O'Reary nie był zdenerwowany z powodu tego, co powiedział chłopak. Spojrzał w lusterko znajdujące się pomiędzy nimi. Obejrzał się przez ramię.

– O co chodzi? Co się dzieje?

– Wygląda na to, że gryzipiórki Robertsona nas śledziły! Zwijamy się stąd – powiedział to i w tym samym momencie uruchomił silnik. Dodał gazu, strzelił ze sprzęgła. Koła pod nimi zaboksowały na miękkiej nawierzchni, po czym auto wyrwało do przodu rozrzucając za sobą kamienie i kawałki żwiru.

ROZDZIAŁ V

"MIEĆ SPRAWY WE WŁASNYCH RĘKACH"

Rzędowa ósemka warczała pod maską samochodu, wydając z siebie głośniejsze pomruki, gdy O'Reary raz po raz przyciskał pedał gazu do podłogi. Ścigające ich auto ani na chwilę nie zniknęło ze wstecznego lusterka. Pędząc jak oszalały O'Reary zręcznie manewrował pomiędzy coraz to ciaśniejszymi uliczkami Caladonu mając nadzieję, że zgubi prześladowców. Lakierowane na czarno Volvo nie odstępowało ich ani na krok.

– Cholera jasna, że też nie przewidziałem tego wcześniej!

– Daj spokój, nie mogłeś wiedzieć, że... – zaczął Quincy i w tym samym momencie tył auta gwałtownie podskoczył na skutek silnego uderzenia pojazdu z tyłu.

O'Reary pokonał kilka skrzyżowań ze wskazówką prędkościomierza daleko od setki. Następnie skręcił na przedmieścia. Miał nadzieję, że wśród krętych uliczek osiedli i pomiędzy budynkami domostw łatwiej będzie pozbyć się ogona. Spojrzał jeszcze raz w lusterko wsteczne.

– Schył się Quincy! – krzyknął Michael.

Nie pytając o nic, Quincy posłusznie wykonał polecenie. Chwilę później oboje usłyszeli huk wystrzału i

na ich opuszczone głowy posypały się kryształki potłuczonej szyby.

– Trzymaj głowę nisko! – krzyczał O'Reary – I nie wychylaj się!

Quincy nie miał najmniejszego zamiaru polemizować z Michael'em.

– Albo nie, wstawaj. Bierz pistolet i oddaj sukinsynom, co im się należy!

– Jak to, mam strzelać do policjantów? – powiedział zdziwiony Quincy wytrzeszczając oczy.

– Czy my policjanci tak się zachowujemy? Skąd ci przyszło do głowy, że to gliny? To jakieś pętaki, których przysłał Robertson. Zdaje się, że ten, który prowadzi, to jego osobisty asystent. Właduj w skurwieli cały magazynek! No dalej, na co czekasz!

Choć dłonie Quincy'ego zachowywały się w tym momencie jak dwa drewniane kloce, spróbował wycelować. Strzelił, odrzut niemalże wytrącił mu pistolet z rąk.

– Uważaj, ta zabawka ma niezłego kopa!

Quincy jeszcze raz skierował broń w stronę goniącego ich auta, tym razem pewniej i silniej zaciskając palce na rękojeści. Wypalił kilka razy. Kilka kul trafiło w przednią część auta. Magazynek był pusty.

– Jak tam, ustrzelełeś cokolwiek? – dopytywał się O'Reary ani na chwilę nie zwalniając.

– Eeee... nie wiem. Wnosząc po kłębach dymu wydobywających się spod maski tego auta, chyba tak –

powiedział z nieukrywaną dumą w głosie Quincy.

– Załatwiłeś im chłodnicę, nieźle młody! – pochwalił go O'Reary – Jeszcze będą z ciebie ludzie. A teraz zwijamy się. Pojedziemy do Adamsa, teraz nikt nas nie śledzi, będziemy na jakiś czas bezpieczni.

Reszta podróży upłynęła im w milczeniu. Quincy próbował uspokoić nerwy. Jeszcze przez dłuższą chwilę nie mógł uwierzyć, że strzelał do policjantów. Mógł przecież kogoś zabić! Teraz, gdy o tym pomyślał, jego czoło oblał zimny pot. Jeszcze nie tak dawno starał się oczyścić z zarzutów dotyczących śmierci kilku osób, a teraz... Wolał nie myśleć, do czego może doprowadzić dłuższa znajomość z O'Rearym.

Auto zatrzymało się za domem Adamsa. Zapukali w drzwi od strony ogródka, żeby nie rzucać się w oczy wścibskim sąsiadom. O ile można mówić o nie rzucaniu się w oczy w samochodzie podziurawionym od kul. Adams zaprosił ich do środka nie pytając o nic i szybko zamknął drzwi. Po tym poznać można prawdziwego przyjaciela: nie żali się na porę, ani okoliczności, nie pyta o nic i zawsze jest skory do pomocy. Znaleźć dobrego przyjaciela, to znaczy żyć w prawdziwym bogactwie.

Dopiero kiedy znaleźli się w salonie Adams spojrzał na nich tak jak matka patrzy na swoje dzieci, kiedy zrobią coś niewłaściwie. Pokręcił głową.

– No co?! – nie mieliśmy innego wyjścia, musieliśmy przyjechać do ciebie.

Adams zaśmiał się tylko.

– A czy ja coś mówię... Co się stało z twoim autem? Wygląda jak sito.

– To ludzie Robertsona. Śledzili nas i najwidoczniej chcieli się nas pozbyć – powiedział O'Reary.

– Robertsona? A coście zmalowali, że Robertson was ściga?

O'Reary i Quincy dokładnie opowiedzieli mu, jaki przebieg miała wizyta u Schultza i czego się dowiedzieli.

– No to ładnie. Zacząłeś węszyć, Robertsonowi to się nie spodobało i próbował was sprzątnąć. Tylko jak to wszystko się łączy? – zapytał Adams.

– Sam chciałbym wiedzieć – powiedział Quincy. – Czy to możliwe, że tego Robertsona łączy coś z Jumainem? Dlaczego jego prawnik miałby opłacać dom, w którym kiedyś on mieszkał?

– Nie wiem. Niewykluczone, że ma związek z tymi wszystkimi morderstwami.

– Zaraz zaraz, panowie. A co z tą biżuterią? Nawet, jeśli Robertson, Jumain i to wszystko ma ze sobą coś wspólnego, dlaczego nie zgarnął naszyjnika od starego Schultza? To starzec, nawet by się nie bronił.

– Tego też nie wiemy. Ale skoro wysłał za nami swoich ludzi, oznacza to, że nie chce, żebyśmy dowiedzieli się więcej. My jednak nie zamierzamy tak łatwo się poddać, prawda panowie? – zapytał O'Reary wcale nie będąc pewnym odpowiedzi.

– Możesz na mnie liczyć – powiedział Adams bez wahania.

– A ty? – Michael przeniósł wzrok na Quincy'ego.

– A mam jakiś wybór? Jacyś ludzie, których nawet nie znam, próbują mnie zabić. Chyba nie mam wyjścia.

– Cieszę się, że tak ochoczo chcesz nam pomóc – zażartował Adams. – O kurwa – powiedział po chwili, a wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Uśmiech zszedł z jego ust.

– Co takiego? – zapytał zaniepokojony Quincy. Miał już dosyć złych wiadomości, gdyż przyszłość wcale nie malowała się różowo.

– Zastanówcie się. Teraz to Robertson rozdaje karty. Ty stałeś się wrogiem publicznym numer jeden – rzekł Adams wskazując O'Reary'ego. – Zapomniałeś tylko o asie, którego grubas trzyma w rękawie i którego prędzej, czy później użyje.

– Dziewczyna – powiedział po chwili Michael, a Quincy w tym samym momencie poczuł, jak robi mu się słabo.

– Musimy ją ratować! Zróbcie coś, wymyślcie, jesteście policjantami! – krzyczał spanikowany Quincy.

– Uspokój się młody. Krzykami jej nie pomożesz. – Adams próbował pohamować emocje. – Zastanówmy się na spokojnie. Jeśli będziemy działać szybko, może nam się udać.

– Ale o czym ty mówisz, Adams? Widziałem, jak dobrze jest pilnowana, nie uda nam się.

– Pomyśl trochę. Teraz albo nigdy. Teraz jest najlepszy moment na bohaterskie uratowanie naszej

białogłowej przez rycerza w lśniącej zbroi. Nie będą się tego spodziewać. Będą po nas oczekiwać, że schowamy głowy w piasek i nie będziemy się wychylać. Mówię ci, według mnie teraz jest właściwy moment na porządne pierdolnięcie temu spaślakowi po łapskach!

– Myślisz? – zapytał bez przekonania Michael.

– Nie ma się co zastanawiać, czas działa na naszą niekorzyść. Najlepiej załatwić to od razu.

– Ale jak? Masz jakiś pomysł?

Nie po raz pierwszy O'Reary dostrzegł w oku Adamsa ten niesamowity błysk, iskrę, która momentalnie utwierdziła go w przekonaniu, że w głowie jego starego przyjaciela zrodził się nie byle jaki pomysł.

– Zabiorę kilka gadżetów i zbieramy się – powiedział Adams – A ty zostajesz chłopcze.

Quincy protestował.

– Ale jak to?! Muszę jechać z wami!

O'Reary zgodził się z przyjacielem.

– Chyba faktycznie będzie lepiej, jak zostaniesz. Może być gorąco, sam rozumiesz... musimy przypilnować, żeby Jane wróciła tu cała i zdrowa...

– Tak tak, kochasiu... – krzyknął Adams z głębi pokoju. – Już dałeś popis swojego zachowania. Zostajesz, postanowione.

Gdy zjawił się w salonie w ręku miał dużą, skórzaną torbę.

– Mam co trzeba. Idziemy.

– Ale chyba weźmiemy twoje auto, co? – zapytał

O'Reary. Wymienili spojrzenia i roześmiali się obaj.

– Nie martw się, wrócimy niedługo.

Ktokolwiek zna życie wie, że te słowa bynajmniej nie brzmią uspokajająco. Raz zasiana wątpliwość rozrasta się w umyśle, kiełkuje i zapuszcza korzenie głęboko. Umysł Quincy'ego był szczególnie żyznym gruntem. W duchu modlił się o pomyślny przebieg całego przedsięwzięcia, jakim było odbicie Jane z niewoli.

Czas wlekł się niesamowicie. Po upływie dwóch godzin Quincy usłyszał pomruk silnika parkującego na podjeździe. Poczł jak przyspiesza mu tętno, a napięcie pulsuje w skroniach. Chwilę później, do domu weszli Adams i Michael, obydwaj w szampańskich nastrojach.

– I jak? Jak poszło? – dopytywał się zdenerwowany Quincy.

– Włącz telewizor, to się dowiesz, hehe, daliśmy im popalić, co nie Michael? – dobry humor ani na chwilę nie opuszczał mężczyzn i wcale nie kwapili się, aby odpowiadać na pytania podekscytowanego młodzieńca.

– Mówcie! Udało się?!

– Dobra już, młody, bo ci pikawa wysiądzie.

W chwili, gdy Adams kończył to zdanie, drzwi za nimi skrzypnęły, a w chwilę później we wnętrzu mieszkania pojawiła się Jane, cała i zdrowa. W oczach Quincy'ego cała scena rozgrywała się jakby w zwolnionym tempie. Kiedy się otrząsnął, niewiele myśląc podbiegł do dziewczyny i ścisnął ją z całych sił obejmując ramionami i przyciągając do siebie.

– Umierałem tu ze zmartwienia, wiesz? – powiedział szeptem rozemocjonowany Quincy.

Adams i O'Reary wymienili spojrzenia. Wreszcie przeciągając się ciszę przerwał pierwszy z nich.

– Dobrze, gołąbeczki, później będziecie miały chwilę dla siebie, a teraz patrzcie, jak wujaszek Adams załatwił tych skurwieli – zanim Quincy zdołał zwrócić uwagę na słownictwo nie przystające do towarzystwa młodej kobiety, Adams włączył telewizor i wskazał im miejsce na kanapie – już kiedy wracaliśmy mówili o tym w radiu.

W telewizorze nadawali właśnie program informacyjny. Komunikat nadawany na żywo sprzed jakiegoś budynku, najprawdopodobniej hotelu, mówił o dwóch niezidentyfikowanych sprawcach, którzy przedarli się niezauważenie do budynku i użyli gazu bojowego, w wyniku czego cały hotel został ewakuowany. Rzecznik policji wypowiadał się, że był to celowo przeprowadzony zamach terrorystyczny, w wyniku którego porwano ważnego świadka biorącego udział w toczącym się śledztwie.

– Zamach terrorystyczny! A to dobre! – śmiał się Adams.

– Narozrabiałeś stary, nie ma co – powiedział O'Reary.

Quincy nie wierzył własnym uszom. Gdyby coś stało się Jane... Nie darowałby im. W tym momencie wymownie spojrzął na obu mężczyzn.

– A temu o co chodzi? – zapytał się ze zdziwieniem

Adams. – Chciałeś swoją ukochaną, no to masz. A teraz chodźcie gołąbeczki, pokażę wam wasze gniazdko, hehehehe.

Rzeczywiście, zarówno Jane, jak i Quincy mieli dosyć wrażeń jak na jeden dzień. I choć pora była jeszcze wczesna, oboje odczuwali zmęczenie. Adams wskazał im drzwi do pokoju i powiedział tylko:

– Tu sobie możecie wypocząć, gołąbeczki – po czym porozumiewawczo puścił oko w stronę Quincy’ego. Gdy weszli do pokoju ich oczom ukazało się gustownie urządzone wnętrze. Oboje usiedli na łóżku. Jane usiadła na miękkiej pościeli, zaś Quincy tuż obok niej. Kobieta westchnęła głośno.

– Wiem, że jesteś zmęczona, rozumiem przez co przeszłaś – spojrzał jej głęboko w oczy, próbując zdobyć się na odwagę, aby wypowiedzieć słowa, które tłoczyły mu się w umyśle, a które nie przychodziły mu lekko – ale chciałbym żebyś wiedziała jedno. Strasznie za Tobą tęskniłem, martwiłem się o ciebie. Gdyby coś ci się stało... nie darowałbym sobie – Quincy był wyraźnie podekscytowany. Emocje zrobiły swoje i buzująca w żyłach gorąca krew sprawiła, że zdobywał się na rzeczy, których zwyczajnie by się wstydził.

Chwycił Jane za dłoń. Poczul jak ich palce splatają się w delikatnym uścisku.

– Ja też za tobą tęskniłam – były to pierwsze słowa Jane od momentu pojawienia się w domu Adamsa. Podziały na Quincy’ego elektryzująco.

Bywają w życiu takie momenty, kiedy umysł już nie włada ciałem. Wtedy to, co mówimy lub robimy jest spontaniczne, wypływa z czystej chęci i pragnienia. Są to momenty w których wypowiada się najtrudniejsze słowa. W tym momencie i Quincy postawił wszystko na jedną kartę.

– Kocham cię, Jane – gdy rozbrzmiały te słowa poczuł, jak na twarzy wystąpił mu rumieniec. Palce Jane zacisnęły się mocniej na jego dłoni, a on poczuł, jak jego ciało przechodzą dreszcze. Quincy opuścił głowę i czekał na rozwój sytuacji. Był rozdarty, od tak dawna pragnął wypowiedzieć te słowa, lecz w tej konkretnej chwili pragnął je jeszcze pochwycić, cofnąć i sprawić, by nigdy nie opuściły jego serca.

– Ja ciebie też kocham Quincy.

Kiedy ich spojrzenia spotkały się, wszelka niepewność i wątpliwości odeszły w niepamięć. Teraz oboje byli pewni swoich uczuć i tego, co za chwilę się stanie. Quincy delikatnym ruchem ręki wsunął palce w aksamitne włosy Jane i przyciągnął jej głowę do siebie. Chwilę później ich usta spotkały się w pocałunku.

Kiedy całujesz kobietę, o której marzysz, cały świat przestaje istnieć. Quincy powoli, a zarazem łakomie smakował usta Jane, powstrzymując żądze. Chciał, aby ten moment trwał jak najdłużej. Delikatnie muskał wydatne wargi kobiety. Dłonią gładził jej miękkie włosy czerpiąc przyjemność z każdej kolejnej upływającej sekundy. Ich oddechy przyspieszały. Jeżeli jakikolwiek

moment tkwi w pamięci mężczyzny przez resztę życia, jest to chwila kiedy po raz pierwszy rozbierze ukochaną kobietę. Quincy nigdy nie zapomni koloru i smaku delikatnej skóry Jane, kiedy zsunął z niej białą, jedwabną bluzkę.

* * *

Miękkie światło księżyca wpadało do wnętrza pokoju przez nieosłonięte okno. Mimo, iż był środek nocy, oboje z Jane nie spali. Quincy obserwował jej piersi falujące na skutek niespokojnego jeszcze, urywanego oddechu. Uśmiechnął się.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała Jane.

– Nie śmieję się, uśmiecham.

– To jest jakaś różnica? – zapytała Jane i sama roześmiała się słodko. Quincy przysunął się najbliżej jak mógł.

– Oczywiście. Uśmiecham się, bo mi dobrze i jestem szczęśliwy – mówił do niej szeptem. – Jeszcze jakiś czas temu wszystko to był jakimś koszmarem. Ja siedziałem w więzieniu, ty byłaś gdzieś daleko, Bóg wie gdzie... a teraz...

– A teraz, Quincy? Co się zmieniło? Ja dalej się boję. Cały czas myślę, że oboje jesteśmy w niebezpieczeństwie. Ten policjant i Adams... dużo rozmawiali o tym, kiedy tu jechaliśmy.

– Bardzo wiele się zmieniło Jane. Teraz już nie

odstąpię cię ani na krok – szepnął jej wprost do ucha.

I rzeczywiście: o wiele łatwiej znosić trudy i niepokoje mając przy sobie kogoś bliskiego. Świadomość, że uczucia, które łączą ją i Quincy'ego wreszcie zostały wyjaśnione dodawały Jane otuchy.

– Mam nadzieję, że wszystko jakoś się ułoży – powiedziała tylko, wtuliła się jeszcze mocniej w ramiona mężczyzny i Quincy słyszał, jak jej oddech stawał się spokojniejszy, coraz bardziej miarowy, aż wreszcie zasnęła.

On zaś jeszcze długo rozmyślał o wszelkich sprawach, które zaprzętały jego umysł. Przede wszystkim nie mógł uwierzyć w swoje niesamowite szczęście. Wreszcie był tak blisko z kobietą, którą kochał od dawna. Tej nocy wydawał się najszczęśliwszym facetem na Ziemi. Z drugiej strony dręczyły go dolegliwości, które wiązały się z odpowiedzialnością, która na niego spadła. Jane to była odpowiedzialność i wyzwanie, któremu był gotów stawić czoła. Kobieta taka jak ona, to prawdziwy skarb. A on jednej nocy stał się najbogatszym obywatelem Caladonu, a kto wie, może i całego świata.

Quincy otworzył oczy wraz z nadejściem świtu, kiedy promienie słońca bez pardonu wdarły się przez szerokie ramy okna. Przeciągnął się na łóżku i ze zdziwieniem spostrzegł, że jest w pokoju sam. W pierwszej chwili pomyślał, że cały wczorajszy dzień i noc, to jakiś słodko-gorzki sen, który przyśnił mu się nocą. Kiedy umysł nieco otrzeźwiał, a myśli nieco się poukładały,

usiadł na łóżku, przetarł oczy, ubrał się i udał się do kuchni, skąd dobiegał zapach kawy.

W miejscu, z którego dobiegał zapach zastał dwóch mężczyzn – O'Reary'ego i Adamsa i Jane. Adams w pierwszym momencie chciał rzucić w kierunku młodzieńca jakimś głupawym tekstem, ale powstrzymał się, gdy zauważył nieme spojrzenia Quincy'ego i Jane, które zdradzały wszystko.

– Ok, w takim razie ja odpuszczam – powiedział tylko Adams i porozumiewawczo szturchnął Michaela łokciem.

Po skończonym śniadaniu O'Reary, który do tej pory się nie odzywał, zabrał głos. Przemawiał wolno, głębokim i poważnym tonem.

– Słuchajcie, rozmawialiśmy wczoraj z Adamsem, kiedy wy... kiedy wy opuściliście nas wczoraj wieczorem – widać było, że Michael szuka odpowiednich słów – musimy naradzić się, co zrobić dalej w sprawie z Jumainem i Robertsonem.

Tym razem odezwał się Quincy.

– A co mamy zrobić? Policja jak widać nie ma nic przeciwko postępowaniu Jumaina. Bynajmniej nie mówię o tobie – dodał naprędce, gdy zauważył zmieniający się wyraz twarzy Michaela – Jane jest z nami, cała i bezpieczna. Wydaje mi się, że nasza robota jest skończona.

– Wydaje ci się, że możesz z całej sprawy zrezygnować ot tak? W takim razie bardzo się mylisz,

młodzieńcze – zaprotestował Adams. – Tkwisz w tym głęboko po uszy, tak samo jak my. I nie łudź się, teraz, gdy wszystkie karty są na stole, ani Robertson, ani Jumain nam nie odpuszczą. Nikt z naszej czwórki nie jest bezpieczny dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana.

– Zgadza się – przejął rolę mówcy O'Reary. – I dlatego musimy działać. I kiedy mówię działać mam to naprawdę na myśli. Musimy być sprytni, być o krok przed przeciwnikiem, przewidywać, oczywiście w miarę możliwości, jego ruchy i spróbować zdobyć jakąkolwiek przewagę, bo do tej pory to my byliśmy w odwrocie, a oni w natarciu.

Quincy tylko pytająco spojrział to na Adamsa, to na Jane, która poza tym, że uroczo się do niego uśmiechnęła, wzruszyła tylko ramionami.

– Mamy jakiś plan? – zapytał nieśmiało Quincy.

– Jak mówiłem, musimy zdobyć jakąś przewagę, a tą przewagę może nam zapewnić to – powiedział O'Reary po czym rzucił na środek stołu czarną książeczkę, którą swego czasu Quincy odnalazł w domu za miastem, podczas nocnej misji z Michaeliem. Zupełnie o niej zapomniał.

– Dzięki temu, że Adams cierpi na chroniczną bezsenność... zresztą, sam powiedz.

– Znalazłem coś, sam nie wiem co to może oznaczać. Ten zeszyt, te zapiski, są prowadzone w formie jakby pamiętnika, dziennika. Oprócz różnych, jak dla mnie bezsensownych notatek, zauważyłem pewną ciekawostkę.

Co jakiś czas, mniej więcej co miesiąc powtarza się tam pewien adres, kilka liczb. Okazuje się, że autor był nieco nadgorliwy i jeden z takich wpisów został tam zanotowany naprzód, z dzisiejszą datą.

Quincy i Jane przejrzeni dziennik i próbowali cokolwiek zrozumieć z tych enigmatycznych zapisków. A nie było to łatwe zadanie. W zasadzie ograniczały się one do zanotowania powtarzającego się adresu i dziwnych, niezrozumiałych liczb, jak np. 'sto czterdzieści', 'minus pięć', czy 'przybyło 4'.

– Chyba nie chcecie tam pojechać? – zapytał Quincy, ale pożałował, że zadał to pytanie, bo domyślał się odpowiedzi.

Adams zaśmiał się gromko.

– Ależ oczywiście, że chcemy. Powiem więcej: powinniśmy. Sprawdziłem ten adres na planach miasta, to jakiś stary, opuszczony magazyn. Kiedyś służył za hangar lotniczy, teraz to podobno nieużytek, ale zobaczymy.

– Wiedziałem – powiedział pod nosem Quincy i jego twarz przybrała wyraz zmartwienia. Teraz, kiedy wszystko zaczynało się układać, znów musieli zaryzykować. Jane chyba czytała w jego myślach i zauważyła jego zmartwienie. Położyła swoją dłoń na jego ramieniu i zacisnęła lekko.

– Nie martw się – próbował pocieszyć go O'Reary – pomęczymy się jeszcze trochę i wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Mamy jakiś plan? – po raz drugi zadał to samo

pytanie Quincy.

– Jeszcze nie, ale mamy niewiele czasu, a musimy się poważnie przygotować. To już nie przelewki. To nie zabawa w chowanego z chłopaczkami Robertsona. Jeśli dobrze rozumiem, wybieramy się prosto do jaskini lwa.

– Dzięki za pocieszenie – burknął pod nosem Quincy.

– Nie czas na fochy. Musimy się naprawdę poważnie nad tym zastanowić. Rozplanować wszystko. Przede wszystkim potrzebujemy sprzętu i nowego auta.

– Czyli krótko mówiąc: forsy – podsumował Adams.

– Mam trochę, ale niewiele tego. A ty? – rzucił w stronę Michaela.

– Coś tam się znajdzie, ale jeśli mamy być dobrze przygotowani, będziemy potrzebowali znacznie więcej.

Quincy w tym momencie walczył z własnymi wątpliwościami. Zastanawiał się, czy przerwać ten moment niepewności i zdradzić informację o małej fortunie zgromadzonej na jego rachunku bankowym. W jednej chwili jego myśli skierowały się na osobę jego starego przyjaciela, dzięki któremu zawdzięczał to bogactwo. Jak bardzo o nim zapomniał w wirze wydarzeń. Powinien był dać jakikolwiek znak życia, zadzwonić, napisać, cokolwiek... Teraz zupełnie odbiegł myślami. Rozważał, jak w tej sytuacji zachowałby się Bill. Doszedł do jednego wniosku. Nie warto zastanawiać się ani chwili dłużej. Jeśli przyjdzie mu zginąć, bo i taką ewentualność brał pod uwagę, albo zestarzeć się w więzieniu za zbrodnie, których nie popełnił, te pieniądze na nic mu się

nie przydadzą. Jeśli zaś w jakiś sposób mogą przyczynić się do tego, żeby zapewnić bezpieczeństwo sobie i Jane, musiał zaryzykować. Pomyślał sobie, że w jakiś sposób duch starego przyjaciela wciąż nad nim czuwa i jeżeli to ma być droga do wolności i szczęścia – to musi zaryzykować.

– Wiem, skąd wziąć pieniądze – powiedział zupełnie nie zważając, że przez dłuższą chwilę rozmowa toczyła się już bez niego i toczyła się teraz o zupełnie innych torach. Dwaj mężczyźni siedzący obok spojrzeli na niego z niekrytym zdziwieniem.

– Co takiego? – zapytał Michael.

– Powiedziałem, że wiem, skąd wziąć pieniądze.

– I niby skąd? – zapytał ironicznie Adams.

– Z banku. Mam... mam odłożone trochę gotówki na czarną godzinę.

– Trochę, to znaczy ile? – Adams domagał się szczegółów, konkretów, ale jego wścibstwo powoli już zaczynało irytować Quincy'ego.

– Każdy grosz się w tej chwili przyda więc wystarczająco – odgryzł się. – Dziesięć tysięcy dolarów – skłamał, czego natychmiast zaczął żałować, ale wolał nie odsłaniać wszystkich kart od razu. Mimo wszystko... wolał mieć jakieś zabezpieczenie, gdyby coś poszło nie tak.

– No to nieźle, młody! Hoho, kto by się spodziewał po tobie!

W Quincym zawrzało. Miał odpowiedzieć coś o wiele

bardziej niegrzecznego, ale wziął poprawkę na obecność Jane i postanowił powstrzymać się. Jeszcze nadarzy się okazja.

– Nie ma się z czego cieszyć – powiedział tylko chłopak. – Lepiej się zastanówcie, jak to wszystko zorganizować. Ja mam pewną rzecz do zrobienia – powiedział i udał się do pokoju, w którym spędził noc.

Quincy wrócił do pokoju z zamiarem napisania kilku słów do swojego starego przyjaciela – Billa. Kiedy jednak wyjął i położył przed sobą arkusz papieru i wziął do ręki długopis, myśli jakoś odeszły i zabrakło mu słów, które chciałby przekazać swojemu dawnemu towarzyszowi. Zastanowiwszy się chwilę dłużej najpierw chciał napisać o wszystkich burzliwych wydarzeniach, które miały miejsce w ostatnich dniach. Po kolejnej chwili namysłu doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jak część informacji zachowa dla siebie w sekrecie, a jego przyjaciel ucieszy się z krótkiego listu, pełnego dobrych wieści i pozdrowień i zapewnienia, że wszystko jest w absolutnym porządku. Drżącą ręką Quincy przyłożył długopis do kartki i zaczął pisać:

Drogi Billu!

Dawno już powinienem do Ciebie napisać. Wstyd mi teraz przed Tobą, stary przyjacielu, że nie zrobiłem tego wcześniej. Jednakże tyle się ostatnio działo w moim życiu, że ciężko mi było znaleźć chwilę, żeby przysiąść i skrobnąć do Ciebie kilka słów.

W końcu jednak, kiedy odnalazłem chwilę spokoju,

niezwłocznie chwyciłem za papier, czego efektem jest ten list.

Ciekaw jestem niezmiernie, co u Ciebie. Czy tam, gdzie jesteś i wśród osób, z którymi przebywasz, odnalazłeś szczęście i spokój, którego tak długo szukałeś. Mam nadzieję, że w najbliższym czasie będzie dane nam się spotkać i porozmawiać o wszystkim, co miało miejsce od naszego ostatniego wspólnego wieczoru.

Pragnąc zaspokoić Twoją ciekawość na temat tego, co w moim życiu, wiedz, że u mnie wszystko w porządku, a te sprawy, które nieco mnie niepokoją niezbyt się nadają, żeby je rozwlekać w liście. Najlepiej byłoby porozmawiać w cztery oczy, jak za starych, dobrych lat!

Musisz wiedzieć, że wreszcie odnalazłem w swoim życiu prawdziwą miłość i z coraz większą nadzieją spoglądam w przyszłość. Nie uwierzysz mi zapewne, że to kobieta, o której nierzadko słyszałeś i sam żartobliwie nazywałeś Gołąbeczką. Sam jeszcze do końca w to nie wierzę, ale szczęście nie pozwala mi otrzeźwieć i realnie spojrzeć na świat.

Raz jeszcze winien jestem Ci podziękować za pieniądze, które mi podarowałeś. Dotąd korzystałem z nich z umiarem, jednakże okoliczności życiowe zmuszają mnie do wydania pewnej sumy, możesz być jednak spokojny, nie będzie to marnotrawstwo, a dobrze spożytkowane pieniądze, mogę Cię zapewnić. Sumienie podpowiada mi, że powinienem Ci o tym napisać, chociaż wiem, że był to szczery podarunek, którego mi nigdy nie

wypomnisz.

Mam też nadzieję, że list ten zastanie Cię w dobrym zdrowiu. Nic na tym świecie nie jest tyle warte co zdrowie i spokojne, szczęśliwe życie. Chciałbym myśleć, że ciągle jesteś w pełni sił i korzystasz z wszelkich uroków życia.

Z niecierpliwością będę oczekiwał jakiegokolwiek odpowiedzi od Ciebie, oczywiście zrozumiem, jeżeli pochłonięty będziesz swoimi sprawami i nie nastąpi to zbyt szybko. Sam zbytnio nie kwapiłem się do tego, żeby napisać, ale cóż – jakie jest życie, Ty chyba wiesz najlepiej i nie muszę Ci tego tłumaczyć.

Powoli kończąc list, życzę wszystkiego dobrego, wiedz, że zawsze mam Cię w pamięci, przyjacielu i nie sądzę, żeby to się w najbliższym czasie zmieniło.

Byłbym zapomniał – Caladon jest piękny tej zimy jak nigdy – to kolejny pretekst, żebyś w wolnej chwili wpadł w odwiedziny.

Pozdrawiam serdecznie,
Twój wierny przyjaciel,
Quincy.

W pierwszej chwili Quincy chciał chwycić arkusz papieru, pognieść go i wyrzucić do kosza. Zły był na siebie, że musiał zataić część prawdy przed Billem. Miał nadzieję, że Bill będzie lepszym przyjacielem niż on i napisze w odpowiedzi kilka słów o tym, co faktycznie dzieje się w jego życiu, i że wybaczy mu zatajenie faktów, kiedy już dowie się, jak miały się sprawy faktycznie.

Gdzieś z kieszeni płaszcza Quincy wydobył skrawek

papieru z zanotowanym adresem, który zostawił mu Bill. Był to w zasadzie jedyny ślad, który mógł doprowadzić do niego. Oby okazał się trafny. W wolnej chwili będzie musiał odwiedzić urząd pocztowy i nadać przesyłkę do swojego przyjaciela. Jeszcze kiedy składał papier tak, aby zmieścił się do koperty, był z siebie dumny, że mimo małych kłamstw i zwłoki w pisaniu listu, wreszcie się na to zdecydował.

Gdy skończył pisać jeszcze przez dłuższy czas siedział w pustym pokoju zamyślony. Być może dlatego, że bał się wyjść na zewnątrz i stawić czoła wszystkim wydarzeniom, którym trzeba będzie sprostać tego dnia i pewnie następnego, o ile taki nadejdzie. Teraz już bał się tego naprawdę: że ten wieczór może być ostatni. Świadomość śmierci sprawiała, że już teraz czuł się jak trup.

Z rozmyślań wyrwało Quincy'ego ciche pukanie do drzwi i jeszcze zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć drzwi uchyliły się i do pokoju weszła Jane. Musiała zauważyć jego wyraz twarzy i odczytać z niej emocje, tak jak to tylko ona potrafiła robić. Kiedy usiadła znów poczuł wspaniały zapach jej perfum. Ujęła jego dłonie w delikatnym uścisku i Quincy zauważył, że zbiera się, aby coś powiedzieć, toteż sam nie odezwał się ani słowem.

– Coś cię trapi, Quincy? – zapytała wreszcie po krótkiej chwili.

– Sama wiesz, że ostatnio dużo się działo. Martwię się o ciebie. Teraz już o nas – nie musiał na nią patrzeć,

żeby wiedzieć, że się uśmiecha, kiedy wspomniał o nich.

– Wiem, ja też. Teraz już naprawdę. Chyba tak jest, że kiedy ma się kogoś, przybywa zarówno dobrych chwil, jak i trosk. Nie wyobrażam sobie, co by było gdyby...

– Nie kończ – przeszkodził jej Quincy.

– Może masz rację. Rozmawiałam chwilę z O'Rearym, to znaczy z Michaeliem, kiedy wyszedłeś. Powiedział, że wszystko będzie dobrze. To dobry człowiek. I to samo powiedział o tobie. Sądzę, że cię lubi.

– Przestań, nie powinienem tego mówić, ale to chyba ich standardowa gadka.

– A ja myślę, że to prawda. I wiesz co? Ja ciebie też lubię – to powiedziawszy cmoknęła go w policzek. Nim Quincy zdążył schwycić ją w objęcia wstała i niemal wybiegła z pokoju, zatrzymując się w drzwiach. – A teraz chodź. Zdaje się, że starszyzna coś ustaliła, prosili mnie, żebym tu po ciebie przyszła – powiedziała i zniknęła za zamykającymi się drzwiami.

* * *

W salonie panowała podniosła atmosfera. O'Reary i Adams dyskutowali żywo, ale gdy tylko zauważyli Quincy'ego wchodzącego do pokoju, dysputa ucichła i wszelkie spojrzenia skierowały się ku jego osobie, jakby to od niego zależało wszystko, co ma się wydarzyć.

– Siadaj, Quincy – wskazał mu miejsce na sofie Michael. – Musimy pogadać.

– Podjęliśmy wspólnie pewną decyzję – był to jeden z tych nielicznych momentów, kiedy i nawet Adams brzmiał poważnie.

– O co chodzi? – zapytał Quincy nie ukrywając zaciekawienia.

– Jane, proszę, Ty też usiądź – powiedział Michael w kierunku kobiety, która przyglądała się wszystkiemu z boku. – Potrzebujemy opinii was obojga.

Po tych słowach Quincy słuchał jeszcze bardziej uważnie niż kilka chwil temu. Rzeczywiście, cokolwiek ustalili O'Reary z Adamsem, musiało to mieć znaczenie, w innej sytuacji nie zachowywaliby się tak poważnie. Oboje z Jane spojrzeli po sobie ze zdziwieniem, nie wiedząc czego się spodziewać.

– Słuchamy zatem. Co to za sprawa?

– Chodzi o to, że... ech, ty gadaj, O'Reary, ja nie jestem najlepszy w tego typu gadkach.

– Posłuchajcie. Razem z Adamsem zauważyliśmy, że macie się ku sobie. Ty i Jane. My dwaj jesteśmy facetami po przejściach. Każdy z nas utracił coś albo na skutek własnych wyborów albo na skutek losu, opatrności, czy przeznaczenia, jak zwał, tak zwał. I powiem wam, że kiedy tak na was patrzę, coś się we mnie ruszyło. W Adamsie też, ale on się za cholere nie przyzna. Postanowiliśmy, że damy wam wybór. Jak wicie, to, co chcemy zrobić będzie ryzykowne. I niebezpieczne. Oprócz was w zasadzie nie ma komu zaufać, a pomocy będziemy potrzebowali na pewno. Jeżeli odmówicie,

zrozumiem. Sam nie wiem, jak postąpiłbym w takiej sytuacji jak ta. Wiem natomiast, że bez względu na waszą decyzję, dzisiejszy wieczór będzie decydujący. Wiele się wydarzy i wyjaśni.

– To na pewno. Posłuchaj, Michael – zabrał głos Quincy. – To nie jest tak, że nie chcę ci pomóc. Gdybym był w innej sytuacji... ale teraz – zawiesił głos i spojrzał na Jane – sam rozumiesz.

– Przypuszczałem, że odmówisz. Nic dziwnego, w końcu...

– Zaraz! Nie powiedziałem, że odmawiam! – zaprotestował Quincy. W tym momencie, ciężko było stwierdzić, kogo najbardziej Quincy zaskoczył tą wypowiedzią: Michaela, Adamsa, czy Jane.

– Więc zgadzasz się pomóc? Jedziesz tam z nami? – dopytywał się podekscytowany Adams.

– Tego też nie powiedziałem...

– A mówiłem ci, O'Reary, weź tu zrozum młodych.

– Ale muszę się zastanowić. Decyzje nie zależą już tylko ode mnie. Jane? Jak myślisz?

– Quincy... nie chciałabym decydować za ciebie. Wiesz, że tak nie można.

– Dobrze, widzę, że szykuje się dłuższa rozmowa – Adams spojrzał na zegarek. – Macie pół godziny czasu na pogaduszki i podjęcie decyzji, ja w tym czasie wykonam kilka niezbędnych telefonów, a O'Reary cholera wie czym się będzie zajmował. Za pół godziny kolejna narada w salonie.

Obaj mężczyźni wyszli, a Quincy został z Jane sam na sam. Spojrzał jej głęboko w oczy i zauważył, jak po policzku spływa jej łza.

– Nie płacz, Jane. W porządku, jeśli nie chcesz, to nie pojedę – pocieszał ją Quincy.

– Nie, to nie dlatego. To znaczy, tak, ze strachu też. Ale wzruszyłeś mnie, wiesz...

– Cóż ja takiego powiedziałem?

– Kochany jesteś, że tak liczysz się z moim zdaniem. Ale ja w żaden sposób nie mogę cię ograniczać. Cokolwiek postanowisz wiedz, że będę cię wspierać. To twoja decyzja i nie mogę na ciebie wpływać. Co by się nie działo, przejdziemy przez to razem.

Po wypowiedzi Jane, to Quincy był wyraźnie wzruszony. Z całych sił próbował powstrzymać łzy i był za to zły na siebie. Prawdziwy facet powinien czasami płakać. Prawdziwy facet powinien też...

– Jadę z nimi Jane. Prawdziwy mężczyzna powinien brać sprawy w swoje ręce. Zanim cokolwiek powiesz, posłuchaj mnie. Jeżeli mogę mieć jakikolwiek wpływ na to, co się będzie działo, chcę tam być. Jeśli tylko w jakiś sposób mogę przyczynić się do tego, żeby zapewnić nam bezpieczniejszą przyszłość, muszę postawić wszystko na jedną kartę. Musimy zaryzykować Jane, jeżeli im się nie uda... my wciąż będziemy w niebezpieczeństwie.

– Rozumiem. Jestem z ciebie dumna wiesz? Miałam nadzieję, że podejmiesz właściwą decyzję, choć nie mam kompletnego pojęcia jaka to decyzja. Teraz wydaje mi się,

że ta, którą właśnie podjąłeś.

– Być może. Mam głęboką nadzieję, że nie będziemy niczego żałować. A ty, Jane? Chcesz być tam z nami?

– Nie wysiedziałybym ani minuty bez ciebie, umarłabym z nerwów nie wiedząc, co tam się dzieje. Będę z wami.

– Dziękuję ci. Oby ryzyko się opłaciło – Quincy skinął głową i przyciągnął Jane do siebie. Objął ją ramieniem. Ciepło jej ciała dodawało mu otuchy. Jakże różnie jest we dwoje, gdy za oknem mroźny, zimowy dzień. Jakże pewniej czuje się człowiek wiedząc, że jego decyzje są akceptowane. Jak bardzo się boi wiedząc, że coś może się nie udać. Te wszystkie myśli i niepokoje krążyły po głowie Quincy’ego.

Kiedy razem z Jane udali się do gabinetu Adamsa zastali ich z O’Rearym w żywej dyskusji, która urwała się natychmiast po tym, jak ich zauważyli. Twarze obu mężczyzn przybrały pytający wyraz twarzy.

– Jesteśmy z wami – powiedział Quincy i poczuł jak te słowa napawają go dumą i jakąś niewypowiedzianą siłą.

– Jesteś pewien? – zapytał O’Reary doszukując się w słowach chłopaka choćby cienia wątpliwości.

– Jak nigdy w życiu. A teraz... chyba czas nas nagli.

– Ach tak – rzekł Adams. – Zdaje się, że mamy dużo do zrobienia. Po pierwsze, musimy zdobyć nowe auto, a najlepiej dwa. Po drugie – jakąś porządną broń, amunicję i niezbędny sprzęt. Mam nadzieję, że dalej oferujesz

swoje... zasoby?

– Możecie na mnie liczyć. Ale to oznacza wycieczkę do banku. Wszystkie pieniądze, które mam, znajdują się właśnie tam. Musimy się tam jakoś dostać.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak... zamówić taksówkę – powiedział Adams, spojrzawszy na O'Reary'ego, po czym oboje wybuchnęli śmiechem. Quincy zazdrościł im spokoju i opanowania, chociaż w głębi duszy czuł, że i ich zdenerwowanie nie opuszcza ani na chwilę.

Kiedy znaleźli się w budynku banku Quincy poprosił, aby Adams i Michael zostali przy wejściu, sam zaś udał się z Jane w kierunku mężczyzny, którego poznał podczas poprzedniej wizyty w tym miejscu, niejakiego Willoughsby'ego. Mężczyzna ten wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętał go Quincy – z dziwną manierą rozsiadał się w fotelu i nie szczędził gestów, które nijak nie pasowały do jego osoby. Całość formalności przy wypłacie takiej sumy pieniędzy zajęła nieco dłużej niż standardowa procedura, a to wszystko ze względów bezpieczeństwa, jak zapewniał pracownik banku. Quincy zaczął się już porządnie niecierpliwić, ale na szczęście po około dziesięciu minutach wędrował w kierunku wyjścia z okazałym pakiem banknotów w kieszeni płaszcza. Sprawiało to, że nieco się denerwował, czując na sobie spojrzenia wszystkich osób zgromadzonych w głównym hallu budynku. A może mu się tylko wydawało? Wszak nie co dzień człowiek przechadza się z małą fortuną w kieszeni.

Wprost spod banku, cały czas podróżując taksówką udali się w miejsce, w którym mieli się spotkać z 'człowiekiem Adamsa', jak mówił O'Reary, w celu zakupu auta odpowiedniego do zadań, którym muszą sprostać. Gdy dojechali na miejsce, wysiedli z taksówki, zapłacili kierowcy, po czym polecieli mu wracać, ponieważ z tego miejsca mają już zapewniony transport.

Byli w dosyć osobliwym miejscu, gdyż był to ciąg budynków garażowych, gdzieś na obrzeżach miasta. Quincy'emu całe to otoczenie wydało się nieco podejrzane, ale wolał nie dopytywać o niejasne kontakty Adamsa, nauczony doświadczeniem, że czasami lepiej wiedzieć mniej, niż za dużo.

Adams oddalił się od nich i zaczął rozmawiać z jakimś dziwnym człowiekiem, ubranym w ciemną, skórzaną kurtkę. Kiedy się uśmiechał, pomiędzy jego wargami połyskiwały dwa złote zęby. Po kilku chwilach rozmowy Adams skinął na Quincy'ego ręką. Ten podszedł do mężczyzn niepewnym krokiem. Wymienił spojrzenie z nieznajomym, a Adams nachylił się nad nim i szepnął mu tylko do ucha:

– Siedem tysięcy dolarów.

Quincy nie miał w zwyczaju dysponować taką gotówką, toteż niezręcznie i nieswojo poczuł się przy obcym mężczyźnie, wyciągając z kieszeni plik pieniędzy. Odliczył równe siedem tysięcy i podał Adamsowi, jak gdyby nieco obawiał się bezpośredniego kontaktu z mężczyzną ubranym w skórę. Adams zaś podał pieniądze

dalej, mężczyzna jeszcze raz przeliczył banknoty, po czym podał Adamsowi kółko z brzęczącymi kluczami i powiedział tylko:

– Numer dziesięć i jedenaście. Interesy z tobą to czysta przyjemność Adams. Do następnego razu – po czym oddalił się i zniknął w którejś z bocznych uliczek.

Quincy podążył za Adamsem wzdłuż budynku, poszukując garażów o wskazanych numerach. Po chwili znaleźli oba, a Adams otworzył drzwi kluczami, które otrzymał i silnym ruchem ręki podrzucił wysuwane drzwi ku górze. We wnętrzu zastali dwa, niemal identyczne potężne terenowe auta, oba w błyszczącym, czarnym kolorze, z barwionymi szybami i sporą przestrzenią dla pasażerów i na bagaże.

– I o coś dokładnie takiego mi chodziło! – zakrzyknął zadowolony Adams. – Dobra, pora się zbierać. Ale zanim to nastąpi...

Adams obszedł auto dookoła i zatrzymał się przy bagażniku, otworzył go. Quincy zajrzał do środka i ujrzał dwie czarne torby, wypchane czymś po brzegi.

– A to nasze zabawki, hehe – nie przestawał uśmiechać się Adams. – No cóż, komu w drogę, temu czas. Ja biorę jedno auto, a ty młody wraz z uroczą panią pojedziecie z O'Rearym.

Ani Quincy, ani Jane nie protestowali na taki układ, więc chwilę później opuścili to miejsce z piskiem opon.

Quincy myślał, że przed tą decydującą wyprawą będzie miał jeszcze choć chwilę dla siebie i Jane. Jako, że

nie było mu już dane porozmawiać z nią na osobności, w tym momencie jedynie ścisnął jej dłoń i miał nadzieję, że tego wieczora wszystko się zakończy.

Quincy nie spodziewał się, że podróż w wyznaczone miejsce zajmie aż tyle czasu, ale kiedy O'Reary oznajmił im, że zbliżają się do celu było już prawie ciemno. Zachodzące słońce barwiło niebo, którego karmazynowy kolor gdzieś przykrywały ciemne chmury. Gdzieś z oddali, znad linii horyzontu zaczął się wyłaniać potężny kompleks wielkich budynków i hangarów, które niegdyś służyły siłom powietrznym. Dziś była to wielka bryła opuszczonych hal, zardzewiałych blach i prętów. Bóg wie co jeszcze tam dzisiaj znajdują...

ROZDZIAŁ VI

"DZIECI NOCY"

Potężne drzwi hangaru rozsunęły się z metalicznym łośkotem. Z otwierającego się przejścia buchnęło zimnym powietrzem, który niósł ze sobą zapach stęchlizny i wilgoci. Kiedy cała czwórka znalazła się we wnętrzu, każdy z nich od razu odczuł zmieniającą się atmosferę. Z każdym kolejnym krokiem zatapiali się w innym świecie.

Był to budynek, który lata najlepszej świetności miał już za sobą, toteż porzucono go kilka lat temu. Wciąż jednak można było w licznych halach i pomieszczeniach odnaleźć elementy wyposażenia, czyli rozmaite maszyny i narzędzia. Gdzieś tam widoczne były porzucone robocze kurtki i rękawice, zupełnie tak, jak gdyby ich dawni właściciele rozplynęli się w powietrzu wraz z zamknięciem na zawsze tego obiektu. Blaszane poszycie dachu podziurawione było niczym sito, toteż ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadały jasnozłotymi snopami przez otwory nad głowami odwiedzających to zapomniane miejsce. Wśród promieni światła wirowały w magicznym tańcu drobinki kurzu i pyłu, wzbijane w powietrze z każdym kolejnym krokiem. Gdzieś wysoko, w zawitych miejscach wysokiego rusztowania zatrzepotało ptasie skrzydło.

Przybysze posuwali się małymi kroczkami do przodu, zachowując ostrożność. Po pierwsze dlatego, że nie wiedzieli, co i kogo mogą tu zastać, a po drugie przez to, że budynek sam w sobie stanowił zagrożenie: w niektórych miejscach można było dostrzec żeliwne elementy rusztowań zwisające w przekrzywieniu na wąskim pasku metalu. Przy najmniejszych podmuchach wiatru wydawały one nieprzyjemne, złowrogie pomruki, więc teoretycznie trzeba było patrzeć zarówno pod nogi, jak i na to, co powyżej nosa.

Idąc w parach doszli wreszcie do końca tego segmentu hangaru, znajdując tam na pół tylko przykryty brezentową płachtą egzemplarz jakiegoś samolotu. Była to niewielka awionetka, na dziobie której wciąż znajdowały się pióra śmigieł, a lakier wciąż wyraźnie odznaczał się na skrzydłach, z których jedno było złamane i przygniecione jakimś żelastwem. Całość wyglądała niczym pocztówka z przeszłości. Najdłużej zaś temu obrazkowi przyglądał się Adams, który słynął z zamiłowania do wszystkiego, co miało związek z lotnictwem i samolotami. Traktował tę wyprawę poniekąd jako szansę zobaczenia czegoś ciekawego. Ot, typ człowieka, któremu ciągle brakuje adrenaliny i wrażeń. Wreszcie reszta grupy dała mu bezgłośnie znaki, że nie pora teraz na zwiedzanie i pora ruszać przed siebie. Z westchnieniem Adams zaczął niespiesznie powłóczyć nogami, a gdy dołączył do reszty towarzystwa, O'Reary poklepał go lekko po ramieniu, wykrzywiając usta w

półśmiechu.

Zwieńczenie długiej hali stanowiło zwężenie przejścia, które w dalszej części przekształcało się w wąski, niewysoki korytarz, którym nie sposób było przejść, nie trzymając ramion przy sobie. Całość była nieoświetlona, bowiem żarówki znajdujące się za grubym szkłem okratowanym solidnym drutem już dawno przestały działać. Szli więc gęsiego, jeden za drugim, w półmroku, za punkt odniesienia mając tylko otulające ich zimne ściany i lekką poświatę, w której odznaczał się kontur wyjścia.

Gdy wyszli z korytarza, znaleźli się w nieco mniejszym pomieszczeniu, w rogu którego stała niewielka budka, a po przekątnej zauważyć się dało schody prowadzące w górę. Postanowili sprawdzić, co znajduje się w małym budyńeczku w kącie.

Zachowując wszelkie środki ostrożności i rozglądając się dookoła, w absolutnej ciszy skierowali się w stronę budki. Z każdym kolejnym krokiem, dobiegał ich dziwny, brzęczący dźwięk, którego źródło było nieznane i którego nie potrafili zlokalizować. Poziom hałasu wciąż narastał, swoje maksimum zaś osiągnął w momencie, w którym znaleźli się we wnętrzu. Okazało się, że ów hałas dobiegał z dosyć sporej, białej skrzynki znajdującej się na jednej ze ścian, oznaczonej różnymi plakietkami z fachowym opisem. Quincy wskazał palcem na skrzynkę i najciszej jak tylko mógł, powiedział:

– To transformator. Ktoś musiał włączyć go tu przed

nami, niemożliwe, żeby prąd działał w dawno nieużywanym budynku.

– Może nie jest tak nieużywany, na jaki wygląda – powiedział z kolei O'Reary wskazując na przeciwległą ścianę. Znajdował się tam swego rodzaju pulpit sterowniczy, z blatem, na którym umieszczono wszelkiego rodzaju przełączniki, dźwigienki i światełka kontrolki. Kilka z nich świeciło, wokół niektórych przycisków można było dostrzec jaśniejsze smugi, które ktoś pozostawił przesuwając palcami po politurowanej błyszczącej powierzchni. – Adams? – rzucił w stronę kolegi Michael.

– Z tego, co tu widzę, ktoś się bawił przełącznikami. Tu jest włącznik główny, tutaj kontrola generatora, a tutaj przełączniki oświetlenia, którymi steruje się lampami w konkretnych częściach hangarów – widać było, że z niekłamaną satysfakcją Adams odczytuje przeznaczenie wszystkich tych urządzeń.

– Da się z tego odczytać, gdzie włączone są światła? – zapytała milcząca dotychczas Jane – Przynajmniej wiedzielibyśmy, gdzie szukać.

– Niezła myśl, Jane – pochwalił ją Michael. – Jak, Adams? Dasz radę coś dla nas znaleźć?

– Każda grupa i sekcja przełączników jest opisana – zaczął Adams tonem, którego używają przewodnicy w muzeum i gdyby nie okoliczności, na pewno wszyscy niewątpliwie byliby się roześmiali. – Jak widzicie – kontynuował – podświetlone są kontrolki w sektorze

czwartym, gdziekolwiek to jest. Nigdy wcześniej tu nie byłem, mogliśmy lepiej się przygotować. Gdybym tylko miał jakąś mapę tego miejsca, jakieś plany...

W tym momencie wszyscy zaczęli nerwowo rozglądać się po pomieszczeniu, poszukując jakiegokolwiek miejsca, w którym można by schować to, o czym mówił Adams. Poszukiwania w szufladach znajdujących się poniżej blatu sterowniczego nie przyniosły niczego, poza kilkoma zapasowymi żaróweczkami, nieużywanym kompletem bezpieczników, pudełkiem zapalek i jakimiś instrukcjami. Uwagę Quincy'ego przykuła jednak inna mała skrzyneczka, znajdująca się na ścianie, około dwóch metrów na prawo od transformatora. Mimo upływu lat, wciąż zabezpieczona była kłódką, więc cokolwiek w niej się znajdowało, pozostało na miejscu, opierając się działaniu czasu i grupom szabrowników wypuszczających się na poszukiwania skarbów w opuszczonych i zapomnianych miejscach.

Poszukując czegoś, czym mógłby podważyć mocowanie kłódki Quincy natknął się na kawał metalowego pręta i śrubokręt, który ktoś nieopatrznie rzucił na ziemię. Mocował się dobrych kilka minut z zardzewiałym zamknięciem szafki, starając się przy tym nie narobić zbytniego hałasu. Upór jego został nagrodzony i zawartość szafki nie pozostawała już dłużej bezpieczna. Gdy uchylił drzwiczki w środku znalazł apteczkę pierwszej pomocy, opakowanie gumowych

rękawiczek, jakieś stare gazety i coś zawiniętego w foliowy woreczek z zatraskowym zamknięciem. Quincy wręcz rozerwał folię i jego oczom ukazały się zwinięte w rulon plany techniczne budynku. Odwrócił się w stronę pozostałych i z dumą ukazał im swoje znalezisko.

Rozłożyli kilka arkuszy papieru na blacie z kontrolkami, przyciskając rogi pudełkiem z bezpiecznikami i śrubokrętem z drugiej strony. Każdy z nich próbował wyobrazić sobie schemat budynku z lotu ptaka, aby określić, w której części się dostali. Nie było to łatwe, bowiem, jak się okazało, do wnętrza prowadziły dwie bramy, każda z nich na przeciwległym skrzydle budynku. Gdy wreszcie wspólnymi siłami odszyfrowali układ pomieszczeń okazało się, że sektor czwarty, którego poszukiwali, znajdował się blisko serca budynku, niemalże w jego centrum. Hala w sektorze czwartym, która stanowić miała cel ich podróży, opisana była jako „Prototypownia”. Dostać się tam można było w dwojaki sposób: pierwsza droga, krótsza, prowadziła przez halę spawalniczą i warsztaty. Druga zaś, przez szereg pomniejszych pomieszczeń bliżej nieznanego przeznaczenia. Na pierwszy rzut oka wydawać by się mogło, że krótsza droga byłaby dobrym wyborem, lecz gdyby się nią udali, do hali w sektorze czwartym przybyliby całkowicie nieosłonięci, przez co szybko mogliby zostać zauważeni. Toteż na skutek szybkiego i bezgłośnego głosowania, które odbyło się poprzez porozumiewawcze skinienia głową i wskazanie przez

O'Reary'ego na mapie drogi dłuższej, ale bezpieczniejszej, wybrali trasę swojej dalszej podróży.

Na wypadek dalszej potrzeby korzystania z map, Adams zwinął plany ponownie w rulon, po czym włożył je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Upewniwszy się, że wszyscy są gotowi, ruszyli przed siebie uprzednio zaplanowaną trasą.

Teraz, kiedy znali cel i przeznaczenie swoich poszukiwań, teoretycznie powinno być łatwiej. Jednakże każdemu z osobna (o czym naturalnie żadne z nich nie wiedziało, ani też nie chciało zdradzić osobie idącej obok) zaczęło udzielać się poczucie niepewności. Wątpliwość, którą powodowało to, co jeszcze jest dla nich nieznanie. Wiedzieli już dokąd idą, jednak wciąż było niepewne co znajdą oraz czy będą na to gotowi. Ze wszystkich uczuć najbardziej przekłętym jest strach. On to bowiem przeszywa człowieka do szpiku kości, paraliżuje, uniemożliwia racjonalne działanie. On to właśnie dopadł tą czwórkę, niektórych z nich po raz kolejny, niektórych po raz pierwszy od bardzo dawna.

* * *

Kiedy podświadomie wyczuwa się coś niedobrego, z reguły oczekuje się rzeczy najgorszych. Jakkolwiek wiele by się nad tym nie zastanawiać, na pewne wydarzenia nie można się przygotować. Są takie sytuacje w życiu, którym po prostu trzeba stawić czoła – takie myśli zaprzątały

głowę Quincy'ego, który w jednej chwili mobilizował się, próbując dodać sobie pewności, aby moment później zostać pożartym przez wątpliwości i obawy. Nerwowo rozglądał się, poszukując na twarzach milczących przyjaciół jakiegokolwiek znaku, który zdradzałby, o czym teraz myślą. On zaś najbardziej martwił się o Jane, za którą czuł się w każdy możliwy sposób odpowiedzialny. Paradoksalnie, aby raz na zawsze zapewnić jej bezpieczeństwo zabrał ją w miejsce, w którym zło grozi najbardziej. Próbował doszukiwać się skuteczności w tej szaleńczej metodzie. Obserwował też O'Reary'ego i Adamsa, dwóch starych przyjaciół, którzy szli tuż przed nim. Podziwiał zaangażowanie doświadczonego już policjanta w poszukiwaniu prawdy i lojalność Adamsa. Kto wie, co wydarzyłoby się, gdyby nie trafił na nich w swoim życiu?

Myśli Jane ogarniał niepojęty smutek. Próbowała na wszelkie sposoby odgonić złe wizje, jednak wyobrażenia o tym, co najgorsze atakowały raz po raz, z każdą chwilą ze wzmożoną siłą. Przede wszystkim jednak, było jej żal. Być może było za wcześnie, ale już żałowała tych wszystkich chwil, które mogą nigdy nie nastąpić. Obawiała się tych wszystkich niespełnionych jeszcze wydarzeń, emocji, radości i smutków, których może pozbawić ją dzisiejszy wieczór. Najbardziej zaś żal jej było mężczyzny, który szedł obok niej. Tego, który w zasadzie znikąd pojawił się w jej życiu, wnosząc przyjaźń i miłość, a z drugiej strony, przez fatalny przypadek

postawił ją w sytuacji, w której się teraz znajdowała. 'Wstydz się!' – pomyślała. Jak mogła w ogóle go za to winić? Ten sam los, który potrafi darzyć niesamowitym szczęściem, potrafi być również bardzo okrutny...

Adams myśłami wybiegał do chwili, kiedy wreszcie znajdzie odpowiedź na nurtujące go pytania. Towarzyszyło mu lekkie zdenerwowanie, choć sam przed sobą nie chciał się przyznać, że to strach. Próbował się zmotywować tym, że już nie z takich opresji wychodził, niejedno dane mu było przeżyć i widzieć. Skoro konfrontacja, jak mu się wydawało, była nieunikniona, nie było powodów do nadmiernego rozpraszania uwagi, należało zachować jak największą koncentrację i trzeźwość umysłu. W duchu postanowił też, że będzie to ostatnia jego tak szalona przygoda – ma już wszak swoje lata, a młodszy już nie będzie. Pora zająć się zwykłym życiem, nieco odpocząć...

O'Reary był zły na siebie od chwili, kiedy przestąpili wejście tego budynku. Nie mógł sobie wybaczyć, że wciągnął w to wszystko swojego najlepszego kumpla, przyjaciela, a na dodatek dwójkę Bogu ducha winnych młodych ludzi. Może i sprawa ich dotyczyła, ale nie powinien. To on jest policjantem, to on powinien rozwikłać tą sprawę. Mimo, że nie miał już odznaki i formalnie nie był gliną, właśnie w tym momencie poczuł to samo powołanie, jak wtedy, kiedy wstępował do akademii policyjnej. Czuł to samo zaangażowanie, jak zaraz po skończeniu szkolenia. Jednocześnie miał

poczucie tego, że cokolwiek się stanie tego wieczoru, to sprawa dobiegnie końca, przynajmniej dla niego. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, skończy z pićciem, weźmie się za siebie... może nawet znajdzie sobie kobietę. Ale to wszystko potem. Teraz musi skupić się na zadaniu.

* * *

Z transu całą czwórkę wytrącił dziwny hałas, który dobiegał z któregoś z pomieszczeń znajdujących się przed nimi. O'Reary uniósł otwartą dłoń do góry i wszyscy jak jeden mąż przystanęli nasłuchując. Hałas jeszcze raz się powtórzył: dało się słyszeć głośne stuknięcie, jakby coś upadającego uderzyło o podłogę, następnie chwila ciszy i jakby... kroki?!

Próbując określić, czy to rzeczywiście kroki, Adams i O'Reary sięgnęli po broń, na wypadek, gdyby okazało się, że ktoś zmierza w ich kierunku. Quincy niechętnie, acz pewnie zacisnął dłoń na rękojeści swojego pistoletu. Oczekując w napięciu na rozwój wypadków poczuł, jak mięśnie twarzy drgają mu na policzku w nerwowym tiku. Po dłuższej chwili, nadal nic się nie działo i cała czwórka ruszyła przed siebie, zachowując maksymalną koncentrację i czujność. W miarę, jak zbliżali się do celu, hałasy nasilały się, przybierały na natężeniu i pojawiał się dziwny wielogłos, jakby dźwięki wydobywały się z kilkunastu źródeł na raz. Brzmiało to dosyć dziwnie, jak gdyby ktoś mrucał, ale było to wzmocnione i słyszalne

na dużą odległość. Cokolwiek to było, nie brzmiało zbyt przyjaźnie.

Posuwali się do przodu małymi krokami, przechodząc po drodze przez najróżniejsze pomieszczenia. Niektóre z nich były zupełnie puste – straszyły tylko nagością odrapanych ścian i stertami śmieci znajdującymi się na podłodze. Wychodząc z kolejnego takiego pomieszczenia stanęli u wejścia na długi, metalowy pomost, pod którym znajdowała się nawa łącząca jedną potężną halę z drugą.

– Dobra, idziemy pojedynczo. Ja pierwszy – wydał komendę O'Reary tak zdecydowanie, że nikt nawet nie próbował z nim polemizować. Trójka, która miała pozostać, ukryła się za metalowymi barierkami z wprawionymi w żelazne ramy prostokątami ciemnego pleksiglasu. W panującym półmroku byli praktycznie niewidoczni, ukryci zarówno przez mrok, jak i odległość dzielącą ich od przeciwległego końca przęsła.

O'Reary przysiadł w kucki i powoli, trzymając głowę jak najniżej, ruszył przed siebie. Starał się stawiać stopy jak najostrożniej, tak, aby nie wydać najmniejszego hałasu uderzając podszwami ciężkich butów o metalowe podłoże. Jeden koniec od drugiego dzieliła przestrzeń około trzydziestu, może czterdziestu metrów, całość zaś zawieszona była na wysokości około dwóch pięter. Michael stopniowo, choć powoli przesuwał się do przodu, gdy nagle, będąc mniej więcej w połowie drogi zatrzymał się. Zauważywszy to, cała pozostała trójka chciała ruszyć w jego stronę, jednak O'Reary dał znak, żeby zostać na

miejscu. Próbował wyteńczyć wzrok, aby dostrzec coś, co zobaczył, albo zdawało mu się, że zobaczył w wąskim, nieoświetlonym przejściu znajdującym się po przeciwległej stronie. Wiedział, że ryzykuje, ale będąc w miejscu, w którym się znajdował, mógł zostać łatwo dostrzeżonym, więc nie zastanawiając się dłużej, sięgnął do kieszeni spodni i wyjął z niej latarkę. Skrzyżował dłonie i jednocześnie wyciągając je przed siebie przyłożył latarkę do lufy pistoletu. Upewniwszy się, że dobrze wycelował, przesunął przełącznik latarki i przed niego, niczym świetlny pocisk wystrzelił snop jasnego światła. Ręka O'Reary'ego zadrżała, kiedy zdał sobie sprawę, że w oświetlonym obszarze zauważył jakby stojącą postać, która zniknęła w momencie, kiedy skierował tam światło latarki. W rozjaśnionym miejscu mignęły tylko strzępy jakiegoś ciemnego płaszcza, a chwilę potem dało się słyszeć kroki biegnącej postaci. Więcej dowodów nie było trzeba, nie byli tutaj sami, a być może byli obserwowani od samego początku: od momentu pojawienia się w tym przeklętym miejscu. Nie tracąc ani chwili czasu, Michael puścił się biegiem w stronę korytarza, w którym dostrzegł tajemniczą zjawę.

– Co on do cholery wyprawia! – powiedział zdenerwowany Adams i ruszył na pomoc przyjacielowi. – Idziemy! Nie ma czasu do stracenia! – rozkazał spoglądając w stronę Quincy'ego i Jane i cała trójka ruszyła przez pomost, który pod ciężarem trójki rozpędzonych osób zazgrzytał niemiłosiernie, jak gdyby

lada chwila miał się rozpaść.

O'Reary, mimo tego, że parł przed siebie tak szybko, jak tylko mógł, nie mógł dogonić osoby, którą widział. Stanął więc na końcu pomostu, próbując uspokoić oddech.

– Co się stało? Co to było? – zapytała Jane, kiedy w trójkę dobiegli do O'Reary'ego.

– Nie wiem... coś... coś widziałem – mówił O'Reary głosem szarpanym przez głębokie hausty powietrza – coś, a może kogoś. Raczej na pewno kogoś.

– Jumaina? – zapytał bezpośrednio Adams.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Niewykluczone, że tak. Ktokolwiek to był, wie, że tu jesteśmy. Być może od początku wiedział.

– Jasna cholera! No to element zaskoczenia szlag trafił. Co teraz zrobimy?

– Chyba to, co musimy – zabrał głos Quincy – pójdziemy tam. To był wartownik. Zupełnie, jakby na nas czekał. Tak, jakby był przygotowany na nasze przyjście. A to oznacza...

– ... że już na nas czekają – dokończył O'Reary – a skoro spodziewali się, że tu przyjdziemy i pozwolili nam wejść, to oznacza, że raczej... nie pozwolą nam wyjść... tak łatwo.

Słowa te były o tyleż demotywuujące, co prawdziwe. Morale drużyny było już solidnie nadszarpnięte od samego początku, a z każdą chwilą spędzoną w tym zapomnianym przez świat miejscu było coraz gorzej. Stracili największy atut, jakim był element zaskoczenia.

Jednakże odwrotu najpewniej już nie było, nie pozostało im nic innego, jak iść do przodu, prosto do jaskini lwa.

O'Reary wraz z Adamsem uznali, że to właściwy moment, aby rozdysponować ekwipunek, który Adams taszczył od początku w czarnej torbie przewieszanej przez ramię. Każdy dostał latarkę na własny użytek, zapas amunicji, a on i O'Reary dodatkowo świece dymne i granat błyskowy, gdyż tylko oni wiedzieli, jak ich używać. Był to dość pokaźny arsenał, ale jak mówił Adams: 'lepiej być przygotowanym na każdą okoliczność, niż później żałować'.

Ruszyli przed siebie i każdemu została wyznaczona odpowiednia strefa, którą ma obserwować. Aby uniknąć niepotrzebnych, nieprzewidzianych sytuacji, musieli mieć się na baczności.

W miarę, jak zbliżali się do strefy, oznaczonej na mapach numerem cztery, dziwne pomruki i hałasy nasilały się, wskazując na miejsce czyjejs działalności i obecności. Był to jakiś harmoniczny, niemalże melodyjny dźwięk, który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej hipnotyzujący i przyciągający. Cała czwórka maszerowała w kierunku źródła tego dźwięku, jak gdyby zaczarowana ponętym dźwiękiem tajemniczej melodii.

Wreszcie dotarli do miejsca, w którym wszelkie zniekształcenia spowodowane przez odległość od źródła dźwięku znikły i teraz głosy przekształciły się niemalże w... muzykę. Była to melodia dziwna, tajemnicza, niepokojąca i poruszająca w głębi duszy, wyśpiewywana

przez kilka lub kilkanaście męskich gardeł.

Grupa przyjaciół znalazła się w dużym, podłużnym pomieszczeniu, po którego obu stronach znajdowały się przejścia, prowadzące do schodów skierowanych w dół. Na ścianie znajdującej się naprzeciw nich znajdował się szereg okien, niektóre z nich były ciągle przeszklone czymś, co przypominało potężne luksfery. Cała czwórka powoli podeszła do ściany z oknami, zajmując miejsce przy tych, przez które można było cokolwiek zobaczyć.

Pierwszy głowę wychylił Adams. Po chwili wytrzeszczył oczy w akcie zdziwienia. Zupełnie nie wiedział, czego się tu spodziewać, jednak to, co zobaczył zupełnie go zaskoczyło i przeszło jego najśmielsze oczekiwania.

– Sześć słów: co to kurwa jest za cyrk?! – powiedział po chwili.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Na razie obserwujmy, zobaczymy co się wydarzy.

– Quincy, spójrz – zabrała głos Jane, wskazując na jedną z wielu postaci, które dało się zauważyć poniżej okien – Czy to on?

– Tak, to Jumain – powiedział z niepokojem Quincy, spoglądając na postać w ciemnym płaszczu i o kamiennej twarzy. Poczuł, jak ogarnia go jednocześnie zdenerwowanie i złość. Miał teraz ochotę wyciągnąć pistolet, przycelować i strzelić – pozbyć się tego człowieka raz na zawsze. Wiedział jednak, że w tym momencie jest to niemożliwe. Jeszcze nie teraz, ale może

nadarzy się jeszcze okazja. Musi być czujny...

Quincy, Jane, Adams i O'Reary obserwowali niezwykle spektakl, który rozgrywał się przed ich oczami. Miejsce, w którym przebywali zamieniło się w swego rodzaju punkt obserwacyjny, zupełnie jak loża w teatrze, z której ma się widok na wszystko to, co dzieje się na scenie. Dźwięki, które przez cały czas dobiegały ich uszu faktycznie wydobywały się z męskich ust postaci stojących po jednej stronie tej przedziwnej sceny. Zakapturzeni mężczyźni byli ubrani w ciemne, postrzępione niby-togi, zupełnie jak postać, którą jeszcze kilkanaście minut wcześniej widział Michael. Melodia, którą śpiewali budowała atmosferę tajemniczości i niepokoju. Całe pomieszczenie pod nimi otoczone było płonącymi pochodniami, które drżącymi płomieniami oświetlały całość i rzucały długie cienie postaci stojących w jednym rzędzie. W centralnej części stał nie kto inny, jak sam Jumain. Obok niego znajdował się potężny stół, a w zasadzie wielka, metalowa platforma. Jumain zaś był zamyślony, skoncentrowany i jakby nieobecny – co chwila przymykał oczy, jak gdyby wpadał w swego rodzaju trans.

– Spójrz – powiedział O'Reary do Quincy'ego.

Twarz Quincy'ego przybrała pytający wyraz twarzy, bowiem nie zorientował się od razu o co chodzi.

– Spójrz na jego dłonie, Quincy. Zobacz, co ma w dłoniach.

Quincy przyjrzał się jeszcze raz uważniej. Na jednym

z palców lewej ręki Jumaina dostrzegł błyszczący srebrzyście sygnet. W drugiej zaś dłoni trzymał on spoczywający w ozdobnej pochwie sztylet.

– Insignia Nocy – powiedział Quincy – To dlatego... prześladował Jane. Pamiętam teraz wyraźnie, co mówił ten jubiler, Schultz. Insignia Nocy stanowią trzy przedmioty: pierścień, sztylet i naszyjnik. Skoro ma sygnet i sztylet, brakuje mu tylko naszyjnika. Musimy... musimy go powstrzymać zanim... zanim znajdzie naszyjnik! – z podekscytowaniem w głosie mówił Quincy.

– Zaraz zaraz, ty chyba nie wierzysz w to wszystko?
– powiedział z niedowierzaniem w głosie Michael.

– To nie ma nic wspólnego z wiarą. To się dzieje na naszych oczach – rzekł Quincy, po czym wskazał w stronę tego osobliwego przedstawienia.

– Chłopak, ma rację – wtrącił się Adams. – Cokolwiek się tu odbywa, musimy to zakończyć i powstrzymać tego szaleńca. Pora załatwić tego skurwysyna. O, pardon, pani wybaczy słownictwo.

– Więc co robimy? – zapytała Jane. – Jak zamierzacie go powstrzymać?

– Jeszcze nie wiem – Michael bezradnie spuścił wzrok i utkwiał spojrzenie w podłódze. – Wydaje mi się, że musimy czekać, zobaczyć, co się wydarzy i czekać na odpowiedni moment.

Pozostałej trójce nie pozostało nic innego, jak zgodzić się z przedmówcą. Trzeba przyznać, że o ile ducha czasu można było poczuć tuż po wejściu do tego

kompleksu opuszczonych budynków, czy to w postaci opuszczonych pomieszczeń, czy to za sprawą porzuconych sprzętów i maszyn, o tyle to, co rozgrywało się przed nimi tu i teraz wyglądało jak jakiś pradawny obrzęd sprzed kilkuset lat. Stroje, atmosfera, opętańcze i maniakalne śpiewy – wszystko to skłaniało ku przemyśleniom, że cokolwiek widzą, nie jest to coś, co można zobaczyć na co dzień. I że nie jest to coś, co do końca rozumieją. Coś, co dzieje się niejako obok nich.

Wtem, uwagę ich przykuły postaci pojawiające się z prawej strony. Nie były to już postaci ubrane w przedziwne ciemne togi, zupełnie nie pasujące od tego miejsca, a dwóch, wysokich mężczyzn ubranych w garnitury i płaszcze, jeden z nich wyraźnie tęższy.

– A niech mnie... Toż to nasz stary przyjaciel, Robertson – powiedział szeptem Adams.

– A ten drugi? – zapytał z ciekawością Quincy.

– To John Ruthford. Pamiętacie? Mówiłem, że opłacał dom Jumaina. Jak widać to całe towarzystwo doskonale się zna. O co w tym wszystkim chodzi, do ciężkiej cholery...

– Może uda nam się cokolwiek usłyszeć, jeśli będziemy cicho – odezwała się Jane.

W chwilę później w absolutnej ciszy nasłuchiwali, aby usłyszeć chociażby fragment rozmowy, która toczyła się między Robertsonem a Jumainem.

– Mój pan... – zaczął Jumain.

– ...jest już w drodze..... przywiezie go.....

bądź gotowy...

– ...muszę go zabić..... muszę mieć.....

– ...nie ty decydujesz..... być posłuszny.....

czeka cię nagroda.

Wymiary i konstrukcja hali skutecznie wygłuszały i zniekształcały głosy mężczyzn, z drugiej strony jednak akustyka obiektu była na tyle dobra, że niektóre słowa można było zrozumieć bez większego problemu. Inicjatywę w rozmowie przejął teraz Ruthford, który był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, około trzydziestu lat, z włosami zaczesanymi błyszczącą brylantyną. W rękę trzymał niewielki neseser. Jego głos był o wiele donioślejszy i wyraźniejszy, toteż można było zrozumieć większość jego wypowiedzi.

– Pamiętaj, o zadaniu, które postawił przed tobą twój pan. Skoncentruj się na tym... Musisz odnaleźć ostatnie z trzech Insygniów. Musisz wydobyć informacje.

– Nie zawiodę... – odpowiedział Jumain, jednak nie dane im było słyszeć końcówki zdania.

– O co tu chodzi? Czy oni naprawdę są na tyle głupi, żeby w to wierzyć? – zadawał pytania O'Reary. – Przecież to tylko jakaś legenda!

– Legenda, która spełnia się na naszych oczach, zapomniałbyś dodać, hehehe – zaśmiał się cicho Adams.

– Zobaczcie! Znowu ktoś nadchodzi! – zaalarmowała pozostałych Jane.

I rzeczywiście, kolejna postać nadchodziła z kierunku, z którego nadeszli Robertson i Ruthford. Tym

razem była to niewysoka osoba, poruszająca się wolno. Wyłaniającą się z mroku postać oświetliło światło pochodni. Był to jakiś staruszek, o siwych włosach, niespiesznie powłóczący nogami.

– Profesor Bradley?! – powstrzymał się od krzyku O'Reary. – Teraz to już zupełnie nic nie rozumiem... Co on tu robi?

To jednak nie był koniec niespodzianek na ten wieczór. Okazało się, że za profesorem Bradleyem, ze skrepowanymi dłońmi prowadzony jest przez zakapturzoną postać nie kto inny jak Maurycy Klemens Schultz, jubiler!

Całe to teatrum przybrało teraz na dramaturgii. Na scenie pojawiły się wszystkie bodaj postacie, które brały udział w śledztwie przeprowadzonym przez O'Reary'ego. Miał sobie za złe, że nie pomyślał o tym wcześniej. W związku ze swoim udziałem w wy tłumaczeniu zagadki tajemniczego naszyjnika, stary Schultz stał się poszukiwanym numer jeden na prywatnej liście Ragana Jumaina, grubasa Robertsona i jego wiernego sługi, Ruthforda. W tym wszystkim niejasna była jedynie rola profesora Bradleya.

W tej chwili Quincy i spółka stracili już wszelkie atuty w tej rozgrywce, o ile mieli je kiedykolwiek i jakiegokolwiek. Jumain trzymał w garści wszystkie pionki. To on od tej chwili był panem tej gry.

Quincy'emu towarzyszyło przepełniające go poczucie żalu i rozczarowania, złe przeczucie, że ten wieczór nie

zakończy się tak, jakby tego chcieli. Momentalnie wszystko stało się dla niego jasne. Zwolnienie O'Reary'ego było nie tyle skutkiem jego niepowodzeń w śledztwie, lecz sprytnie uknutą intrygą, za którą stali przełożeni i ich współpracownicy. Gdy O'Reary zaczął węszyć tam, gdzie nie trzeba, najzwyczajniej w świecie został odsunięty od sprawy z nadzieją, że porzuci ją i zostawi do rozwiązania innym. Tak się jednak nie stało, w efekcie czego znajdują się w tym właśnie miejscu.

Podobnie rzecz się miała z Jane. Na to, co jej się przytrafiło, również nie wszyscy mieli wpływ, a w zasadzie nikt. Był to zwykły, niefortunny przypadek. Quincy obdarował ją przedmiotem obarczonym złą historią, rzeczą, której chęć posiadania mogła skłonić niektórych nawet do zabójstwa.

Nieszczęśliwie uwikłany w całą sprawę został również spokojny staruszek, jubiler Schultz. Wykazał się wręcz eksperckim poziomem wiedzy i niebywale pomógł w prywatnym śledztwie Quincy'ego i Michaela. Jednakże klątwa naszyjnika dosięgła również i jego. W tym momencie był prowadzony skrepowany, niczym baranek na rzeź. Naszyjnik, gdziekolwiek teraz był, przysporzył wiele problemów różnym, niezwiązanym niczym z pozoru osobom. Ot i zawiła historia, spowodowana przez przedmiot, który przyciągnął niegdyś oko kupca.

Coś jednak z tym fantem trzeba było zrobić. Robertson, Ruthford, a już z pewnością Jumain, to bezwzględne osobniki, nie znające pojęć takich jak

sumienie, czy współczucie. Nie cofną się przed niczym i użyją wszelkich środków, aby dowiedzieć się, gdzie obecnie znajduje się tak upragniony przez nich naszyjnik. Nie zawahają się nawet... zabić niewinnego Schultza. Jednocześnie, niezupełnie było wiadomo jaką rolę w tym wszystkim odgrywa profesor Bradley i czego się można po nim spodziewać. Skoro znalazł się w tym miejscu – można się tylko domyślać.

– Co robimy? Będziemy tak patrzeć? – zapytał w końcu Quincy.

– To nie jest takie proste – powiedział ze smutkiem w głosie O'Reary, zupełnie tak, jakby wciąż nie miał pomysłu na sytuację, którą zastali. – Musimy czekać na odpowiedni moment, działać z zaskoczenia.

Quincy chciał odpowiedzieć, że nie ma mowy o jakimkolwiek zaskoczeniu, wszakże zostali zauważeni jakiś czas wcześniej w jednym z korytarzy i zdradzili swoją obecność. Nie chciał jednak jeszcze bardziej psuć i tak już nadszarpniętego morale. Nie pozostało mu nic innego, jak w milczeniu wypełnić polecenie O'Reary'ego i zaufać jemu oraz Adamsowi, oni to bowiem dysponowali największym doświadczeniem, z racji wykonywanego zawodu.

W biernej niemocy obserwowali postać Schultza, ciągniętą i popychaną przez zakapturzonego oprawcę w stronę centrum sali. Stojący nieco z boku Robertson i Ruthford przyglądali się kątem oka całej sytuacji, jednak po ich minach było widać, że nie chcą brać udziału w tym,

co zaraz miało się wydarzyć.

Schultz siłą został doprowadzony przed wielki blat i posadzony, a właściwie rzucony na krzesło. Oddychał ciężko, a po czole spływały mu wielkie krople potu. Spokojnym krokiem podszedł ku niemu Jumain. Stał przed nim w ten sposób, że teraz cała czwórka widziała jego plecy i kruczoczarne włosy błyszczące w świetle pochodni. Demoniczne śpiewy nie ustawały, a nawet jeszcze się wzmogły. Jumain wciąż milczał, aby po chwili spokojnym głosem zapytać:

– A teraz... Byłby pan łaskaw mi powiedzieć, gdzie ukrył naszyjnik?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi – równie spokojnie odpowiedział Schultz, starając się zachować zimną krew.

Wszyscy znajdujący się w tej Sali, włącznie z samym Jumainem, wiedzieli, że jest to kłamstwo.

– Zepsuł pan pierwsze wrażenie co do swojej osoby. Sądziłem, że jest pan dżentelmenem. Dżentelmeni nie kłamią. Pytam jeszcze raz – mówiąc to okrążył Schultza i stanął za nim, sycząc mu jadowicie wprost do ucha – gdzie jest naszyjnik?!

– Ja naprawdę nic nie wiem! – zapierał się jubiler.

– Kłamca! – wykrzyknął rozwścieczony Jumain i w jednej chwili doskoczył przed siedzącego mężczyznę, wziął potężny zamach i wymierzył mu siarczysty policzek. Znajdujący się na palcu sygnet pozostawił po sobie ślad w postaci krwawiącej rany. Szkarłatna, ciemna

ciecz zaczęła spływać wąską strużką po policzku staruszka. Quincy zacisnął zęby tak, jakby to jego właśnie uderzono w twarz.

– Gadaj starcze, gdzie masz naszyjnik, inaczej nie wyjdiesz stąd żywy! – Jumain wpadł w furję. Nie denerwowało go samo zachowanie jubilera, gdyż na pewno spodziewał się takiego jego zachowania. Do szewskiej pasji doprowadzało go to, że wszelkie próby wyciągnięcia z niego informacji paliły na panewce. Staruszek przyjmował wszystko ze stoickim spokojem.

– Mówiłem już, że nic nie wiem – szedł dalej w zaparte Schultz. – Możesz robić co chcesz, ale nie mam nawet bladego pojęcia, o co pytasz.

Gdy skończył mówić to zdanie, kolejny potężny cios wylądował na jego twarzy, wykrzywając zuchwę i rozcinając wargę.

– Nie igraj ze mną, starcze! Ostrzegam cię, jeśli nie zaczniesz mówić... pożałujesz! – powiedział wściekły Jumain i wy dobył sztylet z pochwy, która znajdowała się w jego dłoni.

Twarze stojących z boku Robertsona i Ruthforda przybrały wyraz zaniepokojenia, a ich spojrzenia skierowały się w stronę stojącego w cieniu Bradleya. Ten ze spokojną miną przyjął pytające spojrzenia i podniósł otwartą dłoń w górę w uspokajającym geście.

Zastrzyk adrenaliny nie ominął również obserwatorów przyglądających się zajściom z nieco większej odległości. To był ten moment, teraz albo nigdy.

Muszą coś zrobić.

– Pora działać, O'Reary. On go kurwa zabije powiedział Adams.

– Dobra, idziemy – wydał rozkaz Michael i wskazał reszcie grupy kierunek.

Skierowali się ku lewej części pomieszczenia, w stronę schodów biegnących w dół. W biegu Adams i O'Reary wyciągnęli broń z kabur. Nie było już miejsca na żadną dyskrecję, czy skradanie się. W grę wchodziło ludzkie życie, nie było więc czasu do stracenia.

Całą czwórką wybiegli na środek hali, znajdując się w samym centrum akcji. O'Reary uniósł pistolet i wycelował.

– Zostaw go, Jumain! – krzyknął w stronę oprawcy Schultza.

Jumain odwrócił się, zachowując przy tym stoicki spokój. Jedynie jego oczy płonęły, zdradzając ogień, który palił go od środka. Ten człowiek... to coś pałało żądzą zabijania.

– Ach, to panowie. Spodziewaliśmy się panów, ale nie sądziliśmy, że zjawicie tak liczną grupą – powiedział Jumain, po czym zaśmiał się złowrogo. – Niestety jest już za późno. Pewnych rzeczy... nie można już powstrzymać, że tak to ujmę.

– Zamknij się i odłóż ten nóż!

– O'Reary! Dawnośmy się nie widzieli. Myślałem, że po tym wszystkim odpuścisz. Ale nie... Ty zawsze lubisz wkładać palce między drzwi – odezwał się Robertson

wychodząc z cienia.

Momentalnie w całej hali zrobiło się nienaturalnie cicho. Potępieńczy chór przestał zawodzić psychodeliczną melodię, w bezruchu i skupieniu obserwując to, co się dzieje. Zupełnie bez emocji, niczym woskowe ciała ożywające tylko na chwilę, a by zaraz potem zastygnąć w milczeniu.

– Cholerna, skorumpowana świnia – rzucił Adams. – Jesteś pierwszy do odstrzału, sukinsynu! – krzyczał wściekle w stronę Robertsona.

– Po co te nerwy? Panowie! – zabrał głos Bradley. – Potrzebujemy tylko tego nieszczęsnego naszyjnika i to wszystko. Skoro nie chciano oddać nam go po dobroci, musieliśmy podjąć odpowiednie środki.

– Naszyjnik? A po co wam on? Chodzi o niego? – wskazał na Jumaina Quincy – Insygnia Nocy?! Legendy? Naprawdę w to wierzycie?

– Zaczynij twardo stąpać po ziemi, chłopcze – mówił Bradley. – Zobacz, co się dzieje wokół ciebie.

– Ostatni element Insygniów Nocy. Ostatnia część przemiany. Ostatni dzień przed nowym millenium. Ostatni wysiłek, a wszystko to preludium do nadejścia Czarnego Pana. A potem już tylko piękno zniszczenia, śmierci i cierpienia, hahahah! – mówił jak w transie Jumain, zupełnie jak gdyby nauczył się tej formuły na pamięć. – Jesteście za późno. Nic już nie można zrobić.

– Pierdolenie. Zawsze mogę wpakować każdemu z was kulę w łeb i po sprawie. – Adams stawał się

nerwowo, co chwilę celował pistoletem w inną stronę, to w Bradleya, to w Jumaina, po chwili zaś w Robertsona.

– Spokojnie Adams.

– Czarny Pan, Aryman, nadchodzi. Część jego mocy jest już we mnie. Wasza... broń nie jest w stanie mnie powstrzymać! A teraz... zdaje się, że przerwaliście mi coś ważnego – Jumain ponownie uniósł sztylet do góry i skierował się w stronę Schultza.

– Nie ruszaj się! – zawołał Adams – Słyszysz?!

Jumain zaśmiał się tylko.

– Stój! – powiedział O'Reary. – Zostaw starca. To tego szukasz, prawda?

Wzrok wszystkich skierował się na Michaela, który w jednej dłoni trzymał wciąż wycelowany pistolet, w drugiej zaś, przewieszony przez palce srebrny łańcuszek z zawieszka w kształcie rombu.

– Co ty robisz, Michael? Oszalałeś? – zaniepokoiła się Jane. – Chyba nie chcesz im tego po prostu oddać?

Najbardziej zszokowany zaistniałą sytuacją był Schultz, który do tej pory nadstawiał własne życie, aby bronić tajemnicy miejsca przechowywania naszyjnika. Srebrna biżuteria przyciągnęła wzrok wszystkich niczym magnes. Najbardziej zaś Jumaina.

– Aaaa! Daj mi go! – syknął wyciągając chciwie rękę.

– Wypuść Schultza, to go dostaniesz – powiedział O'Reary bez zastanowienia.

– Michael, co ty do cholery wyprawiasz? – zapytał

podejrzliwie Adams.

– Zaufaj mi, wiem co robię. Więc jak, chcecie go, czy nie?

Jumain obejrzał się przez ramię w stronę Bradleya, wymieniając z nim spojrzenie, zupełnie jak gdyby czekał na zgodę. Bradley skinął tylko głową na znak aprobaty. Jumain zbliżył się do staruszka siedzącego na krześle i jednym szybkim ruchem sztyletu rozluźnił krępujące go więzy. Schultz wstał, rozmasowując obolałe nadgarstki. Jumain pchnął go silnie w stronę Michaela tak, że starzec o mało się nie przewrócił.

– A teraz naszyjnik. Szybko. Szybciej, daj mi go!

Michael rzucił wisiołek w stronę Jumaina, spełniając jego żądanie. Oczy mężczyzny rozjarzyły się, kiedy przedmiot wylądował w jego dłoniach.

– Nareszcie! Nareszcie, po tylu latach czekania i poszukiwań! – wykrzykiwał ekstatycznie – Głupcze! Czy wiesz, co uczyniłeś?! Teraz nic mnie nie powstrzyma! Hahaha! – Jumain oddychał szybko, wyraźnie pobudzony, a krew pulsowała w grubej żyłę, która wystąpiła na jego szyi.

– Popełniłeś wielki błąd, O’ Reary – powiedział Robertson celując w niego z rewolweru. Strzelił, a w wielkiej hali echem odbił się huk. Spudłował. Chwilę później rozległ się kolejny wystrzał i Robertson padł na ziemię, niczym rażony piorunem.

– Dawno powinienem to zrobić – w głosie Adamsa dało się słyszeć niekłamaną satysfakcję.

Przestraszony Ruthford, który w całej tej dyskusji ani razu nie zabrał głosu wyrzucił obie ręce w górę w geście kapitulacji.

– Tak, teraz trzęsiesz portkami.

Uwagę Quincy'ego zwróciło zachowanie Jumaina, który w tej sytuacji zamiast atakować spojrział ponownie na Bradleya, który stał niewzruszony, jak gdyby widok broni i śmierci współpracownika zupełnie go nie przejmował. Jumain... on zachowywał się jak zwierzę na smyczy swojego pana, zdane na jego łaskę, całkowicie bez woli, pozbawione inicjatywy.

Bradley powiedział tylko:

– Zabij wszystkich.

Quincy przestraszył się, obawiając się o życie Jane.

– Jane, ukryj się, szybko!

Jane przystanęła na chwilę, po czym pobiegła w stronę schodów, którymi zeszli w dół, po drodze chwyciwszy pod ramię Schultza, aby i jego odprowadzić w bezpieczne miejsce.

Quincy'ego ogłuszył nieco potężny huk rozlegający się za jego plecami. Okazało się, że to granat hukowy rzucony przez Adamsa w sam środek przedziwnego chóru eksplodował z ogromną mocą, kładąc osiem- dziesięć osób pokotem.

Quincy rozejrzał się, aby zorientować się w sytuacji. Nim zdążył to uczynić, potężny cios wymierzony twardą pięścią wylądował na jego podbrzuszu. Upadł na ziemię, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu.

Stojący kilka metrów od niego O'Reary oddał strzał w klatkę piersiową Jumaina. Nim zdążył się ucieszyć z celnego strzału, zorientował się, że nie przyniósł on żadnego skutku! Jumain stał w tym samym miejscu, co przed chwilą, z okropną dziurą po przejściu kuli przez płaszcz w okolicach serca.

Nie mógł zrozumieć, co się właśnie stało. Czyżby... Nie, to niemożliwe, to nie może być prawda! To nie jest żaden zły duch, pradawny bóg, tylko zwykły człowiek z krwi i kości! Taki strzał powinien powalić go na ziemię, zabijając go na miejscu.

A nawet... nawet jeśli w jakiś niewytłumaczalny sposób cała ta legenda miała w sobie ziarno prawdy... przecież dał mu fałszywy naszyjnik, zwykłą replikę! Skonfudowany stał tak w bezruchu, rozdziawiając usta. Jumain zawył z wściekłości i uderzył z całych sił czymś w ziemię. Oślepiony małą eksplozją O'Reary i Quincy znaleźli się w gęstych kłębach dymu. Jumain korzystając z okazji, wytrącił Michaelowi pistolet z rąk i powalił go na ziemię, przykładając mu sztylet do szyi. Od śmierci O'Reary'ego dzieliło kilka milimetrów dzielących jego tętnice i ostrze noża i ułamki sekund potrzebne na przeciągnięcie ostrza. Jumain jednak zamarł w bezruchu wpatrując się swoimi nieludzkimi ślepiami w oczy Michaela. Ten zaś poczuł, jak narasta w nim strach. Jeszcze nigdy śmierć nie była tak blisko. Jeszcze nigdy śmierć nie miała takiego oblicza, jak to coś, co przykładano mu sztylet do gardła. Gryzący w oczy dym

powoli się przeredzał, a po chwili O'Reary zauważył stojącą nad sobą postać Bradleya. Strachliwy Ruthford krył się gdzieś w cieniu, za metalowymi wspornikami zadaszenia.

– Doigrałeś się, Michael – zaczął mówić Bradley. – Rzućcie broń, albo wasz przyjaciel zginie.

Quincy i Adams nie mając wyjścia rzucili pistolety na ziemię, po czym kopnęli je przed siebie. Z cienia, niczym tchórzliwy szakal podbiegający, aby wykraść podstępnie swój kawałek padliny, wybiegł Ruthford i chwytając za broń wycelował w Quincy'ego i Adamsa. Ukrywającej się w rogu hali Jane serce zamarło z przerażenia.

– Jesteś ciekawy, co się tutaj dzieje, O'Reary? Powiem ci. Coś, czemu już nie możesz zaszkodzić – przemawiał podekscytowany Jumain. – Tworzymy zupełnie nowy porządek. Z bezładnego chaosu, wyłania się ład. Zniszczenie, które oczyszcza.

– Oczyszcza? Co oczyszcza? – zapytał Quincy nie rozumiejąc nic z tego bełkotu.

– Oddzielamy ziarno od plew. Uszlachetnimy ludzkość, pozostawiając przy życiu tylko tych, którzy pójdą za mną, Duchem Ciemności.

– Bradley, ty naprawdę w to wszystko wierzysz? – rzucił w stronę profesora O'Reary.

– Mój pan jest współtwórcą nowego dzieła. To on dał mi nowe życie. Tchnął świadomość w tę pustą skorupę, którą nazywacie ciałem – mówił jak opętany.

– Widzisz, O'Reary, stworzyłem coś, co jeszcze

nikomu się nie udało. Z ludzi kreuję półbogów. Z pyłu tworzę nieśmiertelność – rzekł Bradley.

– A teraz, kiedy wszystkie Insygnia Nocy nareszcie są nasze – przejął inicjatywę Jumain – będę rósł w siłę, aby niedługo, wraz z nadejściem nowego tysiąclecia stać się czymś więcej, niż to – wskazał na swoje ciało. – I wkrótce porzucić tę nędzną formę.

– Więc wydaje ci się, że jesteś pradawnym, mistycznym półbogiem? – zapytał z niedowierzaniem O'Reary.

– Arymanem. To imię, które nosiłem od zawsze. Tak długo czekałem, aby narodzić się na nowo. Tak długo szukałem przedmiotów, w których zaklęto moją dawną siłę. Gdy tylko odzyskałem ten naszyjnik, poczułem potężny przypływ mocy.

O'Reary nie miał żadnych wątpliwości. Ten człowiek naprawdę wierzył w to, co mówi. Nie był już Jumainem, był Arymanem, pradawnym duchem z najstarszych legend. A przynajmniej wierzył to z uporem fanatyka.

'Czyżby rzeczywiście zyskał nieśmiertelność?' – pomyślał O'Reary – 'Nie zapominaj, że naszyjnik był fałszywy, coś tu jest nie tak. Nie daj się oszukać grze pozorów. Zachowaj spokój'.

– A teraz, kiedy już wszystko sobie wyjaśniliśmy... – Bradley przeciągnął palcem wskazującym po własnym gardle – ... zabij go.

Jumain-Aryman posłusznie skinął głową na znak, że wypełni rozkaz bez wahania.

– Nie rób tego! – wykrzyknął Adams.

– Zamknij się i ani się rusz! – zawołał drżącym głosem milczący do tej pory Ruthford. – Cały czas na Ciebie patrzę! – wydukał celując pistoletem to w Quincy’ego, to w Adamsa.

– Znalazł się, pieprzony bohater – skwitował Adams.

Aryman ruszył w stronę O’Reary’ego. W jego oczach dało się dostrzec błysk wściekłości, żądzę zabijania. Z każdą sekundą był coraz bliżej. Quincy czuł się bezradny, nie mogąc już nic zrobić. Jane nie chciała na to patrzeć, skryła więc twarz w otwartych dłoniach. Aryman wysunął ostrze sztyletu z pochwy. Polerowany kawałek metalu zaśnił srebrzyście na całej długości zakrzywionego noża.

Nie było odwrotu, to był ten moment. Chwila, w której wszyscy będą bezradnie patrzeć na śmierć człowieka, zdolnego tyle dla nich poświęcić – karierę, a teraz nawet życie. Uniesiona dłoń wyrzuciła śmiercionośną broń w górę, gotową do zadania ostatecznego ciosu. Na twarzy O’Reary’ego pojawił się strach i przerażenie. Dłoń Arymana ruszyła ku niemu.

– Naszyjnik jest fałszywy! – krzyknął O’Reary zamykając oczy i stawiając wszystko na jedną kartę.

Słowa odbiły się głośnym echem w głowach zgromadzonych osób, a ręka oprawcy w ostatniej chwili wyhamowała i zatrzymała się w powietrzu.

– Coś ty powiedział? – krzyknął rozwścieczony Bradley. – Jak to fałszywy?! Cholerny sukinsynu, gdzie mój naszyjnik, gdzie moje pieniądze?! – piorunował

staruszek.

W przypiływie zdenerwowania Bradley zdradził prawdziwe motywy swoich działań. Nie miało to nic wspólnego z żadną legendą, czy starożytnymi bóstwami. Chodziło o zysk. Zawsze chodzi o pieniądze.

– Wiedziałem, że to nie ma nic wspólnego ze starożytną magią. Jesteś po prostu chciwym sukinsynem, który chce się dorobić. Wiem, że te przedmioty są warte krocie. Tylko po co ta farsa? – dopytywał się O'Reary.

– Tego już się na szczęście nie dowiesz. Zabij go! – Bradley palcem wskazującym wycelował w Michaela. No dalej, na co czekasz! Wykończ go i spraw, żeby to bolało!

Ale Jumain ani drgnął. Blask w jego oczach jakby przygasł, a ciało zastygło w bezruchu. Nie odwracając się w stronę Bradleya, wciąż trzymając wyciągnięty sztylet tuż przy szyi O'Reary'ego powiedział:

– Fałszywy? Jakie pieniądze? Chciałeś mnie oszukać? Sprzedać? Mnie?! Wiesz, kim się teraz stałem? Jestem nieśmiertelny i mogę równie dobrze pozbyć się i ciebie!

Jumain wpadł w furję. Na wieść o tym, że naszyjnik jest fałszywy zareagował dokładnie tak, jak tego spodziewał się O'Reary. Nie czekając wiele dłużej, Michael postanowił dolać oliwy do ognia.

– Dokładnie tak. Chciał cię oszukać. Jesteś tylko narzędziem w jego ręku, niczym więcej.

O'Reary dokładnie widział, jak dłoń Jumaina nerwowo zaciska się na rękojeści sztyletu. Denerwował się.

– Mam dosyć tego wszystkiego – powiedział Bradley widząc, że traci kontrolę na sytuacją – Ty! – wskazał na Ruthforda – wykończ go. Poradzę sobie bez Ciebie. Sam znajdę naszyjnik. Na co czekasz, strzelaj!

Ruthford zawahał się przez chwilę. O sekundę za długo. W tym czasie Jumain po raz kolejny wykonał swoją efektowną sztuczkę, wytwarzając w jakiś magiczny sposób niewielką eksplozję i otaczając wszystkich kłębami dymu. Moment później znalazł się przy Ruthfordzie, wbijając mu sztylet w wyciągniętą dłoń. Mięśnie rozkurczyły się, upuszczając pistolet, a za nim a ziemię poleciała struga ciemniej krwi.

– Aahaha! Mówiłem, że jestem nie do powstrzymania! Moc Ciemnego Pana jest już ze mną!

W ogólnym zamieszaniu, korzystając z okazji, Bradley próbował uciec. Jumain zauważył to kątem oka i ruszył w pogoń za profesorem. Jednym wielkim susem doskoczył do starca i powalił go na ziemię. Uderzając głową o betonową posadzkę Bradley rozbił sobie łuk brwiowy i zawył w bólu.

Adams nie tracąc przeglądu sytuacji podbiegł do upuszczonego pistoletu i podniósł go. O'Reary wreszcie mógł się ruszyć.

– A teraz zginiesz – syknął Jumain w stronę Bradleya. – Spójrz, co stworzyłeś. Czystą doskonałość. Jednak przeciwko mnie nie można się buntować, knuć za moimi plecami. Przyplacisz to życiem.

– Stój Jumain! Nie rób tego!

– A niby kto miałby mnie przed tym powstrzymać? Hahaha! – zaśmiał się demonicznie.

– Ja – powiedział niskim głosem Adams i wypalił z pistoletu. Kula utkwiała w nieosłoniętej niczym poza ciemnymi spodniami łydce Jumaina, który upadł na ziemię i wił się z bólu.

– Aaaa! Nie, to niemożliwe! – krzyczał Jumain najwyraźniej nie przyjmując do wiadomości tego, że jest ranny. Jak widać rzekoma nieśmiertelność była czysto iluzoryczna. Quincy podbiegł szybko i podniósł z ziemi upuszczony sztylet, wciąż jeszcze wysmarowany krwią Ruthforda, który w tym momencie usiadł pod kolumną próbując zatamować krwawienie krawatem. Łkał niczym małe dziecko.

– A teraz, Bradley śpiewaj. Mów wszystko. O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał O'Reary.

Bradley czołgał się po zimnej podłodze niczym plugawy wąż.

– Dajcie mi spokój!

– Gadaj, o co w tym wszystkim chodzi – powtórzył Michael. – To już koniec. Tak, czy siak, przegrałeś.

Z kąta hali przybiegła Jane rzucając się Quincy'emu w ramiona. Na jego policzku wylądował soczysty całus.

– Bałam się o ciebie – szepnęła mu do ucha.

– Już wszystko będzie w porządku – odpowiedział Quincy.

Za Jane powoli powłócząc nogami przyczłapał się Schultz.

– Czekamy, Bradley – ponaglił Adams.

– A co tu dużo wyjaśniać? Chodziło o kasę i tyle. Wiesz dobrze, że te błyskotki są warte miliony.

– Kto z Tobą współpracował?

– Jak widzisz. Robertson, ta sierota Ruthford, kilku mniej ważnych urzędników. I on.

– Oświeć nas wszystkich i opowiedz nam, jak to możliwe, że ten tutaj, podobno nieżyjący od lat Strielok jest tutaj z nami.

– Nie ma żadnego Strieloka! Jestem Aryman! Pan Zła i Zniszczenia!

– Zamknij się pajacu i spójrz, jak ty wyglądasz – powiedział Adams. I faktycznie miał rację. Leżący na ziemi z krwawiącą nogą Jumain czy Strielok – można było już stracić rachubę we wszystkich wcieleniach tego człowieka – wyglądał co najmniej groteskowo. Dodatkowo jego groźby brzmiały teraz śmiesznie, zupełnie jak szczekanie psa nie mogącego zerwać się z krępującego go łańcucha.

– Kamizelka kuloodporna – powiedział Adams podchodząc i oglądając dziurę po strzale O'Reary'ego. Przeszukał kieszenie Jumaina sprawdzając, czy nie ma żadnej broni.

– A co to takiego? – zapytał wyjmując z wewnętrznej kieszeni płaszcza niewielką sakiewkę przewiazaną czymś. Rozwiązał, powąchał i posmakował zawartość, którą stanowił jakiś proszek. – Saletra, siarka i jeszcze jakaś chemia – osądził Adams. – No to zagadkę kuloodporności

i magicznych eksplozji mamy rozwiązana.

– Zepsuliście wszystko! Mój plan był doskonały! Moje dzieło rozpoczęło się przed wieloma laty...

– Dziesięć lat temu... – mruknął pod nosem Quincy.

– Tak. Wtedy to ten tutaj, Strielok, zabił jakiegoś faceta i trafił do nas na obserwację psychiatryczną. To był istny świr, wtedy i teraz zresztą też. Wydawało mu się nie wiadomo co. Opowiadał jakieś legendy starożytne, że dokonuje się w nim przemiana... i inne tego typu pierdolenie. Jako lekarz spróbowałem zgłębić temat, bowiem przypadek wydał mi się bardzo interesujący. Wtedy trafiłem na staroperską legendę dotyczącą Arymana zwanego też jako Angra Mainju. Postanowiłem podchwycić temat. Wiedziałem, że zabił tego faceta w dokach za jakiś cenny przedmiot.

– Co to było?

– Sztylet. Jeden z zestawu trzech elementów. Jeden tylko przedmiot ustawił by mnie do końca życia. Udało mi się wydobyć od niego miejsce przechowywania sztyletu. W momencie, kiedy go zobaczyłem, zapragnąłem mieć całą kolekcję. Pragnąłem bogactwa. Wpadłem wtedy na genialny plan.

– Jak się okazuje wcale nie taki genialny – powiedział O'Reary i uśmiechnął się pod nosem, puszczając oko do Quincy'ego i Jane.

– Facet miał ostre zaburzenia osobowości, opowiadałem ci o nich tego dnia, kiedy odwiedziłeś mój gabinet. Podsyciałem jego emocje kąskami wyciągniętymi

wprost z tej legendy. Rozpocząłem z nim intensywną terapię indywidualną, żeby nikt nie mógł nam przeszkadzać. Jego umysł chłonał wszystko jak gąbka. W niedługim czasie przestał być już Strielokiem, a stał się Jumainem.

Oczy Jumaina wpatrywały się w Bradleya. Mężczyzna wsłuchiwał się w każde jego słowo, nie dowierzając jednak żadnemu.

– Łżesz! To nie jest prawda!

– Owszem, jest. Z czasem nasze sesje stawały się coraz dłuższe. Dobrałem odpowiednie leki, zastosowałem element hipnozy. Widzicie, chory psychicznie umysł człowieka jest jak otwarta księga. Można z niej dużo odczytać, ale można i także coś dopisać. Zaszczepić świadomość. Tożsamość. Umysł tego człowieka to był wyjątkowo żyzny grunt. Muszę przyznać, że pierwszy raz się z czymś takim spotkałem.

– Stworzyłeś sobie maszynkę do zadań specjalnych, co bydlaku? W czasie gdy ty, siedziałeś sobie w gabinecie, ten tutaj biegał po mieście mordując i odwalając za ciebie całą brudną robotę – mówił z nienawiścią Adams. – Idealna zasłona dymna, Nikt nic nie podejrzewał.

– Jak zdołaliście oszukać sąd? Co z karą śmierci zasądzoną przeciwko niemu?

– To akurat było najprostsze. Jeszcze nie wiesz, co ludzie są skłonni zrobić za kilka tysięcy dolarów. Ja zapłaciłem, a Strielok zniknął. Wmówiłem dyrektorowi

zakładu, który miał wykonać wyrok, że potrzebuję obiektu do badań, a ten nadawał się wprost idealnie. Zgodził się i dostał pokaźną sumkę w zamian za milczenie. Mogłem w spokoju kontynuować terapię, fałszywe dokumenty załatwiły sprawę. Oficjalnie Strielok nie żył.

– Jak weszliście w posiadanie pierścienia?

– Z tym już nie było tak łatwo. Strielok, a właściwie już wtedy Jumain, wierzył, że zebranie wszystkich trzech przedmiotów sprawi, że odrodzi się jak pradawne bóstwo – Aryman. Biedak wierzył w to tak mocno, że momentami było mi go żal. Ale cóż, cel uświęca środki. Sęk w tym, że poszukiwania pierścienia i naszyjnika były bezskuteczne. Jakby rozplynęły się w powietrzu. Jumain dużo wtedy podróżował, poszukując przedmiotów. Dzięki odpowiednim lekom i terapii byłem pewien, że mogę na nim polegać, był posłuszny i potulny jak baranek wobec swojego pana, jak kazałem się nazywać. Wobec innych był bezwzględny. Jednak przez kilka dobrych lat nie udawało się nam niczego znaleźć. Aż do niedawna. Na czarnym rynku da się zdobyć różne informacje, wystarczy odpowiednio zapłacić. Jeden z moich informatorów dał mi cynk, że znalazł dla nas pierścień. Miał go jakiś obcokrajowiec.

– Siergiej Lebiediew, zabity w pociągu – wtrącił O'Reary.

– Zgadza się, idealne miejsce, żeby dokonać zbrodni. Przy okazji ucierpiał ktoś jeszcze z obsługi pociągu, ale

ani mnie, ani tym bardziej Jumaina to nie obchodziło. Liczył się tylko wyznaczony cel. Pierścień na palcu tego faceta zastąpiliśmy zwykłym sygnetem, żeby nikt nie miał podejrzeń. Dwa trupy, Jumain rozpląnął się w powietrzu. Nawet gdybyście coś wytropili, ślady prowadziły do człowieka, który nie żył od dziesięciu lat.

– Muszę przyznać, że sam plan niczego sobie. Ale jak widać, nie był to plan doskonały, skoro ostatecznie znaleźliśmy się w tym miejscu.

– Po zdobyciu dwóch z trzech artefaktów sprawa zaczęła wymykać się spod kontroli. Jumain wpadł w szal i chciał za wszelką cenę zdobyć ostatni przedmiot. Ja także. Wierzyłem, że prędzej, czy później go znajdziemy.

– Jak trafiliście na trop naszyjnika?

– Podobnie, jak na pierścień. Ktoś dał mi informację, że na świątecznym jarmarku pewien handlarz sprzedaje stare przedmioty za bezcen. Facet najwidoczniej nie wiedział, co sprzedaje, bowiem pewien znany mi paser rozpoznał w jednym z naszyjników ten poszukiwany przez nas. Jednakże nie zdążyliśmy. Ktoś kupił go przed nami. Początkowo myślałem, że to ten paser nas wystawił, jednak szedł w zaparte, że nie. Aż do śmierci. Wypytywaliśmy, szukaliśmy, aż w końcu trafiłem na ślad tego młodzieńca. Jumain oszalał. Chciał ich pozabijać, jednak czuł się na tyle pewnie, że urządził mały cyrk. Pamiętacie to włamanie do mieszkania? Przesadził, ale nie miałem już na to wpływu. Stał się bardziej samodzielny, nie był już tak posłuszny, jak kiedyś. Naprawdę uwierzył

w to, co mu mówiłem, zaczął żyć tak, jak mu mówiłem. Stał się inną osobą. Mimo, że wciąż mogłem na niego liczyć, dużo spraw załatwiał na własną rękę.

– Piesek zerwał się ze smyczy, hehe – zaśmiał się Adams.

– Można tak powiedzieć. Tymczasem naszyjnik, to znaczy ta dziewczyna z naszyjnikiem – wskazał na Jane – przeszła pod opiekę policji. W międzyczasie podejrzenie padło na chłopaka. O'Reary zaczął węszyć i wtedy postanowiłem odezwać się do Robertsona, który już jakiś czas pomagał mi, chociaż nie do końca wiedział w czym. Opłacał stary dom Jumaina, a w zasadzie jego prawnik, ten tutaj. Mieliśmy więc dobrą bazę wypadową. Potem jednak okazało się, że naszyjnik zniknął.

– Wiem, zabrałem go wtedy od Jane i zaniósłem do Schultza, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

– Dokładnie. Robertson zwolnił cię, abyś przestał węszyć i odpuścił. Niestety przeliczyliśmy się. Myśleliśmy, że taka historia jak ta, skutecznie zniechęci cię do dalszych poszukiwań. Ale muszę przyznać, że ta akcja z odbiciem dziewczyny nieco nas zaskoczyła.

– Mówiłem ci, że to dobry pomysł – powiedział uśmiechnięty Adams. Bradley kontynuował opowieść:

– Postanowiliśmy postawić wszystko na jedną kartę. Postanowiliśmy odnaleźć naszyjnik. Wiedzieliśmy, że znajduje się w twoich rękach, albo tego jubilera. On go nie miał, więc pomyśleliśmy, że masz go ty. Wiedziałem, że z domu na przedmieściach zniknął dziennik tego

szaleńca, który zapisywał informacje o wszystkim, co się dzieje. Była też tam informacja o dzisiejszym spotkaniu w tym miejscu. Pozwoliłem sobie to wykorzystać. Porwaliśmy Schultza w nadziei, że zjawicie się. Miał być użyty jako karta przetargowa, w ramach wymiany. Naszyjnik za niewinne życie. Nie przeliczyliśmy się. Przyjechaliście. Nie przewidziałem jednak, że sprawy potoczą się tak, jak się potoczyły. Cóż, każdy popełnia błędy – powiedział Bradley i spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę. – Nie udało się, a było tak blisko. Mój plan był dobry. Jumain uwierzył w tę legendę tak bardzo, że stała się jego życiem. Nie zawahałby się przed niczym.

– Zastanawia mnie, panie Schultz, gdzie ukrył pan naszyjnik? – zapytał O'Reary.

– Postanowiłem ukryć go w muzeum, gdzie wystawiana jest właśnie bezcenna kolekcja. Jest tam dobrze strzeżony. Nie mogłem pozwolić, żeby wpadł w ręce ludzi takich jak oni. Jest zbyt cenny.

– Dużo pan poświęcił, o mało nie przypłacił pan tego życiem. Ostatecznie jednak... wykonał pan kawał dobrej roboty – pochwalił staruszka O'Reary.

– Dziękuję. I pan się nieźle spisał. Swoją drogą świetny pomysł z tym falsyfikatem.

Oczy Quincy'ego zwróciły się w stronę Jumaina, który był w głębokim szoku, nie wierząc w to wszystko, co usłyszał. Złapał się za głowę, niemalże rwąc włosy. W jednej chwili cała iluzja jego życia, którą sprytnie od tylu lat budował Bradley rozprysła się niczym kawałki

potłuczonego lustra. Quincy pierwszy raz widział coś takiego w życiu. Jeszcze kilka chwil temu wydawało się, że ten człowiek jest nie do powstrzymania, a teraz był zdruzgotany. Jego życie okazało się jedną wielką fikcją, zaszczeponą w chorym umyśle przez równie chory i zepsuty umysł.

– To chyba wszystko mamy wyjaśnione – powiedział O'Reary i nie było już nic więcej do dodania. Koszmar się skończył. Wszelkie niejasności i zagadki zostały rozwiązane. Jeden z winnych otrzymał najwyższą karę za popełnione czyny. Zimny trup Robertsona leżał w kałuży krwi kilka metrów od nich. Z drugiej strony, kilka ciał niezidentyfikowanych mężczyzn, którzy stracili przytomność na skutek wybuchu – nic im nie będzie. Ruthford był cały roztrzęsiony, drgał i szlochał niczym małe dziecko. Jumain był zupełnie nieobecny. Jego umysł jakby się wyłączył i nikt nawet nie próbował odgadnąć, co musi się teraz dziać w jego głowie. Został jeszcze Bradley, ale on na pewno poniesie konsekwencje.

Pomyśleć, że całe to przedstawienie wynikało z chciwości i chorych ambicji.

* * *

Ciemności rozświetliły niebieskie błyski kogutów radiowozów wezwanych przez radio z samochodu Adamsa. Po udzieleniu niezbędnych informacji i przekazaniu Bradleya policji, O'Reary, Adams, Quincy i

Jane wsiedli do jednego auta, drugie pozostawiając w tym nieszczęsnym miejscu.

Ruszyli przed siebie. W oddali miejskie światła zarzyły się jaskrawą łuną. Chwilę później na niebie pojawiały się różnokolorowymi girlandami wybuchy fajerwerków. Było już po północy. Nowy Rok. Zupełnie zapomnieli, tyle się ostatnio działo.

– Wszystkiego najlepszego – powiedziała Jane.
– Wszystkiego najlepszego – odpowiedzieli wszyscy.
– Wszystkiego najlepszego, Jane – rzekł Quincy, po czym pocałował Jane bez najmniejszego wahania, wiedząc, że odwzajemnia jego uczucie.

Swoją drogą – myślał Quincy – interesujące jest to, jak jeden, niewinny przypadek może zmienić ludzkie życie. Gdyby ktoś kiedyś powiedział mu, że akt dobrej woli – chęć podarowania komuś czegoś – sprawi tyle problemów, nigdy by w to nie uwierzył. Gdyby ktoś powiedział mu, że na swej drodze spotka ludzi tak wspaniałych, bezinteresownych i lojalnych, że gotowi poświęcić są dla niego życie – również nie dałby temu wiary. Zaś gdyby ktokolwiek powiedział mu, że kiedykolwiek będzie z Jane, kobietą, w której skrycie podkochiwał się od lat... chwycił by się tego marzenia i żył nim, aż do jego spełnienia. W końcu tak się stało. Nie mógł sam uwierzyć w swoje szczęście. Wyruszał w nową drogę życia z potężnym bagażem doświadczeń, grupą przyjaciół, która nigdy go nie zawiedzie, piękną kobietą u boku i nadzieją, że od tej pory wszystko będzie dobrze, a

Nowy Rok przyniesie ze sobą wyłącznie zmiany na lepsze.

Pomyślał o swoim starym przyjacielu, za którym tak bardzo już tęsknił. Wpatrywał się teraz w fajerwerki wybuchające nad Caladonem nad nocnym niebem. Wpatrywał się w każdą maleńką iskierkę błyszczącą kolorowym światłem. Zacisnął mocniej dłoń Jane i poczuł, że jest naprawdę szczęśliwy. Wracali do domu, niczym dzieci owinięte ciemnogrnatowym szalem nocy.